

KAWABATA YASUNARI

KRAINA ŚNIEGU

Przełożył

WIESŁAW KOTAŃSKI

## OD TŁUMACZA

Starszy, siwawy pan, średniego wzrostu, o wychudłej postaci, lecz czerstwy i nienagannie się trzymający, ubrany w ciemne kimono, powitał mnie latem 1958 r. w mieście Kamakura, przed progiem swojej willi.

Poza zewnętrzną charakterystyką gospodarza niewiele wspomnień ze spotkania z panem Kawabata udało mi się zachować. Dom typowo japoński, zebrane w nim cenne obiekty sztuki ludowej, przyjęcie dla kilku osób przy tradycyjnie niskim, choć dużym stole, pięknie przygotowane przystawki a la *japonaise* i wódka ryżowa *sake* rozlewana na ciepło do płytkich małych czarek — wszystko to stanowiło raczej tło, na którym obiecywałem sobie zaobserwować zachowanie się pisarza w jakimś pełnym niespodzianek ceremoniale... Słyszałem przecież już coś niecoś o Kawabacie jako o znanym *bon vivant!* Tymczasem bohater okazał się w miarę tylko ożywiony, mało rozmowny, natomiast przenikliwie wpatrujący się w mówiącego. Kilka krótkich grzecznościowych toastów za zdrowie gościa i pomyślny rozwój dalekiej Polski, odwzajemnionych w dalszych kolejkach, nie przyniosło bynajmniej nasycenia. Pytań też nie stawiał niema! żadnych. Całkowite chyba przeciwieństwo stanowiła żona pisarza, stale pełna inicjatywy w urozmaicaniu gościom i mężowi czasu.

Nie jedyny to niewątpliwie pisarz, który jest zamknięty w sobie i w pewnej mierze oderwany od życia. Kawabata zresztą, mimo że łatwo się od otoczenia psychicznie izoluje, bynajmniej od życia nie stroni. Chętnie zje i wypije, uczestniczy w wycieczkach i podróżach, bierze czynny udział w życiu literackim, w szczególności wiele pomagając młodym adeptom, zwiedza wystawy, rozgrywa nawet mistrzostwa japońskiej gry zwanej *go* itd.

Y. Kawabata urodził się 11. VI. 1899 w Osaka. We wczesnej młodości traci oboje rodziców, po czym biorą go na wychowanie dziadkowie. W wieku lat ośmiu przeżywa śmierć babki, a wreszcie jako szesnastoletni młodzieniec — śmierć dziadka. Pod opieką obcych ludzi chłopiec kończy szkołę średnią i liceum, aby wstąpić na Uniwersytet Tokijski W 1924 r. kończy Wydział literatury Japońskiej. Debiut literacki przychodzi jeszcze w czasie studiów, w r. 1921. Nowela zamieszczona wtedy w jednym z czasopism, tak samo jak i następna wydrukowana w 1923 r” nie stanowią jeszcze rewelacji. W 1924 r. zakłada Kawabata wspólnie z rówieśnikiem swoim R. Yokoraitsu pismo literackie „Bungei-jidai” i w r. 1926 zamieszcza tu nowelę pt. *Izuno odoriko* („Tancerka z Izu”), która przynosi mu dużą sławę. W następnych latach ogłasza szereg dalszych utworów. Lecz dopiero rozpoczęty w 1935 r. druk fragmentów, później ogłoszonej w całości powieści *Kraina śniegu* znowu odświeża sławę twórcy. Odtąd zresztą coraz częściej poczynają się pojawiać powieści świadczące o jego

niespożytych siłach twórczych. Do najsłynniejszych należą: *Yama-no oto* („Odgłosy gór”, 1949), *Sembazuru* („Tysiące żurawi”, 1950), *Mizuumi* („Jezioro”, 1954), w których talent jego rozwija się z coraz większą siłą.

Kawabata należy w obecnej chwili do najpopularniejszych pisarzy w Japonii. Wielokrotne nakłady jego utworów znajdują zawsze wdzięcznych czytelników. Na poczytność tego autora składa się kilka czynników. Część z nich ma charakter pozaliteracki, część zaś tkwi w literackich walorach twórczości Kawabaty.

W latach dwudziestych w społeczno-politycznym życiu Japonii zachodziły głębokie przemiany: silny kryzys gospodarczy, imperialistyczna agresja na kontynent, rozwój protestacyjnych ruchów robotniczych, terrorystyczne metody faszystowskiego rządu. W tym okresie pojawia się na arenie literackiej Kawabata, utalentowany pisarz, który ze względów estetycznych ogranicza się niemal wyłącznie do zainteresowania tym, co piękne i wzruszające, i fantazję traktuje jako porywający wypad w krainę starannie wyselekcjonowanych osobistych wspomnień i skojarzeń.

W warunkach lat dwudziestych w Japonii droga Kawabaty, zwana z punktu widzenia teorii szkół literackich „neosensualizmem” lub „szkołą nowego widzenia”, poczęła zdobywać coraz szersze uznanie kręgów czytelniczych. Jego piękne, niemal pozbawione cieni, artystycznie przetworzone relacje z jak najbardziej zazwyczaj autentycznych, osobistych „przygód” dawały szerokiej odbiorcy wytchnienie i pozwalały mu nie tylko zapominać o codziennych troskach, lecz także dostrzegać piękno i przyjemność w rzeczach drobnych, bliskich i dostępnych niemal każdemu, a przede wszystkim w rzeczach japońskich, gdyż Kawabata wyjątkowo potrafi odsłaniać ich urok. Te bogactwa pisarstwa Kawabaty przysparzały mu zawsze czytelników i naśladowców. Za mistrzem poszło wielu innych nie mniej utalentowanych autorów, którzy wraz ze swym duchowym wodzem I dziś jeszcze, po wojnie, stanowią w Japonii najbardziej wpływową grupę pisarzy. Jasna rzecz jednak, że po przeżyciach wojennych niejedno w poglądach estetycznych i ideowych pisarzy tej grupy uległo przewartościowaniu.

Kawabata zresztą nie jest w realizacji swego pisarskiego programu nienaturalny, co też zdobywa mu wśród czytelników czułych na szczerość wypowiedzi niemałe uznanie. Do charakterystycznej postawy wyrafinowanego estety, niezdolnego do co wznioślejszych porywów lub wzbraniającego się przed nimi, doprowadziły Kawabatę niewątpliwie już doświadczenia młodości. Wytworzył w sobie system obrony, każący mu unikać przesadnych efektów, stronić od wszystkiego, co grozi smutkiem, budzi odrazę lub sprowadza poważniejsze kłopoty. Podstawowymi motorami owej postawy są zapewne: apokaliptyczna

wizja śmierci stanowiącej nie kres, a raczej przeciwieństwo życia oraz charakterystyczny dla sierot lęk przed osamotnieniem. To one wywołują stały głód wrażeń, których podstawową funkcją ma być potwierdzenie istnienia i życia, zmuszają do szukania towarzystwa, przyjaciół, choć stała obawa, czy się ich wkrótce nie straci, stwarza hamulce uczuciowe silniejsze może od potrzeby kontaktu. Lubiany przez ludzi, z którymi się styka, mrozi ich jednak swą stałą rezerwą. Uchodzi za znawcę kobiet, lecz mimo najwyższej kurtuazji, która łatwo zyskuje mu ich sympatię, nie ma opinii pożeracza serc. Zawiedziony w młodości, nigdy już nie uwierzy w możliwość przewidywania dalekich perspektyw — niezrozumiała interwencja losu w ludzkie sprawy zawsze może pokrzyżować wyimaginowane pragnienia, a więc zamiast wątpliwych rojeń bezpieczniej jest nie wybiegać wyobrażeniami poza to, z czym się człowiek bezpośrednio styka lub czego już był kiedyś świadkiem.

Umiejętność wnikliwych obserwacji i pogoń za ich urozmaiceniem znakomicie sprzyjają inwencji twórczej autora, który chętnie patrzy na świat przez pryzmat własnej osobowości, przystosowanej do miary przeciętnego inteligenta. To daje zrozumiałą i interesującą dla większości pozycję obserwacyjną. Pozostaje jeszcze kwestia doboru odpowiedniej techniki i formy literackiej. I tu również Kawabata utrafił w gusta swoich czytelników. Czytelnik japoński jest dobrze zaznajomiony z nieomal półtoratysiącletnią tradycją literacką swego narodu. Żyje ona zarówno w licznych przedrukach znakomitszych klasyków jak i nowoczesnych przekładach i adaptacjach, żyje też w teatrach, z których część pielęgnuje repertuar i tradycje wyłącznie rodzime, klasyczne z XIII—XIV lub XVII—XIX w., żyje nawet fragmentarycznie w powszechnie znanym obyczaju (stare pieśni, gra w wierszowe karty zawierające starożytną poezję itp.). Kształtuje to smak literacki ogółu, który mimo olbrzymich wpływów literatur europejskich, dostępnych w licznie dokonywanych przekładach pozostał nadal bardzo japoński. Kawabata odczytany w tej literaturze w czasie studiów uniwersyteckich i przede wszystkim głęboko w niej rozmiłowany, potrafi przejąć z klasyków wiele cennych wskazówek i umiejętnie wykorzystać je w swych utworach. Liryczny nastrój, poetycka rytmiczność frazy, operowanie symbolami, niedomówieniami i skrótami typowymi dla japońskiego krótkiego wiersza — to najbardziej charakterystyczne elementy jego prozy. Uważane nawet bywają przez krytykę za słabości tego pisarza, lecz z drugiej strony odbiorcy japońscy przypisują zwykle tej staroświeckiej patynie przydanej na wskroś nowoczesnym treściom bardzo duże dodatnie znaczenie.

*Kraina śniegu* jest typowym dla Kawabaty utworem. Jej bohater, Shimamura, ma w sobie wiele z samego autora, w każdym razie reprezentuje niektóre z jego życiowych postaw. Najcharakterystyczniejszą z nich sam autor określa w autobiografii jako ciągle przeżywanie

snów na jawie. Komako, dziewczyna z krwi i kości, biorąca na serio swe głębokie uczucie, napotka w nim partnera, który nie jest zdolny do całkowitego oddania się drugiej osobie. Czytelnik niewątpliwie stanie po stronie tej bezpretensjonalnej, prostolinijnej kobiety, będzie odczuwał dziejącą się jej krzywdę — autor jest na tyle samokrytyczny, że nie próbuje nawet wybielać zachowania swego bohatera. Symbole rozsiane w utworze, niezwykle trudne do równoznacznego oddania w tłumaczeniu na polski, mogłyby niekiedy pomóc we właściwym interpretowaniu całości. Sam tytuł, niezależnie od tego, że określa teren czy tło całej akcji, stanowić też może symbol, np. bieli, która zdolna jest oczyścić z brudu każdą istotę, i chłodu, który przez kontrast wyolbrzymia znaczenie każdego cieplejszego uczucia. Śnieg w całej scenerii może też być symboliczną próbą usprawiedliwienia oziębłości Shimamury. Te przykłady mają swoje uzasadnienie *expressis verbis* w tekście. W momencie kłótni z Shimamurą Komako posłyszysz nagle krakanie wron — to starojapoński symbol nieprzyjemnej sytuacji. Poza symbolami znajdziemy tu też frazy odgrywające podwójną rolę — specjalny trop w poezji japońskiej: gdy np. przy spotkaniu z Yoko na cmentarzu zrywa się nagle jakiś gwałtowny podmuch wichury, wywołuje go pozornie niefortunne odezwanie się Komako, a faktycznie nie zauważony wcześniej przejazd pociągu w ich pobliżu.

Natomiast nie wolno dopatrywać się ani symbolu, ani dwuznaczności w takich wypadkach, gdy np. autor zestawia pełnokrwiste wargi kobiety z przyssawką pijawki — to jest dla Japończyka czysto przyrodnicza obserwacja, użyta może z zamiarem zbulwersowania czytelnika, a już w każdym razie obca estetyce europejskiej; na nieszczęście polski wyraz „pijawka” kojarzy się też etymologicznie z „piciem krwi”, czego w japońskim nie ma. Ominąć takich momentów tłumacz nie był w stanie. Na szczęście tego rodzaju obcych nam estetycznie pomysłów spotykamy w powieści niewiele.

Warto wreszcie uprzedzić czytelnika, zwłaszcza takiego, który lubi dostrzec kropkę nad każdym *i*, że daremnie szukałby w tej książce zakończenia niektórych poruszonych mimochodem w treści i do końca nie wyjaśnionych kwestii. Stosunek Komako do Yukio i prawdziwe motywy jej zainteresowania Shimamurą zaznaczone są raczej wieloznacznie. Czy Yoko poniosła śmierć lub czy Shimamura będzie nadal spotykać się z Komako — to też pozostawione jest domysłowi czytelnika. Niewątpliwie ów rodzaj aluzyjności nie jest negatywną, lecz pozytywną stroną utworu.

Przekład *Krainy śniegu* należał raczej do trudnych. W ogóle tłumaczyć z japońskiego nie jest łatwo i ze względu na swoistą hermetyczność struktury tego języka, i ze względu na jego odrębności w zakresie semantyki, a co za tym idzie w obrazowaniu, metaforyce itp. Kawabata jednak zaskakuje tłumacza ponad to obfitością ciekawych realiów (życie gejsz,

mało znany teren gorących źródeł w obfitujących w śniegi okolicach zachodniej części wyspy Honshu). Zmuszały one wielokrotnie do zachowania w tekście oryginalnej nazwy przedmiotu. Jeśli idzie o wymowę wyrazów japońskich w tej książce, zalecić można czytelnikowi zapamiętanie kilku zasad, A więc najważniejsze: -ch czytamy zawsze jak polskie -ć-, -j- jak polskie -dź-, -sh- jak -ś- -y- jak -j-; i mniej ważne: -w- wymawiamy jak angielskie -w-, -z- jak -dz-, -i- przed innymi samogłoskami wymawiamy oddzielnie (np. Yuki-o). Resztę liter wystarczy w praktyce traktować jak w polskim. Być może polski przekład posiada pewne nieścisłości, choć tłumacz dołożył wszelkich starań, by ich było jak najmniej. Posiada swoje mankamenty również i sam oryginał, najbardziej rzuca się w oczy powtarzanie całych fragmentów tekstu, w kilku miejscach niemal dosłownie, co wynika prawdopodobnie z faktu, że powieść ukazywała się pierwotnie w kilku oddzielnych fragmentach traktowanych jak osobne nowele. Niestety, wydana później całość nie została należycie oczyszczona z niepotrzebnych powtórek, które wypada obecnie traktować jako zamierzony efekt artystyczny.

Wiesław Kotoński

KRAINA ŚNIEGU

Z długiego tunelu przecinającego granicę dwu okręgów wjechało się w krainę śniegu. Dno nocy zamajaczyło bielą. Pociąg zatrzymał się pod sygnałem.

Dziewczyna siedząca po drugiej stronie wagonu wstała ze swego miejsca i otworzyła okno na wprost Shimamury. Powiało śnieżnym chłodem. Dziewczyna, daleko wychylając się z okna, zawołała, jakby ten, do kogo się zwracała, był gdzieś w oddali:

— Panie zawiadowco! Paanie zawiadowco! Mężczyzna, który z latarnią zwisającą mu z ręki powolnym krokiem zbliżył się rozdeptując śnieg, okutany był aż po czubek nosa w szal, a klapy futrzanej czapy opuszczone miał na uszy.

Czyżby aż tak było zimno? — przebiegło Shimamurze przez myśl. Spojrzenie jego skierowało się na zewnątrz. Były tu tylko baraki, przeznaczone zapewne na kwatery dla kolejarzy, które rozpierzchły się po stoku wzgórza i zakrzepły jakby od zimna; biel śniegu nie dochodziła do nich, pochłaniana przez ciemność.

— Panie zawiadowco! To ja... Jak pana zdrowie?

— Aa! To ty, Yóko? Już wracasz? A u nas znowu zimno!

— Podobno mój brat dostał tu niedawno u pana pracę... Przepraszam pana za wszystkie z nim kłopoty...

— Et... W tej dziurze zaraz mu się pewno sprzykrzy siedzieć... Tu szkoda młodego!

— Tak, to jeszcze prawdziwe dziecko. Proszę pana, panie zawiadowco, niech pan nie szczędzi mu swych wskazówek!

— Dobrze, dobrze... On tu dzielnie pracuje. A odtąd coraz więcej będzie roboty. W zeszłym roku — pamiętam — nawaliło dużo śniegu. Spadło sporo lawin, pociągi wszystkie stanęły i całe osiedle miało masę roboty, żeby gotować dla pasażerów jedzenie...

— Pan zawiadowca, widzę, jest dość ciepło ubrany. A brat pisał mi w liście, że podobno nawet jeszcze kamizelki nie nosi...

— O, ja to mam na sobie cztery kimona. Ale młodzi, jak zimno, to tylko popijają *sake*. A potem wyleguje się całe to zaziębione bractwo!

Zawiadowca stacji machnął latarnią w kierunku baraków.

— I mój brat też pije sake?

— Nie, nie!

— Pan pewno już spieszy do domu?

— Skaleczyłem się przed chwilą i właśnie idę do lekarza.

— O! Proszę na siebie uważać!

Zawiadowca, w płaszczu narzuconym na kimona, jak gdyby chcąc już przerwać tę zimną rozmowę, odwrócił się do niej plecami.



— No to bywaj zdrowa!

— Panie zawiadowco, czy mój brat jest teraz tu, na peronie? — Yóko wodziła wzrokiem po

śniegu. — Niech pan zwróci czasem na brata uwagę, bardzo proszę!

Głos jej był piękny, a przy tym dziwnie smutny. W wyższych tonacjach zdawał się dźwięczeń niby echo odbite od śniegu otulonego nocą.

Pociąg ruszył z miejsca, ale dziewczyna nadal pozostawała na wpół wychylona w oknie. Gdy zaś wagon dogonił zawiadowcę idącego wzdłuż szyn, krzyknęła:

— Panie zawiadowco! Niech pan powie bratu, żeby przyjechał do domu w najbliższe święto!

— Doobrze! — natężył głos zawiadowca. Yóko zamknęła okno i przyłożyła sobie ręce do zaczerwienionych policzków...

W górach tutejszego okręgu oczekiwano śniegów trzymając w pogotowiu trzy śnieżne pługi. U południowego i północnego wylotu tunelu założone były przeciwlawinowe elektroautomaty ostrzegawcze. Z pięć tysięcy robotników specjalnie zmobilizowanych dla uprzątnięcia śniegu i do tego ze dwa tysiące młodzieży zorganizowanej w ochotniczych strażach pożarnych czekało już w gotowości na wypadek alarmu.

Przypadkowo posłyszana wiadomość, że brat dziewczyny, którą nazwano przed chwilą Yóko, pracuje od niedawna na tym przystanku, gdzie już wkrótce wszystko skryje się pod śniegiem, sprawiła, że Shimamura począł z coraz większym zaciekawieniem obserwować towarzyszkę podróży.

Nazywał ją w myślach dziewczyną, ale kim był dla niej towarzyszący jej mężczyzna, nic pewnego oczywiście nie można było wywnioskować. Zachowywali się wprawdzie jak para małżonków, mężczyzna jednak był najwyraźniej chory, a w towarzystwie chorego dystans, jaki dzieli zwykle kobietę od mężczyzny, mimo woli się zmniejsza. Im bardziej poważnie traktuje kobieta swe obowiązki opiekunki, tym łatwiej poczytać ją za żonę tego, kim się opiekuje. Szczególnie zaś, gdy otacza troskliwością godną młodej matki starszego od niej mężczyznę, można ją — patrząc na to z boku — wziąć za oddaną mężowi żonę.

Shimamura jednak odłączył dziewczynę w swych myślach od jej towarzysza i po prostu bez dłuższego zastanawiania się — wniosując z własnego tylko wrażenia o jej wyglądzie — osądził, że nie można jej uważać za zamężną. Ale na to przekonanie musiała niewątpliwie wpłynąć dodatkowo i jego własna afektacja, gdyż od pewnego już czasu aż nazbyt długo obserwował ją w niemym zachwycie.

Już przed trzema może godzinami Shimamura począł z nudów zabawiać się palcem

wskazującym swej lewej ręki, wykonując nim rozmaite ruchy. Na dobrą sprawę ten tylko palec zachował całkiem świeżą pamięć kobiety, na spotkanie z którą właśnie jechał. W chaosie wspomnień, które — mimo gorączkowych usiłowań, by je sobie jaśniej uprzytomnić — rozplywały się mgliście, nie dając się wyraźnie uchwycić, tylko ten palec — jeszcze teraz ją pamiętający — zdawał się przybliżać go do owej dalekiej kobiety. Ogarnięty tymi dziwnymi myślami, Shimamura podniósł palec na wysokość nosa i usiłował uzmysłwić sobie jej zapach, a następnie bez żadnego specjalnego zamiaru przeciągnął nim po szybie okna. Był wręcz zaskoczony, gdy w tym miejscu pojawiło mu się całkiem wyraźnie oko kobiety. Omal nie krzyknął z przestachu. Ale nie było w tym nic niezwykłego: po prostu odbiegł gdzieś daleko myślami od rzeczywistości i dopiero gdy nieco ochłonął, zrozumiał, że jest to odbicie kobiety siedzącej naprzeciwko. Po drugiej stronie szyby zapadły już nocne ciemności i w pociągu zapalono światło. Szyba okienna stała się tedy lustrem. Pod wpływem jednak gorąca płynącego z grzejników całkowicie pokryła się parą, tak że dopiero gdy ją stał palcem, wystąpiło odbicie.

Choć w przetartym skrawku szyby odbijało się jedno tylko oko dziewczyny, nawet w tym niewielkim fragmencie można było odgadnąć niezwykle piękno całej postaci. Ale Shimamura zbliżył twarz do okna i udając, że nagle podróż już mu się sprzykrzyła i chciałby sobie popatrzeć na wieczorne widoki, przetarł dłonią resztę szyby.

Dziewczyna, pochylona cokolwiek do przodu, spoglądała bacznie na mężczyznę spoczywającego na wprost niej. Silne napięcie ramion wskazywało, że koncentruje swą uwagę do tego stopnia, by nawet jej poważne oczy nie mrugały bez potrzeby. Mężczyzna opierał się o ścianę przy oknie, a zgięte w kolanach nogi umieścił na ławce obok dziewczyny. Był to wagon trzeciej klasy. Shimamura nie siedział w jednym z nimi rzędzie, lecz po przeciwnej stronie, o jeden rząd ławek w tyle. Z tego też powodu w szybie odbijała się tylko górna część twarzy śpiącego mężczyzny, na tyle, że widać było ucho. Dziewczyna natomiast siedziała nieco na wskos od Shimamury, twarzą zwrócona do niego, tak że mógł ją bezpośrednio obserwować. W momencie gdy wsiadła z towarzyszem swym do pociągu, Shimamura, oczarowany nieco jej chłodną i zdającą się przeszywać go na wskroś pięknnością, spuścił oczy i właśnie wtedy dostrzegł bladożółtą dłoń mężczyzny ściskającą silnie rękę dziewczyny; od tej chwili Shimamura nie potrafił już bez uczucia dziwnej niechęci spoglądać w tym kierunku. Odbita w szybie twarz mężczyzny wyrażała pewność siebie i spokój, zdające się płynąć choćby tylko stąd, że wzrok jego spoczywał na piersi dziewczyny. Osłabienie chorego znakomicie dopełniało harmonii między nimi. Jeden koniec szala podsunął sobie pod głowę, drugim zaś owinał się aż po sam nos, tak że usta miał całkowicie zakryte, ponadto

otulił sobie jeszcze nie osłonięte części policzków, tak że razem wyglądało to niby rodzaj kwefu, który co chwila to mu się obsuwał, to znów naciągany był aż na nos. Zanim jeszcze mężczyzna zdążył dać jej znak choćby mrugnięciem oka, już dziewczyna łagodnym ruchem ręki poprawiała, co należało. Powtarzali automatycznie te same ruchy, aż Shimamura, patrzący na to, począł się niecierpliwić. To znowu poły palta, okrywające nogi mężczyzny, rozsuwały się i luźno zwisały. I ten moment również dziewczyna w mig dostrzegła i przywracała okrycie do porządku. Wszystko to wyglądało zupełnie naturalnie. Odrywając się jednak w ten sposób od otaczającego ich świata, robili wrażenie raczej jakichś bezcielesnych postaci zdążających gdzieś w bezkresną dal. Dlatego też Shimamura nie odczuwał bynajmniej przygnębienia na myśl, że jest świadkiem owych nieco rażących go scen; czuł się tylko tak, jakby przeżywał to wszystko we śnie. A wpłynęło na to zapewne owo magiczne lustro, w którego powierzchni mógł swój sen oglądać.

W głębi nieustannie przesuwiał się wieczorny krajobraz, tak że odzwierciedlone postacie i odbijające je ruchliwe dno lustra poczęły się nakładać na siebie jak w jakimś montażu filmowym. Osoby występujące w tym filmie i tło jego akcji nie wiązały się ze sobą zupełnie. Osoby te jednak były w odbiciu tak przezroczyście nieuchwytnie, a przy tym scenerię stanowił nieprzerwany potok tak tajemniczych wieczornych ciemności, że kiedy oba te elementy zlewały się w jedno, tworzyły razem jakiś symboliczny świat, niepodobny do świata realnego. Szczególnie gdy światła błyskające od strony pól i gór uderzały w twarz dziewczyny, wydawała się ona Shimamura tak niewypowiedzianie piękna, że aż serce biło mu głośniejszemu w piersi.

Niebo nad dalekimi szczytami górskimi majaczyło jeszcze resztkami wieczornej zorzy, krajobraz więc widoczny przez okna wagonu roztaczał się dość daleko, a kształty przedmiotów nie traciły w nim swej wyrazistości. Kolory jednak stopniowo już się zatracaly, a jednostajne widoki przesuwających się przed oczami równin i wzniesień stały się przez to jeszcze bardziej monotonne. Nie było nic, co by odcinało się od całości i przyciągnęło uwagę wprost przeciwnie — wszystko przeradzało się w jeden niejasny a olbrzymi prąd wrażeń. Pochodziło to, oczywista, stąd, że na tle całej tej mglistej perspektywy jawiła się stale twarz dziewczyny. Choć w tej części szyby, gdzie odbijała się jej sylwetka, nie było widać, co dzieje się poza oknem, to przecież wokół konturu jej postaci poruszał się bez przerwy cały pejzaż wieczoru, a przez to i oblicze dziewczyny odczuwało się jakoś przezroczyście. Nie było ono jednak naprawdę ani przezroczyście, ani nieprzezroczyście. Shimamura odnosił chwilami wrażenie, jak gdyby wieczorna panorama, na której tle nieprzerwanym nurtem przepływało odbicie jej twarzy, prześwitywała poprzez płaszczyznę tego odbicia, choć trudno

było uchwycić ten moment z całą pewnością.

Lampy wewnątrz pociągu też nie świeciły zbyt jasno, więc odbicie nie rysowało się tak wyraźnie jak w zwykłym lustrze. Brakowało mu owego połysku, jaki zazwyczaj daje lustro. Dlatego też Shimamura, patrząc na sylwetkę dziewczyny, z wolna pozbył się uczucia, że ma do czynienia z lustrzanym odbiciem, i wyobraził sobie z kolei, że dziewczyna płynie tam na zewnątrz, zanurzona w bieżącym potoku obrazów wyczarowanych przez wieczorną porę.

W tym momencie na jej twarzy rozblęsnęło jakieś światło. Odbicie widzialne w lustrze nie zdołało zdusić światła płynącego spoza szyby. Ale i światło nie zniweczyło odbicia, a tylko przepłynęło przez twarz dziewczyny. Twarz ta jednak bynajmniej nie zaśniła od niego jasnością. Było to światło zimne i dalekie. Rozjaśniło tylko na chwilę to miejsce, gdzie czerniły się jej drobne źrenice, a zaledwie oczy dziewczyny i światło nasunęły się na siebie, źrenice te zmieniły się w dwa czarownie piękne nocoświatliki, unoszące się pośród ruchliwych fal ciemności wieczoru.

Yóko nie miała pojęcia, że ją ktoś tak obserwuje. Cała jej uwaga była skierowana wyłącznie na chorego i choć zdarzało się, że obracała się w stronę Shimamury, mogła nie zauważyć odbicia własnej postaci w szybie, a na mężczyźnie wyglądającym przez okno wzrok jej chyba na dłużej się nie zatrzymał.

Shimamura nie zdawał sobie nawet sprawy, że to niestosowne tak długo przyglądać się ukradkiem obcej dziewczynie. Bez wątpienia oszołomiła go nieziemska potęga lustra, w którym dzisiejszego wieczoru tyle dziwów się rozgrywało. Toteż sam sposób zachowania się dziewczyny wówczas, gdy przywołała zawiadowcę stacji, a było w tym zachowaniu aż nazbyt wiele powagi, skłonił go już — być może — do patrzenia na nią przede wszystkim tak, jakby była jakąś postacią ze starej, romantycznej opowieści.

W czasie gdy mijali ów kolejowy przystanek, za oknem panowały już zupełne niemal ciemności. W miarę jak strumień widoków po drugiej stronie okna wygasał, zanikał też czarodziejski efekt zwierciadła. Piękna twarz Yóko nadal się w nim odbijała, ale mimo ciepła w zachowaniu dziewczyny wobec chorego Shimamura na nowo poczuł płynący od niej wyraźnie chłód i już nawet nie próbował przecierać szyby, gdy powtórnie pokryła się parą.

Jakież było zatem jego zdziwienie, gdy w pół godziny później Yóko wraz z towarzyszem wysiadła na tym samym co on przystanku. Oglądał się jeszcze za nią i jej towarzyszem, jakby wiedział, że coś ma się im przydarzyć, albo jakby miał z nimi coś wspólnego, ale gdy ziąb na peronie silniej go przejął, przypomniał sobie nagle z zażenowaniem, jak niewłaściwie się zachowywał wobec niej w wagonie, i nie czekając, co

dalej ze sobą poczną, przeszedł, okrążając lokomotywę, na drugą stronę toru.

Widział jeszcze potem, jak mężczyzna trzymając Yoko za ramię zamierzał przejść przez jeden z torów, gdy jakiś kolejarz z obsługi stacji, stojący po przeciwległej stronie, podniósł rękę i zatrzymał ich.

Wtedy wreszcie długi towarowy pociąg, który wynurzył się z ciemności, skrył mu widok ich postaci.

Wysłannik gospody, do którego zadań należało witanie zapowiedzianych gości, ubrany był w szykowny uniform przystosowany do ochrony przed śniegiem, całkiem podobny do niebieskiego stroju strażaka biorącego udział w akcji podczas pożaru. Uszy miał zasłonięte, a na nogach gumowce z cholewami. Z poczekalni stacyjnej wyglądała w stronę torów jakaś kobieta również w niebieskim palcie z kapturem nasuniętym na głowę.

Shimamura, któremu po wyjściu z ogrzanego wagonu wciąż jeszcze było ciepło, nie wyczuwał faktycznego zimna w powietrzu, a ponieważ po raz pierwszy był w tej krainie śniegu zimą, z miejsca się przeraził ubiorami tutejszych ludzi.

— Czy jest aż tak zimno, żeby nakładać na siebie tyle rzeczy?

— No cóż? Trzeba się już ubierać jak w zimie! Szczególnie chłodno jest wieczorami, zanim pogoda po śniegu się nie ustali. Teraz, w nocy, czuję, mamy już chyba poniżej zera...

— To mówicie, że jest poniżej zera? — Shimamura widział jednak małe sople lodu zwisające z okapu dachu. W chwilę potem wsiadał wraz z wysłannikiem gospody do samochodu. Biel śniegu sprawiała, że niskie dachy domów wydawały się jeszcze niższe, a całe osiedle robiło wrażenie, jakby zapadło się nieco w ziemię.

— Rzeczywiście! Mróz odczuwa się tu zupełnie inaczej!

— W zeszłym roku bywało przeważnie poniżej dwudziestu kilku stopni...

— A śnieg?

— O, zwykle mamy powyżej dwu metrów, a często bywa i ponad cztery!

— Już niedługo będą padać śniegi, prawda?

— O tak! Tylko patrzeć, jak spadną. Ten śnieg, co teraz leży, spadł niedawno, ale tylko ze trzydzieści centymetrów, i już prawie całkiem stopniał.

— To on tu nawet topnieje?!

— Już lada dzień przyjdą większe opady, z pewnością!

A był dopiero początek grudnia.

Nos Shimamury, który dotąd ze względu na uporczywy stan zaziębienia był zatkany, stał się nagle drożny na przestrzał i począł ciurkiem cieknać, jakby wszystkie nieczystości zostały z niego czymś splukane.

— Czy nauczycielka muzyki i ta jej dziewczyna nadal tutaj mieszkają?

— Owszem, mieszkają! Ona była nawet na stacji, nie zauważył pan? Miała na sobie grube, niebieskie palto...

— To była ona? Potem będzie chyba można ją przywołać?

— Ma pan na myśli dziś wieczór?

— Tak, dziś wieczór!

— Mówiono, że podobno dziś ostatnim pociągiem przyjedzie syn nauczycielki i dziewczyna wyszła na jego powitanie...

Więc ów chory, którym w głębi zwierciadła odbijającego wieczorną panoramę opiekowała się Yóko, był synem patronki kobiety, z którą Shimamura przyjechał się spotkać.

Zrozumiawszy to, poczuł wprawdzie, jakby jakiś prąd przepłynął mu przez pierś, ale cały ten wypadek nie wydał mu się znów tak bardzo osobliwy. Jeśli coś go tu zadziwiło, to jego własna postawa, a mianowicie, że mimo wszystko nie uważał tego za nadzwyczajny zbieg okoliczności.

Nie wiadomo dlaczego gdzieś w głębi serca Shimamury zdawało się nawet wyraźnie rodzić pytanie, jaki związek łączy lub ma połączyć w przyszłości kobietę, tak dobrze zapamiętaną przez jego zmysł dotyku, z kobietą z wagonu, w której oczach zajarzyło się wówczas światło. Czyżby nadal przedłużały się jego rojenia wywołane działaniem lustra odbijającego wieczorne pejzaże? A ów potok obrazów widzianych przez okno wagonu... — Czyżby był symbolem upływu czasu? — wyszeptał do siebie niespodzianie.

Przed nastaniem sezonu narciarskiego w hotelikach i zajazdach z gorącymi źródłami bawi najmniej gości. Gdy Shimamura wracał na górę ze znajdujących się poniżej parteru pomieszczeń kąpielowych, wszędzie panowała już cisza, jakby wszystko spało. Gdy stapał, słychać było lekkie drżenie oszklonych drzwi wzdłuż starego korytarza. W odległym jego końcu, tuż przy zakręcie, gdzie znajdowała się dyżurka, stała kobieta ubrana w kimono, którego skraj opadał szerokim, jakby zamrożonym w swej formie wachlarzem na ciemno połyskującą podłogę.

Czyżby w końcu została gejszą? — zdziwił się Shimamura widząc jej długie kimono. Ona jednak ani nie podchodziła bliżej, ani nie pochyliła swej kibici w pełnym gracji powitaniu. Na widok jej wyprostowanej i niemal sztywnej postaci już z daleka wszystko zrozumiał. Przyspieszył kroku, ale choć znalazł się obok niej, nie odezwał się ani słowem. Gdy z kolei kobieta usiłowała się uśmiechnąć, na jej twarzy pokrytej grubą warstwą pudru pojawił się tylko grymas płaczu i też nie powiedziała ani słowa. W ten sposób skierowali się oboje w stronę jego pokoju.

Choć tyle rzeczy między nimi zaszło, od owego czasu ani listu do niej nie napisał, nie przyjechał ani razu z nią się spotkać ani nie przysłał obiecanych książek z zakresu nauki tańców. Cóż więc mogła o nim pomyśleć? Oczywiście, że zabawił się jej kosztem, a potem zapomniał o niej zupełnie. Nie pozostawało mu teraz nic innego, jak przeprosić ją i jakoś się usprawiedliwić.

Kiedy jednak szli tak razem nie patrząc nawet na siebie, ona miała czas pojąć i to, że nie ma do niego żadnego żalu, i to, że pragnie go teraz całym swoim jestestwem, on zaś z coraz większym zakłopotaniem rozpamiętywał w duchu, że choćby nawet pospieszył z jakąś wymówką, słowa jego w efekcie ujawnią tylko, jak mało godny jest zaufania. Szedł milcząco obok niej aż do schodów prowadzących na piętro, zatopiony w niezamąconym szczęściu, które budziła w nim sama bliskość tej kobiety.

U stóp schodów Shimamura nieoczekiwanie podsunął kobiecie pod oczy lewą pięść ze sztywno wysuniętym wskazującym palcem:

— Musisz wiedzieć... ten pamiętał ciebie najlepiej! — powiedział.

— Doprawdy?

Kobieta ujęła go za palec i poszła razem z Shimamura w górę po schodach, jak gdyby prowadząc go za rękę.

Gdy usiedli przy *kotatsu*<sup>1</sup>, puściła jego dłoń; ale nagle splonęła aż po kark rumieńcem i aby ukryć przed nim swe zmieszanie, znowu wzięła go za rękę.

— Czy to ona o mnie pamiętała?

— Ależ nie prawa, tylko ta! — uśmiechnął się Shimamura; wyjął swą prawicę spomiędzy dłoni kobiety wsuwając ją pod nakrycie *kotatsu* i jednocześnie podając jej zaciśniętą dłoń lewej ręki. Kobieta zastąpiła przeprosiny stłumionym chichotem.

— Aha, już będę wiedziała! Rozprostowała wszystkie palce zaciśniętej ręki

Shimamury i przycisnęła do niej swą twarz.

— Czy to ona pamiętała o mnie?

— A! Zimne! Nie zetknąłem się dotąd z tak zimnymi włosami...

— Czyżby w Tokio śnieg jeszcze nie padał?

— Już kiedyś w tym tonie ze mną rozmawiałaś; mimo wszystko jednak zupełnie nie masz racji. Gdyby tak było, jak myślisz, to sama powiedz, po jakie licho przyjeżdżałbym tu pod koniec roku na największe zimna?

---

<sup>1</sup> K o t a t s u - wpuszczony na ok. 1/2 m. poniżej poziomu podłogi piecyk opalany węglem drzewnym. Wierzchnia Jego część służy jako stolik i w chłodniejsze dni przykrywana jest pikowaną kołdrą, pod którą wsuwa się dla ogrzania nogi. (Przyp. tłum.)

Odległe to były czasy... Minęła właśnie groźba lawin i rozpoczęła się pora łążęgi po górach okrytych świeżą zielenią. Wkrótce nawet świeże pędy akebii<sup>2</sup> miały wypaść z zajazdowego menu.

Shimamura całymi dniami oddawał się jedynie próżniactwu; w tej sztuce z łatwością przechodził samego siebie. Góry były, zdaniem jego, znakomitym środkiem, żeby się z tego choć trochę otrząsnąć, począł więc odbywać samotne wędrówki po okolicznych szlakach. I tego wieczoru wrócił do owego uzdrowiska z gorącymi źródłami po całotygodniowym wypadzie w góry. Przyszedszy do gospody kazał przywołać sobie gejszę. Tymczasem dowiedział się, że tego dnia obchodzono w osiedlu uroczystość zakończenia budowy nowej drogi, a ponieważ sproszone tylu gości, że na sale bankietowe trzeba było zamienić zarówno tutejszą składnicę kokonów, jak i barak teatralny, zespół kilkunastu gejsz okazał się zbyt mały, żeby wszystko obsłużyć, a tym bardziej nie było nadziei, by któraś mogła jeszcze przyjść do niego. Dodano jednak, że gdyby zgodził się na dziewczynę, która mieszka w domu nauczycielki muzyki, to można by chyba na nią liczyć; wprawdzie ona też poszła bawić gości na bankiecie, ale ma wrócić do domu zaraz, gdy tylko wykona ze dwa, trzy tańce. Shimamura począł wypytywać służącą dokładniej i otrzymał wyjaśnienie, z którego wynikało, mówiąc w skrócie, że dziewczyna mieszkająca w domu nauczycielki gry na *samisen*<sup>3</sup> i solowych tańców nie jest właściwie gejszą, ale bywa czasami zapraszana na większe przyjęcia; ponieważ w osiedlu nie ma *hangyoku*, czyli młodych kandydatek na gejsze, a tylko sporo starszych, które nie palą się bynajmniej do pokazowego tańca, dziewczynę ceni się tu bardzo wysoko; do gości mieszkających w zajazdach sama nie przychodzi niemal nigdy, ale trudno byłoby twierdzić na pewno, że jest to kobieta nie mająca nic wspólnego z zawodem gejszy.

Relacja ta wydała mu się co najmniej dziwna, ale nie przywiązywał do niej żadnej wagi. Gdy jednak w jakąś godzinę potem służąca wprowadziła do niego tę kobietę, Shimamura, zaskoczony jej powierzchownością, aż rozprostował zgarbione podczas siedzenia plecy. Kobieta przytrzymała za rękaw służącą, która zamierzała zaraz odejść, i kazała jej pozostać w pokoju.

Już na pierwszy rzut oka odniósł wrażenie, że jest ona nad podziw schludna. — Taka to pewno i pod palcami stóp ma czysto — przebiegło mu przez myśl. Począł się nawet

<sup>2</sup> A k e b i a (łac. *Akebia quinata*) — popularny w Japonii, dziko rosnący w górskich okolicach krzew o ciemnofioletowych kwiatach i owocach. Liście i kwiaty pączkują w kwietniu. Jadalne są na wiosnę świeże pąki i pędy oraz Jesienią słodkie owoce. (Przyp. tłum.)

<sup>3</sup> *samisen* — popularny w Japonii, szczególnie wśród gejsz, instrument muzyczny o niemal prostokątnym pudle rezonansowym, obciągniętym skórą kocią, trzech jedwabnych strunach, wprawianych w drganie przy pomocy kościanego plektronu wielkości i kształtu żelźca małej siekierki. (Przyp. tłum.)



zastanawiać, czy ewentualnie jego własne oczy, które dotąd oglądały górską przyrodę wczesnego lata, nie stwarzają mu teraz Jakiegoś mirażu.

Sądząc po stroju można by ją było wziąć niemal za gejszę, z tym że szaty jej bynajmniej nie ciągnęły się po ziemi; miała zresztą na sobie miękkie, nie podszyte kimono, upięte raczej w normalny sposób. Jedyne obi, które wyglądało na kosztowne i przez to nie pasujące do reszty stroju, rzucało się rażąco w oczy.

Służąca korzystając z okazji, że rozpoczęli rozmowę o górach, oddaliła się. Kobieta nie знаła należycie nawet nazw szczytów, które widać było z tutejszego osiedla, a ponieważ Shimamura nie nabierał jakoś w jej obecności chęci na picie *sake*, poczęła mu całkiem niespodzianie bez żadnych zresztą osłonek opowiadać o sobie. Urodziła się właściwie tu, w krainie śniegu, ale wkrótce potem została oddana w kontrakt do Tokio jako *hangyoku*, skąd ją jednak wykupiono. Protektor jej myślał o tym, żeby w przyszłości urządzić ją jako nauczycielkę japońskich tańców, ale w ciągu niespełna półtora roku umarł. Gdy jednak Shimamura zagadnął ją o to, co zaszło od chwili zejścia tego człowieka ze świata po dzień dzisiejszy, a przypuszczalnie ten dopiero okres stanowił właściwą część historii jej życia, naraz odeszła ją chęć do zwierzeń. Według jej własnych słów miała lat dziewiętnaście. Może to i była prawda, ale on by jej dał raczej dwadzieścia jeden lub dwa. Mimo to Shimamura dopiero teraz poczuł się w jej obecności swobodniej. Zaczęli rozmawiać o teatrze *kabuki*<sup>4</sup> i okazało się, że dziewczyna lepiej się orientuje w indywidualnych stylach gry aktorów i w ogóle we wszystkim, co się z nimi łączy, niż on sam. Mówiła z podnieceniem, jak gdyby była spragniona towarzystwa kogoś, kto tak jej będzie słuchał jak on, i to sprawiło, że w zachowaniu jej poczęła się ujawniać swoboda, jaka ze zrozumiałych względów cechuje zwykle kobiety z półświatka. Słabości mężczyzn też na ogół zdawały się nie być jej obce. Mimo wszystko jednak Shimamura bez większego namysłu uznał ją za istotę nie mającą wiele wspólnego z zawodem gejszy, a ponieważ przez cały ostatni tydzień nie miał niemal dosłownie z kim zamienić słowa, był tak bardzo stęskniony za ludźmi, że do kobiety tej poczuł od razu coś w rodzaju przyjaźni. Sentymentalny nastrój, w jakim zwykle bywał znajdując się w górach, rozciągnął się i na tą kobietę.

Następnego dnia po południu wstąpiła na chwilę do jego pokoju zostawiając na dole mydło i ręcznik, które miała ze sobą, gdyż szła właśnie do kąpieli.

---

<sup>4</sup> *K a b u k i* — rodzaj tradycyjnego widowiska teatralnego w Japonii, istniejącego od XVII w., w którym zachowuje się zarówno stare scenariusze (dramaty historyczne i obyczajowe), kostiumy, jak i charakterystyczne style gry aktorskiej, przekazywane z mistrza na ucznia przez generacje artystów, noszących nawet po trzech wiekach te same nazwiska. (Przyp. tłum.)

Zanim jeszcze zdążyła usiąść, zwrócił się do niej bez ogródek, prosząc, żeby mu zechciała sprowadzić jaką gejszę.

— Jak to sprowadzić?

— Czy naprawdę nie rozumiesz?

— *Co to, to nie!* Doprawdy nawet by mi na myśl nie przyszło, że ktoś mnie może poprosić o coś takiego! — Kobieta, wzburzona, podeszła do okna i utkwiała wzrok w panoramie okolicznych gór. Policzki jej poczerwieniały. — Ależ tu nie ma takich kobiet!

— Możesz to mówić, ale nie mnie!

— No, naprawdę! — Powoli obróciła się do niego i przysiadła na parapecie okna. — Przecież gejszy nie można do niczego zmusić! Każda robi tylko to, czego sama chce! Nawet tu, w zajeździe, z pewnością takiej usługi wyświadczyć nie będą panu mogli. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, absolutnie żadnych! Niech pan sam idzie, zawoła sobie kogoś i osobiście się na ten temat rozmówi...

— Skoro cię proszę, zrób to dla mnie!

— Dlaczego miałabym to zrobić?

— Myślę, że jesteśmy przyjaciółmi. A ponieważ chciałbym, żebyśmy nadal nimi zostali, nie chcę tobie czynić żadnych propozycji.

— I to ma się nazywać przyjaźnią? — opierała się jeszcze dziecinnie, na wpół przekonana jego racjami; zaraz jednak wybuchnęła znowu: — Ale to wstrętne! Jak pan mógł zwracać się do mnie z czymś podobnym?!

— Przecież nie ma w tym niczego zdrożnego! Po prostu w górach natura poczyna upominać się o swoje prawa. Nawet z tobą nie mogę się nastawić na beztroski ton i poprowadzić zwykłej rozmowy.

Kobieta spuściła powieki nie odzywając się ni słowem. Shimamura teraz popisывał się już tylko swoim męskim zepsuciem, ale z jej postawy można było wyczuć, że potrafi z wyrozumieniem podejść do takich spraw. Jej spuszczone w dół oczy, a może po prostu gęste rzęsy sprawiły, że począł na nią patrzeć jakoś czule i niemal zmysłowo, a pod presją jego wzroku kobieta leciutko poruszyła w zniecierpliwieniu głową i znowu twarz jej splonęła nikłym rumieńcem.

— To niech pan już woła sobie, kogo pan chce!

— Przecież ciebie o to prosiłem! Pierwszy raz tutaj jestem i nie mam doprawdy pojęcia, która z dziewcząt jest ładna...

— Powiedział pan: ładna...

— No, niech będzie młoda! Przy takim określeniu w każdym razie nie będzie już

chyba większych pomyłek. Najlepiej, żeby to był ktoś, kto nie za dużo gada. I nie za bystra... I czysta... Gdy będę chciał po prostu pogadać, poproszę ciebie.

— Ja już tu więcej nie przyjdę...

— Nie opowiadaj głupstw!

— O! Powiedziałaś: nie przyjdę, i basta! Po co miałabym przychodzić?

— Z tobą chcę być na stopie czysto towarzyskiej i dlatego właściwie niczego takiego ci nie proponowałem!

— Ależ tak, oczywiście!

— Gdyby między nami coś takiego zaszło, kto wie, może już jutro sam twój widok nie byłby mi miły, nie mówiąc nawet o chęci do rozmowy. Sama widzisz, że wróciłem niedawno z dłuższego wypadu w góry, nastawiony specjalnie przyjaźnie do ludzi, i dlatego nie postawiłem mi nawet w głowie, żeby ciebie nagabywać. Ale jestem przecież tutaj przejezdnym gościem...

— Owszem! Ma pan swoją rację!

— No więc... Oczywiście, gdybym dostał kobietę, która nie wzbudzi twojej sympatii, później nie miałabyś ochoty nawet spotkać się ze mną. Znacznie więc lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś kobietę tę wybrała sama...

— Ani słowa więcej! — rzuciła z mocą i odwracając się od niego dodała: — Choć w tych sprawach to tak już z wami jest...

— Może być pierwsza lepsza, nie będę grymasił... Powiesz, że to niesmaczne! Ale to przecież na krótki moment tylko.

— Nie ma co! Faktycznie tak już jest z wami wszystkimi... Urodziłam się w jakiejś portowej dziurze, ale wydawałoby się, że tutaj będzie uzdrowisko na prawdziwie dobrym poziomie... — Kobieta stała się nagle bardziej bezpośrednia. — Tymczasem goście i tu na ogół są tylko przejazdem. Ja jeszcze jestem bardzo młoda, ale niejednego już się nasłuchałam. I zawsze bardziej tęskniłam za ludźmi, którzy mi podczas spotkań nawet nie powiedzieli, że mnie lubią, choć oczywiście jakoś wyczuwałam, że tak właśnie jest. O takich się nie zapomina, i to, jak myślę, długo jeszcze po rozstaniu z nimi! Czasami też ktoś przypomni sobie o mnie i napisze parę słów, a przeważnie bywają to właśnie ci, o których i ja pamiętam.

Podniosła się z parapetu i przyklękła miękko na macie w pobliżu okna. Przez chwilę wyglądała, jakby cofnęła się myślą w jakieś odległe czasy, ale wkrótce przypomniała sobie obecność Shimamury i przybrała stosowną minę.

W głosie jej było tyle bezpośredniego uczucia, że w sercu Shimamury zbudził się jakiś niepokój, jak gdyby ją zwiódł, i to bez żadnego oporu z jej strony. Nie miał powodu uciekać się wobec tej kobiety do podstępów. Nie była gejszą, a pragnienie kobiety, jakie odczuwał, nie

dotyczyło bynajmniej kobiet tego właśnie pokroju: chciał mieć do czynienia z kimś, z kim nie miałby kłopotów i wobec kogo nie doznawałby później żadnego poczucia winy. Ona była na to zbyt czysta. Nie przyszło mu do głowy nawet w myśli wiązać jej osobę ze sprawami tego rodzaju. Pewną rolę w takim jego do niej stosunku odgrywał jeszcze fakt, że szukał właśnie miejscowości, gdzie by się można skryć przed letnimi upałami, przy czym zastanawiał się też nad sprowadzeniem tu na kąpiele całej rodziny. Gdyby to zrobił, kobieta ta — na szczęście nie gejsza — mogłaby się okazać świetną towarzyszką dla żony, a w razie gdyby żonie się tu nudziło, uczyłaby ją jakiegoś tańca. Rozwahał tę możliwość całkiem serio. Choć więc mówił, że czuje do niej coś w rodzaju przyjaźni, nie odważył się wypłynąć na głębsze wody — wolał brodzić po płyčźnie w dozwolonej przepisami odległości od brzegu.

Sytuacja wydawała mu się tak samo nierealna, jak wtedy gdy obserwował refleksy wieczornego krajobrazu w szybie wagonu. Rezerwę dyktował mu nie tylko lęk przed kłopotami, jakie mógłby mieć później przez tę kobietę o niewyraźnej pozycji towarzyskiej, ale prawdopodobnie i to, że patrzył na nią w podobny sposób, jak wówczas na twarz tamtej dziewczyny, odbitą w oknie na tle zapadającej nocy.

Z jego zainteresowaniami dla zachodniego tańca było zupełnie tak samo. Shimamura, wychowany w handlowej części Tokio, już od dzieciństwa był za pan brat z mieszczańskim teatrem *kabuki*. Jako student jednak zwrócił swe upodobania ku tańcowi japońskiemu i rodzimym sztukom teatralnym, w których taniec stanowił element centralny. Gdy już do tego doszło, uganiać się począł za starymi zapisami z tego zakresu i nawiedzał domy mistrzów szkół tańca, gdyż pełnej satysfakcji doznawał zwykle dopiero wtedy, gdy przestudiował dane zagadnienie dostatecznie szeroko. Pozawierał też znajomości z ludźmi, którzy ostatnio wybili się w Japonii w dziedzinie tańca, i wreszcie mógł wziąć się nawet do pisania na ten temat studiów i krytyk. Naturalnym biegiem rzeczy począł teraz coraz częściej odczuwać niesmak na myśl, że tradycje japońskiego tańca pogrążone są w głębokim śnie, a wszelkie próby reform podejmuje się chyba po to tylko, by ich twórcy byli z siebie zadowoleni. Jego własne nastawienie skłaniało go więc do wniosku, że nie ma innego wyjścia, jak samemu rzucić się aktywnie w wir spraw związanych z tańcem, i nawet wciągnęła go już w nie młodsza generacja tancerzy, gdy nagle przerzucił swą pasję całkowicie na taneczne tradycje świata zachodniego. Przestał bywać na pokazach japońskiego tańca. Zamiast tego zbierał książki i zdjęcia dotyczące tancerzy Zachodu, a nawet kolekcjonował odpowiednie afisze, programy i tym podobne wydawnictwa, wszystko z trudem sprowadzając z zagranicy. Nie była to bynajmniej jedynie pusta ciekawość, wzbudzona egzotyką nieznanego przedmiotu. Nowa przyjemność, jaką w tym znalazł, płynęła z pewnością stąd, że nie miał okazji widzieć baletu

w wykonaniu artystów zachodnich. A przy tym można dodać, że Shimamura ani razu też się nie pokwapił, żeby popatrzeć na europejski taniec choćby w interpretacji Japończyków. Trudno nawet wymyślić sobie bardziej nieodpowiedzialne zajęcie niż pisanie o balecie zachodnim w oparciu o zachodnie wydawnictwa. Pisać o nigdy nie oglądanych produkcjach tanecznych to jakby pisać o czymś, co nie należy w ogóle do realnego świata. Jeśli się tak na to spojrzy, nie będzie to czyste teoretyzowanie przy biurku, lecz po prostu uprawianie jakiejś oderwanej od rzeczywistości liryki. Nazywał to sam studium naukowym, prawdę jednak mówiąc dawał się tu ponieść swobodnej grze wyobraźni; nie dążył do oceny sztuki tańca, ucieleśnionej w ruchach tancerza — rozkoszował się majakami własnej, roztańczonej fantazji, inspirowanej przez zachodnie książki i fotografie. Pasja ta nosiła wszelkie cechy miłości do kogoś, kogo się nawet nie widziało na oczy. Ponieważ jednak od czasu do czasu pisywał jakieś szkice na temat tańca Zachodu, uważano go za kawałek literata. Shimamura, który nie miał właściwie żadnego wyuczonego zawodu, sprawiało to wiele zadowolenia, jednocześnie jednak taka opinia często wywoływała na jego usta drwiący uśmiech.

Zabarwione fantazją wypowiedzi Shimamury o tańcu pomagały mu wprawdzie zdobywać względy kobiet, ale choć ta umiejętność oddawała mu usługi już od dość długiego czasu, całkiem bezwiednie traktował owe kobiety bodajże tak samo jak swój zachodni taniec.

Toteż gdy zauważył, że jego bez żadnego wewnętrznego przekonania rzucone zdanie, że jest w tej okolicy przejezdnym gościem (które zabrzmiało zresztą całkiem sztucznie w jego ustach), dotknęło jednak czegoś, co w życiu tej kobiety musiało mieć istotne znaczenie — poczuł się w duchu tak, jak gdyby popełnił wobec niej jakieś oszustwo.

— Jeśli tak się między nami wszystko ułoży, będę mógł w najbliższym czasie sprowadzić tu swoją rodzinę i zostaniemy wszyscy twoimi dobrymi przyjaciółmi — powiedział.

— O, proszę! Wszystko już doskonale rozumiem! — Kobieta uśmiechnęła się zniżając przy tym głos; było w tym uśmiechu nieco figlarności, jaka cechuje zwykle gejsze. — I bardzo nawet lubię takie stosunki. Coś krótkotrwałego z natury ciągnie się wtedy długo.

— A więc przywołasz kogoś do mnie?

— W tej chwili?

— Aha!

— Ależ to naiwność! Chyba tak w biały dzień, o tej porze, nie będzie pan jej mógł niczego zaproponować...

— Mnie jednak idzie o to, że później zostaną tylko same przebierki, których nikt już nie chciał...

— Widzę z pana słów, że tę miejscowość uważa pan, z gruntu zresztą fałszywie, za przeciętne kąpielisko, w którym za pieniądze wszystko można dostać. Pewno nie da się zrozumieć stosunków, jakie tu panują, dopóki się w nie głębiej nie wniknie. - Tu kobieta z całym naciskiem i poważnym głosem, w którym drgała jednocześnie jakaś nuta mimowolnie odczuwanej przykrości, powtórnie stwierdziła, że tutaj nie ma tego rodzaju kobiet. Gdy Shimamura wyraził swą wątpliwość, przybrała jeszcze bardziej rzeczowy ton, choć dało się już w jej słowach zauważyć wahanie. — Gejsza jest całkiem swobodna i może przyjąć lub odrzucić propozycję gościa, jeśli jednak zostanie u niego na noc bez zgody domu, który sprawuje nad nią opiekę, czyni to na swą własną odpowiedzialność, ale oczywiście tylko wtedy, gdy z osobistych względów zdecydowana jest na wszelkie konsekwencje swego czynu. W wypadku gdy opiekun daje jej zezwolenie, on staje się odpowiedzialny za wszystko i ponosi wszelkie skutki swej decyzji. Na tym właśnie polega różnica.

— Co to znaczy: odpowiedzialny?

— Idzie o te wypadki, gdy na przykład w wyniku spotkania urodzi się dziecko lub kobieta zarazi się jakąś chorobą...

Shimamura uśmiechnął się z przymusem, dziwiąc się w duchu głupocie własnego pytania. Ostatecznie, możliwe, że w tej górskiej miejscinie stosunki układają się w tak prosty sposób — przebiegło mu przez myśl.

Prowadząc próżniaczy tryb życia miał widać w sobie — jak wiele niezbyt pożytecznych owadów — jakąś naturalną zdolność przystosowywania się do warunków; na atmosferę panującą w miejscowościach, które odwiedzał, reagował zawsze z dużym wyczuciem, choć bez udziału świadomości. Gdy tylko zeszedł tu po dłuższej wycieczce w góry, od razu uznał tę wioskę — mimo jej skromnego wyglądu — za miejsce spokojne i przyjemne. W gospodzie dowiedział się, że rzeczywiście jest to jedna z miejscowości powszechnie uznanych za najprzyjemniejsze w całej krainie śniegu. Zanim w ostatnich latach przeprowadzono tu wreszcie kolej, było to podobno uzdrowisko niemal wyłącznie dla wieśniaków. Domy, do których zapraszano gejsze, a więc rozmaitego rodzaju gospody czy jadłodajnie, wywieszały nad drzwiami wyblakłe zasłonki, które umownie oferowały gościom takie właśnie usługi, ale poza tym wszędzie, gdzie się zobaczyło staroświeckie *shōji*<sup>5</sup> z poczerniałymi ramami, można było mieć pewność, że raczej klienci tu nie zaglądają, a pod

---

<sup>5</sup> *S h o j i* — drewniane kratownice oklejone półprzezroczystym białym papierem, przesuwane na szynach (i dające się wyjąć) w otworach okiennych i drzwiowych (szczególnie w drzwiach na werandę) w staroświeckich Japońskich domach, na noc zastawiane od wewnątrz i od zewnątrz drewnianymi okiennicami. *Shōji* instaluje się też między poszczególnymi pomieszczeniami wewnątrz domu. (Przyp. tłum.)

szyldem sklepu z towarami domowego użytku czy też sklepiku ze słodyczami trzyma się przynajmniej jedną wychowanę, której właściciele prócz tego prawdopodobnie pracują też na roli. Ta kobieta zaś była związana z domem nauczycielki śpiewu i gry na *samisenie* i dlatego zapewne gejsze nie miały jej za złe, że i ją, choć nie posiadała odpowiednich zezwoleń od władz, brano często do pomocy, gdy trzeba było obsłużyć jakiś bankiet czy inne zebranie towarzyskie. — Ile więc ich tu macie?

— Gejsz? Będzie chyba około tuzina.

— To nie powiesz, która z nich jest do rzeczy? — Shimamura podniósł się i zbliżył do dzwonnika, by wezwać służącą.

— Więc ja mam odejść? — rzuciła dziewczyna.

— Dlaczego masz odchodzić?

— Bo to wstętnie! — odpowiedziała i jak gdyby maskując zażenowanie dodała: — Chyba jednak pójdę! To pana sprawy, ja nie chcę z tym mieć nic wspólnego! Przyjdę kiedy indziej.

Gdy jednak przysłała usługująca, dziewczyna — jak gdyby nigdy nic — z powrotem usiadła. Służąca daremnie zapytała ją kilkakrotnie, którą gejszę ma sprowadzić: dziewczyna nie podała żadnego imienia.

Ale kiedy wkrótce potem pojawiła się młoda, najwyżej osiemnastoletnia gejsza, pragnienie kobiety, które Shimamura odczuwał od pierwszej chwili swego przybycia do wioski z wyprawy na szczyty, bez reszty go na jej widok opuściło. Jej ramiona, których skóra od spodu opalizowała, zdawało się, czernią, były jeszcze chude i kościste, miała też w sobie coś, co znamionuje istoty niedoświadczone i prostoduszne, tak że Shimamura z trudem tylko powstrzymywał się od tego, by zamiast kierować swą twarz, na której malował się jak gdyby zawód, w stronę pokoju i przebywającej w nim gejszy, patrzeć raczej na łańcuch pokrytych świeżą zielenią wzgórz, widoczny przez okno za plecami nadal siedzącej na parapecie dziewczyny. Nawet zwykła rozmowa z nowoprzybyłą przyprawiała o udrękę. Była to w każdym calu typowa gejsza z zapadłej górskiej miejsciny. Shimamura milczał zasepiony, a dziewczyna z domu nauczycielki muzyki — dla demonstracji zapewne — bez słowa podniosła się ze swego miejsca i wyszła z pokoju; rozmowa z gejszą tym bardziej poczęła się rwać, ale mimo to ciągnęła się jeszcze chyba z godzinę. Shimamura począł wreszcie przemyśliwać nad jakimś sposobem pozbycia się partnerki. Przypomniał sobie, że przyszły na jego adres telegraficzne przekazy pieniężne; pod pretekstem, że musi zdążyć jeszcze na pocztę przed jej zamknięciem, opuścił razem z gejszą pokój.

Zaraz jednak po wyjściu z gospody poddał się całkowicie przemożnemu urokowi

okolicznych gór, od których ciągnął ostry zapach młodych liści, i z furią począł piąć się ścieżkami wzwyż.

Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co go właściwie raduje, i mimo że był zupełnie sam, raz po raz zanosił się śmiechem.

Dobrze już zmęczony zawrócił ostro w miejscu i podwinąwszy poły kąpielowego płaszcza, który miał na sobie, zbiegł jak szalony w dół. Niemal spod jego stóp zerwały się do lotu dwa żółte motyle, które igrając ze sobą w powietrzu wzniosły się hen, ponad wierzchołki łańcucha stanowiącego granicę prowincji; ulatywały coraz dalej i dalej, a żółte zabarwienie ich skrzydeł przechodziło z wolna w biel...

— Co się stało? — To dziewczyna z domu nauczycielki muzyki ukazała się w cieniu cedrowego gaju. — Pewnie spotkało pana coś przyjemnego, że tak się pan śmieje...

— Ależ nie doszło do niczego! — Shimamura znowu poczuł, że zbiera mu się bez żadnej przyczyny na śmiech. — Powtarzam: nie doszło do niczego!

— Czyżby?

Dziewczyna bez słowa odwróciła się i weszła z wolna między drzewa. W milczeniu poszedł za nią.

Był to teren świątyni. Na jednym z płaskich kamieni, tuż przy pokrytych mchem, brązowych figurach psów, stróżów przybytku, dziewczyna przysiadła na chwilę.

— Tu jest zawsze chłodno. Nawet w pełni lata czuć zimny powiew wiatru...

— Czy wszystkie gejsze tutaj są jak tamta?

— Myślę, że są do niej raczej podobne. Tylko wśród starszych znalazłyby się ładniejsze. — Mówiła chłodno, ze spuszczonego wzrokiem. Na gładziźnie jej pochylonej szyi zdawała się odbijać ciemnawa zieleń cedrów.

Shimamura spojrzał w górę na ich korony.

— Dajmy zresztą temu spokój! Nie dopisała mi tym razem siła. Pewno wyda ci się to śmieszne!

Cedry prezentowały szeregami swe pnie, idealnie proste i wysokie, tak że trudno było dojrzeć ich wierzchołki, zanim oparłszy się z tyłu rękami o skałę nie przegięło się głowy i ramion ku górze; ciemne igliwie przesłaniało niebo, a cisza grała delikatnie w powietrzu. Pień, o który Shimamura się oparł, był chyba w całej gromadzie najstarszy, a jego gałęzie od północnej strony z jakiegoś powodu wszystkie bez wyjątku poschły i poodpadały, tak że pozostałe po nich kikuty, wyglądające jak wbite w pień rzędy ostrych kołków, nasuwały na myśl broń jakiegoś straszliwego bóstwa.

— No, cóż, pomyliłem się... Kiedy tylko zeszedłem z gór, zobaczyłem od razu ciebie i



wtedy pewno przyszło mi do głowy, że wszystkie gejsze tutaj są tak samo czyste jak ty — oświadczył Shimamura i roześmiał się, bo dopiero teraz sobie uprzytomnił, że niechybnie i tamta zachcianka, żeby splukać z siebie w jakiś najprostszy sposób zasoby sił nagromadzone przez siedem dni spędzonych w górach, zrodziła się w nim właśnie na widok tej schludnej dziewczyny.

Twarz miała nieruchomo zwróconą w stronę potoku, mieniącego się w oddali w promieniach zachodzącego słońca. Na chwilę zapanowało między nimi milczenie.

— Aha! Zapomniałam... Proszę, tu są pana papierosy! — podjęła ze sztucznym ożywieniem dziewczyna. — Wróciłam do pokoju, w którym pan mieszka, ale już pana nie było. Nie wiedziałam, co się stało, a tymczasem pan rwał już samotnie pod górę, i to z wyjątkowym wprost zapalem. Dojrzałam pana z okna. Widok był nawet interesujący. Ale ponieważ zapomniał pan zabrać papierosy, więc wzięłam je ze sobą i przyniosłam panu.

To mówiąc wyciągnęła z rękawa kimona papierosy i podała mu ogień.

— Z pewnością uraziłem tamtą małą...

— Coś takiego! Czyż gość nie może, kiedy tylko chce, odprawić gejszy?

Do uszu ich dochodził jedynie nieskończenie monotony szum kamienistego potoku. Za kolumnadą cedrów rysowały się w dali mroczniejsze pofałdowane wzgórza.

— Gdyby nie to, że tamta mała ani umywa się do ciebie, z pewnością nie byłoby ci teraz tak lekko na sercu!

— Może tak, a może i nie... Czy nie potrafi pan raz dać za wygraną? — Dziewczyna powiedziała to uśmiechając się jakby gniewnie, ale tchnęło teraz od nich zupełnie innym nastrojem niż wtedy, gdy kazał sobie przywołać gejszę.

Od samego początku tylko tej dziewczyny pragnąłem i, jak zwykle, wybrałem najbardziej okólną drogę, by się do niej zbliżyć — uświadomił sobie wyraźnie Shimamura i w tejże chwili zrozumiał zarówno to, że może ją do siebie zniechęcić, jak i to, że dziewczyna wydaje mu się coraz to piękniejsza, aż do przesady piękna. Od chwili gdy się do niego odezwała z cienistej głębi cedrowego gaju, zdawał się promieniować z niej jakiś świeży urok, jak gdyby pozbawiona była wszelkich wad.

Jej cienki, wydatny nos rozbijał wprawdzie nieco harmonię całości, ale za to maleńkie usta, rozwierając się czy też zwierając miękko jak przyssawki pijawek, w których tyle jest prawdziwego piękna, zdawały się poruszać nawet wtedy, gdy milczała, tak że najmniejsza skaza w ich rysunku lub barwie, mogąca zgasić czar, nie pojawiała się tu nigdy: usta te były zawsze wilgotne i błyszczące. Linia jej powiek ani nie podnosiła się ku górze, ani nie opadała ku dołowi; jakby umyślnie przebiegała prościutko, tak że w oczach miała coś zabawnego, co

dość dobrze ukrywały rzęsy, krótkie a gęste, pozwalając się domyślać, że powieki wykrojone są nieco skośnie. Owalna twarz o dość wydatnych rysach nie rzucałaby się niczym szczególnym w oczy, gdyby nie karnacja, której białość dorównywała porcelanie a przechodziła zarazem w pastelowość różu; a i u nasady jej szyi skapo jeszcze było ciała — słowem, nie była to bynajmniej piękność, uderzał w niej przede wszystkim urok świeżości.

Przy tym, jak na dziewczynę występującą często na przyjęciach w roli gejszy, w kimonie przepasanym szerokim obi krępującym silnie klatkę piersiową, miała dość wydatny biust.

— Ach, ile tu się naraz zleciało komarów! — krzyknęła nagle wstając i strzepując poły kimona.

Tak więc oboje musieli zrezygnować z przyjemności oglądania swych twarzy wśród otaczającej ich ciszy.

Tegoż wieczoru — było już może koło dziesiątej — zobaczył ją Shimamura po raz wtóry. Dziewczyna zawołała na niego najpierw głośno po nazwisku z korytarza, a potem wpadła do pokoju, jakby przez kogoś z całej siły popchnięta. Z miejsca też potknęła się i przewróciła bezwładnie na stolik, niezręcznymi ruchami pijanej zgarniając na nim wszystko i roztrącając; wypła też łapczywie stojącą w szklance wodę.

Okazało się, że jacyś mężczyźni, którzy poznali się tej zimy na terenach narciarskich, umówili się na wieczór po powrocie z gór, a gdy całe rozbawione towarzystwo dotarło do zajazdu, przywołano gejsze i dopiero zabawa zaczęła się na całego; skończyło się tym, że dziewczyna była teraz kompletnie pijana.

Poruszając chwiejnie głową, bez przerwy plotła trzy po trzy. Wreszcie opamiętała się jednak.

— Muszę już iść, bo się będą gniewać. Może nawet mnie szukają. Przecież nie wiedzą, gdzie się podziałam. Ale przyjdę tu jeszcze... potem... — Z tymi słowy odeszła niepewnym krokiem.

W jakąś godzinę później dał się znowu słyszeć odgłos nieregularnych stąpień w długim korytarzu i coraz to bliższe obijanie się o ściany, urozmaicone też upadkami na podłogę.

— Shimamura-saan, panie Shimamura! — rozlegał się jej przenikliwy głos. — O jej, nic nie widzę! Panie Shimamura!

To już był z całą pewnością głos kobiety, która bez żadnego zażenowania przywołuje swego mężczyznę. Shimamura poczuł się zaskoczony. Był też mocno zmieszany uświadamiając sobie, że ten ostry głos rozlega się niewątpliwie w całym budynku. Zanim się

podniósł i wyszedł jej na przeciw, dziewczyna już czepiała się rękami ramy przesuwanych drzwi prowadzących do jego pokoju, przebijając palcami papier, którym rama była oklejona. Z tej pozycji zwała się ciężko na pierś Shimamury. — O! Znalazłam pana wreszcie! Uczepiła się go kurczowo i przysiadła na podłodze. Shimamura nie przestawał jej jednak podtrzymywać.

— Ja nie jestem pijana! Co! Może myślisz, że jestem? O, jak mnie boli! Żeby mnie tylko tak nie bolało! Ale zdaję sobie sprawę z wszystkiego, co robię... Oj! Daj mi wody. Nie powinnam mieszać whisky z szampanem... To mi zaszkodziło... O, jak mnie boli głowa! Na pewno były to marne gatunki... Ale skąd mogłam wiedzieć? — mówiła pocierając bez przerwy twarz dłońmi.

W tym samym czasie wzmożyły się odgłosy ulewy szalejącej za oknami.

Gdy choć trochę rozluźniał ramiona, którymi ją podtrzymywał, dziewczyna osuwała się bezwładnie. Ręce Shimamury otaczały jej szyję, przy czym policzkiem przygniatał jej włosy; jedną dłoń wsunął pod kołnierzyk kimona, które miała na sobie.

Na śmielszą słowną zaczepkę z jego strony dziewczyna nie odpowiedziała, osłoniła tylko założonymi jedna na drugą rękami, niczym barierą, miejsce, którego dotyczyły jego zaczepki; ale zmózonej alkoholem nie na długo widać starczyło siły.

— Coś takiego! Jak pan śmie? Bydlę! Świnia! Dobry z ciebie numer! Żeby takie rzeczy... — wybuchła i nieoczekiwanie wpiła się zębami we własną rękę poniżej łokcia.

Przestraszony tym zaniechał dalszych prób; na jej ramieniu pozostały głębokie ślady zębów.

Niezadługo, posłuszna już całkowicie jego dłoniom, zaczęła się zabawiać kreśleniem znaków. Oświadczyła przy tym, że chce mu wypisać nazwiska ludzi, których lubi. Wyliczyła najpierw ze trzydzieści imion aktorów teatralnych i filmowych, a potem pisała tylko raz po raz jego nazwisko.

Przyjemne wypukłości pod dłońmi Shimamury coraz to bardziej się rozgrzewały.

— No, wszystko będzie w porządku, wszystko będzie dobrze! — powtarzał jak najczulej, odgrywając jak gdyby w tym momencie rolę matki.

Dziewczyna zaczęła się znowu uskarżać na ból głowy. Pod wpływem bólu wstała, ale zwała się ponownie z nóg w przeciwległym kącie pokoju.

— Ja tak nie mogę, nie mogę. Muszę wracać do siebie! Muszę!

— Przecież nie będziesz w stanie iść. Słyszysz, jaka ulewa?

— To pójdę boso! Wracam do siebie, choćby na czworakach!

— To nawet niebezpieczne! Ale skoro chcesz wracać, to cię odprowadzę!

Zajazd znajdował się na wzgórzu o stromych zboczach.

— Może rozluźnisz trochę *obi*? Dobrze by było, gdybyś chwilę poleżała, to wytrzeźwiejesz!

- Nic z tego! Tylko czekasz, żebym coś takiego zrobiła! Znam to aż nazbyt dobrze! — Dziewczyna z nagłym ożywieniem wyprostowała się na kłęczkach i nabrała w piersi powietrza, lecz ten oddech przysporzył jej tylko bóleści. Otworzyła okno i zanosilo się już, że dostanie torsji, ale przyszła jakoś do siebie. Miało się cały czas wrażenie, że wiele wysiłku ją kosztuje, żeby nie tarzać się z bólu po podłodze. Chwilami zdawało się, jakby krzesala w sobie na nowo siłę woli, bo powtarzała tylko: — Wracam do domu! Wracam do domu...

A tymczasem minęła niepostrzeżenie druga godzina nad ranem.

— Proszę pana! Niech pan idzie spać! No... Niech pan idzie spać! Proszę bardzo!

— A co będzie z tobą?

— Zostanę tak jak teraz... Trochę otrzeźwieję i wrócę do domu! Zanim jeszcze zrobi się jasno...

Zbliżyła się do Shimamury nie wstając z kolan i poczęła go szarpać.

— O mnie się nie martw, a sam idź spać, jak ci mówię!

Shimamura wsunął się pod kołdrę; dziewczyna, oparłszy się całym ciałem o stolik, napiła się wody.

— Niech pan się podniesie! No, niech pan wstaje, jak panu mówię!

— Czego znów chcesz ode mnie?

— A zresztą śpij!

— Czego ty dziś nie wygadujesz! — zniecierpliwil się Shimamura.

Podniósł się na pościeli i przyciągnął ją do siebie.

Dopiero wtedy, choć odwracała od niego twarz albo ją zakrywała, dziewczyna nagle podała mu namiętnie usta do pocałunku.

Ale i potem próbowała jeszcze perswazji, choć przypominało to już tylko jakieś majaczenie chorego w gorączce:

— Nie! Tak nie można! Mówiłeś przecież, że będziemy po prostu przyjaciółmi... — powtarzała nie wiedząc ile razy.

Shimamura uderzony jej poważnym tonem i zgaszony aż do zupełnego zniechęcenia tym, że dziewczyna całym wysiłkiem woli, na co wskazywało jej zmarszczone czoło, stara się panować nad sobą, zastanawiał się, czy ma respektować to, czego jej uprzednio naobiecował.

— Niczego bym ci nie żalowała... Możesz mi wierzyć, niczego! Ale ja nie jestem taka jak inne. Ja nie z tych... Z pewnością sam też dobrze rozumiesz, że między nami nie udałoby

się to długo utrzymać...

Była na pół pijana, ale potrafiła trzeźwo myśleć.

— Ja nie chciałam! To tyś do tego doprowadził, słyszysz? I przegrałeś, rozumiesz?! To ty jesteś słaby, a nie ja! Ja ci to mówię! — paplała bez ustanku, jednocześnie zaś, aby ukryć rozpierające ją zadowolenie, mięła w zębach rąbek rękawa.

Na jakiś czas potem uspokoiła się, jak gdyby zrezygnowana, ale znowu powróciła jej świadomość sytuacji.

— Pewno się pan ze mnie śmieje?! Nie chcę, żeby się pan wyśmiewał! — zdawała się go znowu atakować.

— Ależ wcale się nie śmieję...

— W głębi serca śmieje się pan z całą pewnością! A nawet jeśli się pan teraz nie śmieje, to na pewno będzie się pan śmiał ze mnie potem.

Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się w głos, ale płacz jej nie trwał długo. Za chwilę — jak gdyby godząc się ze swym położeniem — złagodniała, stała się przymilna i poczęła mu opowiadać o sobie, nie pomijając różnych szczegółów. Zdawało się, że się pozbyła złego samopoczucia, że po prostu o nim zapomniała. I ani jednym słowem nie napomknęła o tym, co się przed chwilą rozegrało.

— Ojej! Tak się rozgadałam, że cały świat przestał na ten czas dla mnie istnieć — uśmiechnęła się zapłonią. Oświadczyła mu przecież, że musi wrócić do siebie, nim nastanie świt. — Ale jeszcze jest ciemno. Jak na tutejsze zwyczaje, za wcześnie wstawać o tej porze — mówiła wyglądając przez okno. Podchodziła potem do okna jeszcze kilkakrotnie.

— Nie widać nigdzie żywej duszy! Pewno dlatego, że przez ten deszcz nikt dziś rano nie wychodzi w pole do roboty.

Wyraźnie ociągała się z odejściem nawet wtedy, gdy już zarysy widocznych z okna gór i strzech ludzkich domostw u ich podnóża poczęły wynurzać się z deszczu. Aby jednak być gotową, zanim w zajeździe pobudzi się służba, poprawiła sobie włosy, po czym w obawie przed ludzkimi oczami nie pozwoliła się nawet odprowadzić do westybulu ofiarującemu się z tym Shimamurze i wysliznęła się z jego pokoju sama, jakby w popłochu stamtąd uciekała.

Tegoż dnia Shimamura wyjechał do siebie, do Tokio.

— Już kiedyś w tym tonie ze mną rozmawiałaś, mimo wszystko jednak zupełnie nie masz racji. Gdyby było tak, jak myślisz, to sama powiedz, po jakie лихо przyjeżdżałbym tu pod koniec roku, na największe zimna? A przy tym nigdy się z ciebie nie śmiałem...

Dziewczyna uniosła na chwilę twarz, na której w miejscach bezpośredniego zetknięcia z dłonią Shimamury, poprzez cieniutką warstewkę pudru — poczynając od oczu po obu

stronach nosa — prześwitywało zaczerwienienie naskórka. Skojarzyło mu się to z zimnymi nocami panującymi w tej śnieżnej krainie, ale dostrzegając kontrast z głęboką czernic jej włosów odczuł w tym jakieś ciepło.

Na jego twarzy błąkał się ledwie uchwytny uśmiech, a jednocześnie uświadomił sobie, że — zapewne pod wpływem wspomnień owych „odległych czasów” — obdarza w myślach coraz to nowymi barwami ciało tej dziewczyny. Gdy dając się pochylała głowę, widać było, że nawet kark widoczny spod kołnierzyka kimona pokrywa się pąsem, a wtedy odnosił wrażenie, jakby ukazywała mu swe nagie ciało, dopiero co wynurzone z wody. Być może, myśli takie przychodziły mu do głowy jeszcze i ze względu na kontrast jej ciała z kolorem włosów. Nie można powiedzieć, żeby włosy te, zwłaszcza z przodu, były cienkie i rosły gęsto, przeciwnie, grubością dorównywały męskim, przy czym ani jeden nie wymykał się swobodnie z gładkiej fryzury, która niby jakiś czarny minerał połyskiwała — jeśli wolno się tak wyrazić — ciężko...

To, że przed chwilą, dotykając ręką jej głowy, z zaskoczeniem oświadczył, że nigdy jeszcze nie spotkał się z tak zimnymi włosami, nie wynikało może z odczucia ich zimna w sensie fizycznym, ale płynęło chyba tylko z owego ich podobieństwa do minerału — tłumaczył sobie w myślach.

Gdy Shimamura próbował w ten sposób lepiej zrozumieć swe doznania, dziewczyna poczęła coś obliczać układając palce rąk na pokrywie przenośnego grzejnika. Ciągnęło się to dość długo.

— Co tam rachujesz? — zapytał, ale w milczeniu nadal przez jakiś czas manewrowała palcami.

— To było dwudziestego trzeciego maja, prawda?

— Aha, obliczasz, ile to już dni... A pamiętaj, że lipiec i sierpień mają po trzydzieści jeden dni...

— Nie zapomniałam z pewnością! Dziś mamy setny i dziewięćdziesiąty dziewiąty dzień!

— Ale skąd tak dobrze pamiętasz, że to było dwudziestego trzeciego maja?

— Zaglądam do dziennika i wiem już wtedy dokładnie!

— Do dziennika? Więc prowadzisz dziennik?

— Owszem! To przecież przyjemność poczytać sobie stare zapiski z dziennika. Ale ponieważ piszę w nim wszystko bez żadnych osłonek, nawet gdy sama go czytam, ogarnia mnie niekiedy wstyd...

— A od jak dawna go prowadzisz?

— Zaczęłam tuż przed tym, jak oddano mnie do Tokio w charakterze *hangyoku*. W tym czasie nie było łatwo o pieniądze. Nie mogłam kupić sobie odpowiedniego notatnika. Bruliony z czystymi kartkami po dwa czy trzy *seny* starannie liniowałam cieniutkimi kreseczkami; pewno musiałam mieć przy tym dobrze zaostrzony ołówek, bo linie wychodziły mi pięknie, jedna w drugą. I kartki tych brulionów gęsto potem zapełniałam drobnymi znaczkami, od górnego po dolny brzeg. Gdy już mogłam sobie pozwolić na kupno dziennika, nie wychodziło mi tak ładnie. Bo robiono je z gorszych materiałów. Odwrotnie było z moją kaligrafią: początkowo pisałam pędzelkiem tylko na starych gazetach, ostatnio jednak piszę raczej wprost na dobrym papierze listowym...

— I prowadzisz ten dziennik bez żadnych przerw?

— Wyobraź sobie! A przy tym to, co napisałam w szesnastym roku życia, i to, co w tym roku, jest najciekawsze! Zawsze, gdy tylko wróciłam z jakiegoś przyjęcia, zaraz po przebraniu się w domowe kimono zabierałam się do pisania. Bywało, że wracałam późno... I dziś jeszcze, gdy odczytuję te notatki, potrafię rozpoznać miejsca, gdzie do pewnego momentu pisałam, aż wreszcie, jak to mówią, zasnęłam w środku zdania...

— Wierzyć się nie chce!

— Ale nie mogę powiedzieć, żebym każdego dnia bez wyjątku tak robiła. Bywały oczywiście dni, kiedy rezygnowałam z pisania. Tu, w górach, przyjęcia, w których biorę udział, zwykle są tak podobne jedno do drugiego... A w dodatku w tym roku nie mogłam nigdzie kupić innego dziennika, jak tylko z datami wydrukowanymi na każdej stronie — i to jest okropne! Bo gdy już zacznę pisać, niełatwo mi to jakoś ująć krótko.

Ale bardziej niż opowieść o dzienniku zaskoczyło Shimamurę i zadziwiło, że dziewczyna już od piętnastego bodaj roku życia wpisuje do tego dziennika kolejno przeczytane przez siebie powieści i dlatego zapisała już dziesięć brulionów.

— Czy notujesz tam swoje wrażenia?

— Nie, nie umiem notować wrażeń. Zapisuję tylko tytuł i autora, imiona występujących w powieści głównych osób i stosunki łączące wzajemnie tych ludzi...

— Ale z tego, że te rzeczy zapisujesz, nie masz żadnego pożytku?

— Ano nie mam...

- To ma być taka sztuka dla sztuki?

— Tak — odpowiedziała dziewczyna bez zastrzeżeń i jasno, choć uważniej spojrzała na Shimamurę. - To już jest absolutna sztuka dla sztuki... Zanosilo się, że Shimamura z sobie tylko wiadomych powodów jeszcze raz na głos te słowa powtórzy, ale oczarowany dziewczyną nie przerywał milczenia i słycać było tylko, jak za oknem sypie śnieg. Zdawał

sobie sprawę, że dla niej na pewno nie jest to żadna „sztuka dla sztuki”, gdy jednak to określenie wyklucło się już w jego myślach, zdołał jakoś bardziej czysto pojąć sens jej życia.

Historii o powieściach przez nią przeczytanych wysłuchał wprowadzając w myślach drobną poprawkę, że nie pozostają one w żadnym związku z literaturą w zwykłym tego słowa znaczeniu. Od zaprzyjaźnionych z nią mieszkanek wioski mogła najwyżej pożyczać kobiece czasopisma, ale poza tym musiała się już poruszać samodzielnie. Nie miała odpowiedniego wyboru lektury, nie miała też należytego rozeznania, co czytać; wszystko sprowadzało się bodaj do tego, że brała do ręki tylko te powieści lub czasopisma, które wpadły jej w oko w pokojach gości bawiących w zajeździe. Przy tym dziewczyna wymieniła z pamięci niemało nazwisk nowych pisarzy, o których Shimamura nawet nie słyszał. Jednak sposób, w jaki wyrażała swe opinie, nosił raczej charakter oderwanych wypowiedzi o literaturze jakiegoś obcego kraju, tak że wywołało to w nim rodzaj współczucia, jakie może żywić bogaty żebrak w stosunku do biednego. Pomyślał sobie, że przecież i on sam snuje podobne, oderwane od życia fantazje na temat zachodniego tańca, opierając się na materiałach ilustracyjnych i obcojęzycznych tekstach.

Dziewczyna mówiła mu też z nie ukrywaną przyjemnością o filmach i sztukach teatralnych, których nawet nie oglądała. Z pewnością nie bez znaczenia było to, że od wielu już miesięcy żyła pragnieniem, by los zetknął ją z takim jak Shimamura rozmówcą. Jakby nie przypominając sobie, że już kiedyś przed stu dziewięćdziesięciu dziewięciu dniami taka sama rozmowa kazała jej się zapomnieć i rzucić w ramiona Shimamury, znowu zdawała się niemal cielesnie rozpałać pod wpływem mirażu, jakie roztaczała przed nim swymi słowami.

Ale nawet ta jej tęsknota do wszystkiego, co miało związek z życiem w mieście, nie była niczym innym jak tylko podświadomym marzeniem, ukrywanym teraz pod maską cichej rezygnacji, i dlatego szczerzy entuzjazm dla zainteresowań, które zasługiwały na to, by nazwać je „sztuką dla sztuki”, przeważał w niej nad nastrojem dumnego niezadowolenia z losu, jaki przystałby przecież istocie przesiedlonej ze stolicy. Z jej własnego punktu widzenia położenie, w jakim się znajdowała, nie dawało jeszcze powodu do tego, by mogła oczekiwać od innych współczucia, ale w oczach Shimamury jej sytuacja nabierała już cech niecodziennej tragedii. Gdyby tylko głębiej zatonał w tej myśli, z pewnością wpadłby w swoje, tak dalekie od obiektywizmu marzycielstwo, które kazało mu uważać, że nawet jego własna egzystencja na tym świecie to w gruncie rzeczy też jakaś „sztuka dla sztuki”. Tymczasem ta opalona górskim powietrzem twarz dziewczęca była jak najbardziej konkretna i żywa...

Shimamura począł widzieć dziewczynę w innym świetle i tym trudniej przychodziło mu teraz zachowywać się wobec niej swobodnie, chociaż była tylko gejszą.



Wtedy, kilka miesięcy temu, była zupełnie pijana i podniecona. Nie wiedząc, co właściwie czyni, ugryzła się w rękę, która nie chciała jej służyć obroną. „Jak pan śmie? — krzyczała przy tym: — Bydlę! Świnia! Dobry z ciebie numer! Żeby takie rzeczy...” A gdy nogi odmówiły jej posłuszeństwa i zataczała się z boku na bok, powtarzała: „Niczego bym ci nie żałowała... Możesz mi wierzyć — niczego! Ale ja nie jestem taka jak inne... Ja nie z tych...” Przypominając sobie te jej słowa Shimamura na jakiś czas stracił wątek rozmowy. Dziewczyna, w lot to zauważywszy, podsunęła mu inny temat.

— O, widać już północ, bo odjeżdża tokijski ekspres.

Jednocześnie z jej słowami rozległ się gwizd lokomotywy, a dziewczyna z jakąś determinacją otworzyła gwałtownie oklejone papierem *shōji* i dublującą je szklaną przesłonę, a następnie usiadła w oknie, opierając się całym ciałem o balustradkę.

Do pokoju wtargnął strumień zimnego powietrza. Hałas jadącego gdzieś pociągu im bardziej się oddalał, tym podobniejszy wydawał się do szumu nocnej wichury.

— Czy ci czasem nie za zimno, głuptasie? —

Shimamura również podniósł się i zbliżył do okna, ale wiatru nie było...

Za oknem rozpościerał się surowy nocny krajobraz, a mróz zdawał się trzaskać w głębi ziemi pod szczelną powłoką śniegu. Księżyc też nie było, ale gdy się patrzyło w górę, gwiazdy wręcz niewiarygodnie liczne lśniły na ciemnym tle nieba niebywale jasno, wywołując złudzenie, że i teraz odbywa się w jakimś zawrotnym tempie ich nieustanne opadanie. A w miarę jak gromady gwiazd ukazywały się coraz bliżej i bliżej, i stopniowo powiększało się ich oddalenie od nieboskłonu, również otaczająca je noc przybierała coraz głębszy odcień. Góry w paśmie leżącym na granicy z sąsiednim okręgiem tuliły swe masywy pod rąbek gwiazdowego nieba, a choć nie można już było rozróżnić nawisających w perspektywie jeden nad drugim poszczególnych szczytów, oksydująca ich czerń dawała pojęcie o istotnej głębi obrazu. Dokoła panował niczym nie zmacony, kamienny spokój.

Dostrzegłszy, że Shimamura się do niej zbliża, dziewczyna przywarła mocniej piersiami do balustrady okna. Nie wyglądało to bynajmniej na słabość, poza jej mówiła raczej, że w obliczu takiej nocy będzie bardziej niezłomna niż dotychczas.

Czyżby znowu trzeba było wszystko zaczynać od początku? — przebiegło Shimamurze przez myśl.

Tymczasem, choć góry ciągle jeszcze były spowite czernią, w pewnej chwili dało się już dojrzeć, jak ożywia je biel śniegu. Wywołało to z kolei równie nieodparte wrażenie, że stały się jakby przezroczyste i wyraźnie posmutniały. Idealny spokój nieba i gór uległ zmańczeniu.

Shimamura podłożył dłoń pod szyję dziewczyny.

— Zaziębisz się... Przecież jest zimno! — powiedział, starając się delikatnie odciągnąć ją od balustrady, ale trzymała się jej silnie.

\_ Wracam do domu... — oznajmiła zduszonym przez ucisk gardła głosem.

— No to wracaj!

- Pozwól mi tak zostać jeszcze chwilą!

- w takim razie ja stąd pójdę. Wezmę kąpiel.

- Nie chcę... Zostań tutaj, proszę!

— To zamknij okno!

— Pozwól mi tak zostać jeszcze chwilę!

Wioska była na poły ukryta w cieniu gaju poświęconego opiekuńczemu bóstwu tej miejscowości, ale od strony stacji kolejowej, położonej o niespełna dziesięć minut drogi taksówką, docierały błyski świateł tak migotliwe, jak gdyby zimno tłumilo je co chwila, wywołując urywany podźwięk, charakterystyczny dla pękających strun. Policzki dziewczyny, szyby okien, rękawy jej kimona — wszystko, czegokolwiek się dotknął, raziło go teraz wyjątkowym chłodem. Nawet maty pod stopami były wyziębłe, chciał więc wziąć gorącą kąpiel, żeby się rozgrzać; myślał, że pójdzie sam.

— Poczekaj! Ja też pójdę. — Tym razem dziewczyna pospieszyła za nim usłuźnie.

Gdy w koszyku na używaną bieliznę układała ubranie, które zdjął z siebie i rzucił na podłogę, do łazienki wszedł jakiś inny gość zajazdu, mężczyzna. Na jego widok dziewczyna przykucnęła zmieszana przed Shimamurą i ukryła twarz.

— Ach, przepraszam! — mruknął nowo przybyły.

— Nie ma za co. Nie szkodzi. My przejdziemy do drugiej łazienki! — powiedział przytomnie Shimamurą, po czym — tak jak był, nago — wziął pod pachę koszyk z ubraniami i ruszył w stronę sąsiedniej łazienki, przeznaczonej dla kobiet.

Dziewczyna poszła oczywiście za nim jak żona za mężem. Shimamura bez słowa i nie oglądając się za siebie zanurzył się w gorącym źródle. Był już całkowicie udobruchany i poczęło mu się zbierać na głośny śmiech, więc przyłożył usta do kranu z ciepłą wodą i energicznie płukał sobie gardło.

Gdy wrócili do pokoju, dziewczyna położyła się i unosząc z lekka głowę poprawiała sobie małym palcem kosmyki włosów koło uszu.

— Smutno mi! — rzuciła tylko.

Miał wrażenie, że jej czarne oczy są na wpół otwarte; gdy przyjrzał się z bliska, okazało się, że to tylko rzęsy dają takie złudzenie.

Napięcie nerwów nie pozwoliło jej zresztą zasnąć ani na chwilę...

Przebudził go szelest twardego obi, które zawiązywała sobie na kimonie. Shimamura zaklął.

— Przepraszam, że tak wcześnie wstałam. Jeszcze jest ciemno, naprawdę! Może chce się pan przekonać? — Dziewczyna zgasiła światło. — Czy widać moją twarz, czy nie widać?

— Ależ nie widać! Przecież jest jeszcze ciemna noc!

— Kłamiesz! Popatrz dobrze, bo inaczej nic z tego nie będzie! No jak? — dziewczyna otworzyła szeroko okno. — Oj, niedobrze! Z pewnością wszystko widać! A ja mam wracać do siebie...

Shimamura, otrzeźwiony porannym zimnem, uniósł głowę znad poduszki: niebo miało jeszcze barwę nocy, ale w górach już był ranek.

— Tak, wszystko będzie jak należy. O tej porze roku rolnicy nie mają roboty i nikt nie wyjdzie z domu tak wcześnie. Ale może się ktoś wybierać w góry... — monologowała dziewczyna chodząc po pokoju i ciągnąc za sobą końce obi, którego nie skończyła zawiązywać? - Nie było żadnych gości z pociągu tokijskiego, o piątej. Obsługa zajazdu jeszcze się dość długo nie obudzi...

Skończyła wreszcie wiązanie swego obi, ale jeszcze przez jakiś czas to wstawała, to znów siadała, potem dla odmiany kręciła się po pokoju, spoglądając co chwila w stronę okna. Była niespokojna jak stwór nocny, który podniecony zbliżającym się rankiem nie może znaleźć sobie miejsca. Widać było, że jakieś dzikie, choć nie pozbawione powabu, cechy natury biorą w niej w tej chwili górę.

Tymczasem jasność poranka przeniknęła widocznie i do wnętrza pokoju, gdyż udało mu się dostrzec, że dziewczyna ma zaczerwienione policzki. Shimamura z podziwem wpatrywał się w tę pulsującą życiem różowość.

— Czy mi się zdaje, że policzki masz całe w kolorach? Czy to zimno?

— To raczej nie z zimna. Po prostu nie jestem upudrowana. Gdy leżę w pościeli, bardzo szybko się rozgrzewam aż po czubki palców u nóg — odpowiedziała i przyklekła przed toaletką z lustrem, stojącą tuż przy posłaniu. — Już się nareszcie rozjaśniło! Trzeba iść!

Shimamura, który patrzył w jej stronę, zniżył przypadkiem głowę. W lustrzanym odbiciu zobaczył jaskrawą biel śniegu. Na jego tle uwydatniały się też przez kontrast mocno zaróżowione policzki dziewczyny. Było w tym jakieś czyste piękno nie do opisania w słowach.

Może stąd, że słońce stało już wyżej, w każdym razie śnieg w lustrze począł się jarzyć coraz bardziej jaskrawo, jakby płonął jakimś zimnym blaskiem. Jednocześnie i włosy

dziewczyny, odcinające się wyraziście od śnieżnego tła, przybrały jakiś bardziej żywy odcień czerni o fioletowym połysku.

Przypuszczalnie w tym celu, żeby nie dopuścić do gromadzenia się wokół zajazdu zbyt dużej ilości śniegu, wzdłuż czterech ścian budynku wykapano prowizoryczny rów, do którego ściekała gorąca woda przelewająca się z basenów kąpielowych; na wprost wejścia rów ten rozszerzał się tworząc rodzaj płytkiej, miniaturowej sadzawki. Czarny, silny pies, rasy akita, stojąc na kamieniu służącym zamiast kładki do przechodzenia przez rów, długo chleptał ciepłą wodę. Pod ścianą ustawiono do użytku gości długi rząd nart prawdopodobnie dopiero co wyniesionych z magazynu. Niewyraźny zapach pleśniejących części wiązań przy nartach w połączeniu z parą nabierał jakiejś słodczy. Nawet płaty śniegu opadającego z gałęzi cedrów na dach publicznej łaźni rozpadały się, jak gdyby podgrzewane, w bezkształtne strzępy.

Wkrótce nadejdą ostatnie dni roku, a potem nastanie styczeń; tamtą drogę w czasie zadynek całkowicie zasypie śnieg. Na bankiety gejsze będą musiały chodzić w długich gumowych butach naciągniętych na góralskie szarawary, w płaszczu narzuconym na kimono, w chusteczce na głowie. W tym okresie śnieg będzie głęboki, może i na dziesięć stóp. Takie myśli snuł Shimamura schodząc w dół stromą ścieżką, na którą, zanim nastał świt, spoglądała dziewczyna z okna zajazdu na wzgórzu. Spod pieluch suszących się na wysoko rozpiętym sznurze u skraju drogi widać było łańcuch pogranicznych gór, na których śnieg lśnił łagodnym blaskiem. Zielony szczypior jeszcze nie skrył się całkiem pod białym puchem.

Dzieci ze wsi jeździły na nartach po zasłanych śniegiem polach.

Gdy wkraczał do tej części wsi, gdzie zaczynała się już szosa, do uszu jego dobiegło monotonne bębnienie, jakby kropel deszczu spadających z dachu.

Pod okapami domów mieniły się przyjemnie w świetle soplek lodu.

Na dachu zobaczył jakiegoś mężczyznę uprzątającego śnieg.

— Ej! Może byście potem i u nas trochę odgarnęli?! \_ wołała z dołu jakaś kobieta, która wracała właśnie z łaźni i czoło miała niemal do połysku wytarte wilgotnym ręcznikiem. Była to zapewne jedna z tych dziewcząt na posługi, które przybywały tu zawczasu w związku z sezonem narciarskim. Sąsiedni dom, w którym mieściła się kawiarenka, miał zwichrowany dach, a ramy jego oszklonych okien były wyblakłe od starości.

Większość domów kryta była małymi deszczułkami, na których pokładzono rzędami obłe kamienie. Te otoczaki, tkwiąc jeszcze w śniegu, ziały czarnymi plamami zwłaszcza od tej strony, gdzie operowało słońce, ale ich barwa przypominała raczej czerń lodu wystawionego na długie działanie zimowej aury niż wilgotny minerał. A i same domy miały

w sobie coś z wyglądu owych kamieni. Rzędy nisko opadających dachów, charakterystycznych dla północnych okolic, zdawały się cicho tulić do ziemi.

Cała czereda dzieci bawiła się wybieraniem odłamków lodu z zamarzonego rowu i ciskaniem ich na drogę. Może oczy dzieciarni cieszył krótkotrwały odbłask, jaki towarzyszył rozpryskiwaniu się brył? Shimamura stojąc w słońcu nie mógł się dość nadziwić grubości rozbijanego lodu, zatrzymał się więc przez dłuższą chwilę i patrzył.

Jakaś dziewczynka, chyba trzynasto- lub czternastoletnia, oparta o kamienne ogrodzenie z dala od innych dzieci, robiła coś z wełny na drutach. Miała na sobie góralskie szarawary, a na nogach wysokie drewniane *geta*<sup>6</sup>, ale była bez skarpet, tak że rzucały się w oczy spękania zaczerwienionych od zimna bosych stóp. U jej boku siedziała na wiązce chrustu trzyletnia zaledwie dziewczynka, trzymając apatycznie w rączkach kłębek wełnianej przędzy. Nawet ta nitka starego popielatego przedziwa, rozciągnięta między małą dziewczynką a starszą, srebrzyła się ciepło w słońcu.

Z wytwórni nart, o kilka budynków dalej, dochodził odgłos heblowania. Po przeciwległej stronie ulicy, stojąc pod okapem dachu, rozmawiało ze sobą kilka gejsz. Coś mu mówiło, że wśród nich jest też Komako — o tym przydomku, pod którym znano ją jako gejszę, dowiedział się dziś rano od posługaczki w zajęździe. I rzeczywiście... Widocznie zauważyła, że Shimamura nadchodzi, bo w odróżnieniu od swych towarzyszek w gromadce przybrała umyślnie poważny wyraz twarzy. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że dziewczyna zaraz się zaczerwieni, ale żeby choć spróbowała udąć, że tylko przypadkiem się spotykają... Niestety, ledwie Shimamura zdążył o tym pomyśleć, Komako była już w kolorach po samą szyję. Żeby w tej sytuacji chociaż się opanowała, ale gdzie tam: spuściła oczy i jak na złość, w miarę jak Shimamura się zbliżał, kierowała z wolna twarz w jego stronę.

Gdy Shimamura z uczuciem, że i jego pałą policzki, szybko przeszedł mimo, Komako bez chwili namysłu pospieszyła w jego ślady.

— Narażasz mnie na przykrości. Dlaczego tędy chodzisz?

— Ja ciebie narażam? To ja powinienem się czuć dotknięty! Robicie zbiegowisko, że aż strach przejść obok! Czy zawsze tak tu bywa?

— Oczywiście! Po południu zawsze!

— Ale myślę, że i dla ciebie może to być kłopotliwe, gdy się czerwienisz i drepczesz

---

<sup>6</sup> G e t a — drewniane trepy japońskie na dwóch poprzecznie umocowanych klockach, używane zazwyczaj do brodenia po błocie lub śniegu. *Geta* trzymają się na nogach za pomocą dwóch sznurów, które u swojej nasady przytrzymywane są dużym palcem stopy. Aby umożliwić noszenie *geta* nie tylko na bosą stopę, wyrabia się w Japonii skarpety z Jednym palcem, zwykle białe, zwane *tabi*. (Przyp. tłum.)

za mną bez zastanowienia.

— To nie ma nic do rzeczy! — odpowiedziała Komako i znowu splonęła rumieńcem. Jednocześnie zatrzymała się w miejscu i objęła ręką heban rosnący przy drodze. — Pobieglam za tobą w nadziei, że może zechcesz wstąpić na chwilę do mego domu.

— To tu jest twój dom?

— Aha!

— Mogę pójść do ciebie pod warunkiem, że pokażesz mi swój dziennik.

— Nawet gdy będę umierać, to pierwej go spalę...

— Hm... Ale zdaje się, że u ciebie w domu jest jakiś chory...

— O! A skąd pan o tym wie?

— A wczoraj wieczorem... Ty też wyszłaś przecież na stację, na powitanie, miałaś na sobie ciemnoniebieski płaszcz. Ja jechałem tym samym pociągiem, siedziałem bardzo blisko tego chorego. Towarzyszyła mu jakaś młoda kobieta; opiekowała się nim bardzo sumiennie i serdecznie. Może to jego żona? Czy wyjechała mu naprzeciw, żeby go tutaj przywieźć, czy też pochodzi z Tokio? Zajmowała się nim zupełnie jak matka. Podziwiałem ją cały czas.

— Dlaczegoś mi tego nie powiedział wczoraj w nocy? Dlaczegoś to przemilczał? — Komako była rozdrażniona.

— Może to jego żona? — nalegał, ale nie otrzymał odpowiedzi.

— Dlaczegoś mi tego wczoraj w nocy nie powiedział? Dziwny z ciebie człowiek!

Shimamura nie znosił tak ostrego tonu u kobiet. Na dobrą sprawę oboje chyba nie umieliby powiedzieć, co ją wyprowadzało z równowagi. Najprościej byłoby może przyjąć, że jest to specyficzny sposób zachowania się Komako, ale, gdy dziewczyna po raz drugi wyrzucała mu, że jej wcześniej o tym nie powiedział, poczuł się dotknięty w najbardziej czułe miejsce. Przecież gdy dziś rano widział w lustrze jej twarz na tle ośnieżonych gór, wywołało to w nim myśl o młodej osobie, której odbicie w oknie wagonu obserwował w czasie jazdy nocnym pociągiem, a jednak coś nie pozwoliło mu o tym powiedzieć Komako...

— Ale co to przeszkadza, że ten chory jest w domu? Do mojego pokoju nikt nie wchodzi! — Komako weszła za niskie kamienne ogrodzenie.

Po prawej stronie znajdowało się poletko pokryte jeszcze śniegiem, po lewej zaś rosły rzędem wzdłuż ściany sąsiedniego domu hebanowe drzewa. Przed domem było coś w rodzaju kwietnika, pośrodku którego urządzono małą sadzawkę z hodowlą lotosów. Lód z sadzawki był wygarnięty na brzeg, a w wodzie pływały złote karpie. Domostwo było stare, spróchniałe, podobnie jak pnie otaczających go hebanów. Deski stanowiące pokrycie dachu, gdzieś tam bielące się jeszcze śniegiem, były przegniłe, tak że brzeg okapu tworzył nierówną linię.

W przedsionku panował przejmujący ziąb i nie dochodził tu znikąd żaden dźwięk. Zanim jeszcze oczy jego przywykły do mroku, kazano mu wchodzić po jakichś drewnianych stopniach. Ze zdziwieniem rozpoznał, że była to niezwyklejsza w świecie drabina. Pokój, do którego się dostał po jej szczeblach, mieścił się dosłownie pod samym dachem.

— W tej izbie hodowano kiedyś jedwabniki! Pewno jesteś zaskoczony!

— Aż dziw bierze, że w tych warunkach, gdy wracasz do domu pijana, nie spadniesz kiedy z tej drabiny!

— Bywa i tak, że spadam. Ale zwykle gdy jestem w takim stanie, wsuwam nogi do *kotatsu* na parterze i przeważnie tam już zasypiam na siedząco. — Komako włożyła rękę pod nakrycie *kotatsu* zainstalowanego w jej pokoju i stwierdziwszy, że nie daje ciepła, poszła przynieść żaru.

Shimamura rozejrzał się dokładniej po niezwykłym pomieszczeniu. Choć znajdował się tu jeden tylko świetlik, umieszczony nisko od strony południowej, osadzona w nim była na szynach przesuwana kratownica z listew tworzących niewielkie kwadraty, niedawno dopiero na świeżo oklejone przezroczystym papierem, tak że dawał dostatecznie dużo światła. Ponieważ jedną ze ścian również pedantycznie wyklejono czystym papierem, czuł się tak, jakby znajdował się w jakimś staromodnym pudełku z białego kartonu; ale nad głową jego nawisał w całej okazałości dach opadający ukosem w stronę świetlika, zdając się powlekać to miejsce kirem czarnej melancholii. Nie oglądając się za siebie starał się odgadnąć, jak wygląda przeciwległa ściana, i wtedy do świadomości jego wkradł się swoisty niepokój wywołany wrażeniem, że pokój ten zawieszony jest w przestrzeni. Ściany i maty, choć stare, były czyste.

Przez chwilę bawiła go pusta myśl, że ciało Komako, skoro mieszka ona w takim miejscu, jest tak samo przezroczyste jak ciało jedwabnika.

Na przenośnym *kotatsu* rozłożona była pikowana kołdra w perkalowej poszwie o wzorze przypominającym desenie górskich szarawarów. Komoda była stara, ale stanowiła zapewne pozostałość po latach dobrobytu, jakie Komako przeżyła w Tokio, gdyż zrobiona była z cennego drewna paulowni<sup>7</sup> o przepięknym słoju. Zupełnie nie pasowała do niej tandetna toaletka z lustrem. A znowu pudełko z przyborami do szycia świadczyło nieskazitelnym połyskiem cynobrowej laki o swej kosztowności. Za krepdeszynową zasłoną kryły się pod ścianą półki zbite z desek, służące przypuszczalnie jako schowek na książki.

Wyściowe kimono, które Komako miała na sobie wczoraj wieczorem, wisiało na

---

<sup>7</sup> Paulownia lub pawłownia (jap. kiri) — drzewo z rodziny trędownikowatych, którego lekkie drewno ceni się w Japonii jako materiał do wyrobu sprzętów domowych, geta, futerałów i pudełek. (Przyp. tłum.)

ścianie, a jego rozchylone poły ukazywały wewnętrzną stronę czerwonego spodu, który również zwykła nosić, gdy wybierała się na przyjęcia.

Komako, niosąc w ręku żelazną szufłę z rozżarzoną węglem drzewnym, zrećźnie dostała się po Kabinie na górę. — Przynoszę to z pokoju chorego, ale mówią, że ogień jest zawsze czysty. — Schylając nisko swą kunsztowną fryzurę wygarniała z *kotatsu* popiół, opowiadając jednocześnie, że chory nabawił się gruźlicy jelit, a teraz wrócił do rodzinnych stron, żeby zakończyć życie wśród swoich.

Chociaż mówi się, że wrócił do rodzinnych stron, syn nauczycielki muzyki nie urodził się bynajmniej tutaj. To była wieś jego matki. Matka służyła jako gejsza w jakimś portowym miasteczku, a po wygaśnięciu umowy o pracę pozostała tam nadal jako nauczycielka tańca, ale nie doszła jeszcze do pięćdziesiątki, kiedy poraził ją paraliż, i wtedy wróciła tam, skąd pochodziła, żeby się leczyć u gorących źródeł. Syn od młodych lat lubił majstrować, toteż umyślono oddać go na naukę do zegarmistrza i pozostał tymczasem w owym portowym miasteczku, ale niedługo potem pojechał do Tokio i bodaj że zapisał się do szkoły wieczorowej. To był dla niego na pewno zbyt duży wysiłek. W tym roku kończy dopiero dwadzieścia sześć lat.

Komako opowiadała mu to wszystko swobodnie, lecz ani jednym słowem nie napomknęła, kim jest młoda niewiasta, która towarzyszyła choremu w drodze powrotnej z Tokio, ani o tym, jakim sposobem ona, Komako, znalazła się w tym domu. Mimo to Shimamura, którego wyobraźnia łudziła, że pokój ten jest jakby zawieszony w pustej przestrzeni, a przez to głos Komako rozchodzi się bez przeszkód na wszystkie strony, nie potrafił uwolnić się od podniecenia, które go bez reszty opanowało.

Już na odchodnym, w przedśionku, mignęło mu w oczach coś białawego. Obejrzał się: był to zrobiony z drewna pawłowni futerał do przechowywania *samisenu*. Zadziwiły go niecodzienne rozmiary, a zwłaszcza długość pudła; nie ulegało wątpliwości, że żadna z mieszkańek domu nie nosi tego instrumentu ze sobą na przyjęcia. Jeszcze miał głowę zwróconą w stronę futerału, gdy rozsunęły się na szynach ścianki pocerniałego *fusuma*<sup>8</sup>, przesłaniającego przejście do wnętrza domu.

— Koma-chan! Może nie powinnam teraz tędy przechodzić?

Był to ów piękny głos, którego słodycz przyprawiała go niemal o łzy. Czekał w

---

<sup>8</sup> *F u s u m a* — przesuwana na szynach ścianka działowa w staroświeckich domach japońskich; zaopatrzona w uchwyty atuty zwykle jako drzwi między pokojami. *Fusuma* składa się z drewnianej ramy obitej lub oklejonej (w przeciwieństwie do *shōji*) nieprzezroczystym kartonem, tekturą albo płótnem, pokrytych w bogatych domach malowidłami. (Przyp. tłum.)



napięciu, czy nie odezwie się skądś jego echo.

Pamięć Shimamury dobrze zanotowała jego brzmienie; był to głos tej samej Yóko, która z okna nocnego pociągu przywoływała zawiadowcę stacji, stojącego na śniegu.

— Ależ proszę bardzo! — odpowiedziała Komako i zaraz potem Yóko, ubrana w szarawary, przesunęła się lekko pomiędzy nim a futerałem *samisenu*. W ręku miała szklaną kaczkę na mocz.

Zarówno po sposobie, w jaki ubiegłej nocy prowadziła rozmowę z zawiadowcą stacji, niewątpliwie dobrym swoim znajomym, jak i po tym, że ubierała się w te góralskie szarawary, można było łatwo wywnioskować, że pochodzi z tutejszych okolic, ale piękne *obi*, na wpeł widoczne spod bawełnianych szarawarów, śmiało kontrastowało z ich surowym deseniem, utrzymanym w kolorach brunatnym i czarnym, i również długie rękawy jej kimona z delikatnej welenki miały w sobie coś pociągającego. Nogawki szarawarów rozwidlały się już powyżej kolan, tak że w biodrach wydawała się pełniejsza, ale jednocześnie sztywność bawełnianej materii łagodziła to wrażenie, toteż całość uderzała jakąś harmonią.

Yóko rzuciła na Shimamurę tylko jedno krótkie spojrzenie, które odczuł jak przelotne ukłucie, i bez słowa przeszła przez przedsiónek.

Była już poza obrębem zabudowania, ale promienne wyobrażenie jej postaci nadal nie przestawało jaśnieć przed jego oczyma. Promieniowało zimno jak światło ogniska płonącego gdzieś w oddali. Mógł się domyślać, co podsunęło mu to porównanie. Było to wspomnienie przelotnej impresji ubiegłej nocy. Wpatrywał się wówczas w oblicze Yóko odbite w oknie wagonu; nagle odblask ogniska rozpalonego w górach wypłynął gdzieś z boku zmierzając wprost na twarz dziewczyny, a gdy blask ten nałożył się na jej oko i rozjarzył je na moment, olśniony niewypowiedzianym pięknem tego zjawiska Shimamura czuł, jak mu dech zapiera w piersi. Wraz z tym wspomnieniem pojawiło się i drugie: zarumienione policzki Komako na tle śniegu wypełniającego głąb lustra.

Po tym spotkaniu szło mu się rażniej. Mimo przygrubych, nie opalonych nóg mieszcucha Shimamura lubił łązęę *po* górach, a gdy maszerował rozglądając się po szczytach, przestawał kontrolować swe zachowanie i nieświadomie przyśpieszał kroku. Często, nawet bez specjalnego powodu, zwykł wpadać w taki przesadny nastrój, toteż i teraz doszedł niebawem w myślach do przeświadczenia, że zarówno szyba, w której widział odbicie panoramy nocy, jak i lustro, które mu ukazało rozjaśnione brzaskiem śniegi, nie powstały za sprawą ludzkiej ręki. Z jego punktu widzenia stanowiły one część natury, jakiś jej odrębny świat.

Nawet pokój Komako, który niedawno opuścił, począł przedstawiać mu się odtąd jako

coś nierzeczywistego i odległego. Shimamura sam był zresztą zdumiony tym stwierdzeniem i aby się upewnić, że świat, który go otacza, jest mimo wszystko realny, zaczepił niewidomą masażystkę, która nawinęła mu się na ścieżce pod szczytem wzgórza.

— Amma-san, chciałbym wziąć masaż.

— Jak pan sobie życzy! Która teraz może być godzina? — Wsunęła bambusową laskę pod pachę i prawą ręką wyciągnęła spod obi kieszonkowy zegarek z wieczkiem. Wskazującym palcem lewej ręki dotknęła cyferblatu. — Jest już trzydzieści pięć po drugiej! O wpół do czwartej muszę być w okolicy stacji, ale nic się nie stanie, jak się trochę spóźnię.

— Świetnie rozpoznajecie na zegarku godziny!

— Owszem, bo nie ma w nim szkła!

— Czyżbyście rozróżniali dotykiem cyfry?

— Cyfr nie rozróżniam, ale proszę patrzeć! — Wyciągnęła jeszcze raz zegarek, srebrny, nieco za duży na to, żeby nazywać go damskim, i otworzyła wieczko. — Tu jest godzina dwunasta, a tu szósta, więc pośrodku będzie trzecia. — Demonstrowała wszystko dotykając palcem odpowiednie miejsca. — Potem mogę dzielić dalej... Omyłę się czasami o minutę, ale żeby o dwie, to wykluczone.

— Znakomicie... A na górskich ścieżkach łatwo wam chodzić?

— Jeśli pada deszcz, to wychodzi po mnie córka. Wieczorami masuję ludzi w wiosce i nie mam potrzeby wlec się aż tutaj. Służba z zajazdu mówi, że mąż mnie w nocy nie puszcza z domu. Ale to takie sobie żarty.

— Dzieci macie już duże?

— O, tak... Najstarsza córka ma dwanaście lat. Rozmawiając w ten sposób doszli wreszcie do pokoju Shimamury.

Jakiś czas masowała go w milczeniu, aż do ich uszu dobiegł dźwięk *samisenu* z odległej bawialni. Odwrócił głowę.

— Kto to może grać?

— Czy potraficie po dźwiękach *samisenu* poznać, która to gejsza?

— Jedne poznaję, innych nie... Ale pan to musi prowadzić dość wygodne życie. Ma pan takie delikatne ciało...

— Pewno nie mam wyrobionych mięśni?

— Wyrobionych... Mięśnie szyi to pan ma wyrobione... I tuszę ma pan akurat, jak należy. Pewno nie pije pan alkoholu?

— To i to możecie poznać?

— Znam trzech gości o takiej samej budowie ciała jak pan.

— To bardzo pospolity typ budowy.

— Jakie to dziwne! Przecież gdy pan nie pije alkoholu, nie wie pan nawet, co w życiu jest przyjemne, i nic nie utrwała się panu w pamięci...

— Wasz mąż pewno pije!

— Pije, aż za dużo.

— Któż, u licha, gra na tym *samisenie*? I to tak marnie!

— Ma pan rację!

— Wy też pewno gracie?

— Owszem! Jak miałam osiem lat, zaczęłam i uczyłam się aż do dziewiętnastego roku życia, ale nie gram już od piętnastu lat, odkąd wyszłam za mąż.

Niewidome wyglądają widocznie na młodsze, niż są w rzeczywistości — zauważył w myślach Shimamura.

— Jeśli ćwiczyliście w młodości, to i teraz moglibyście spróbować.

— Ręce moje są nastawione już tylko na masaż, ale słuch mam nadal dobry. Gdy słucham gejsz grających na *samisenie*, tak jak ta teraz, wychodzę z równowagi. Pewno tak samo by się pan denerwował słysząc moją grę w tamtych dawnych czasach. — Znowu nastawiła uszu na dźwięki instrumentu dochodzące z zewnątrz. — Czy to czasami nie Fumi-chan z zakładu Izutsuya? Najłatwiej rozpoznaję najzdolniejsze dziewczęta i najmniej zdolne.

— To są tu i zdolne?

— A na przykład taka Koma-chan. Jeszcze jest młoda, a już teraz doszła do dużej wprawy.

— Hm!

— Pan widać ją zna... Oczywiście, kiedy mówię „zdolna”, to mam na myśli wymagania ludzi w naszych stronach.

— Nie, nie znam jej bliżej. Ale wczoraj w nocy, gdy wrócił tu syn nauczycielki muzyki, a ja jechałem tym samym pociągiem...

— O! Czy czuje się zdrowszy, że wrócił?

— Wyglądał raczej niedobrze!

— Co pan mówi! Ten młody człowiek przez długi czas leżał w Tokio chory i dlatego ta mała

Komako zdecydowała się tego lata zostać gejszą. Mówią, że posyłała pieniądze na lecznicę. I na nic

się to nie zdało. \_ To mówicie, że Komako tak właśnie postąpiła? — Mało tego! Byli ze sobą wprawdzie tylko zmówieni, ale skoro poświęciła dla niego wszystko, co tylko można

było poświęcić, powinien to potem jakoś uszanować, prawda? — To mówicie, że byli zmówieni... Czy to zupełnie pewne?

— No tak! Wiadomo, że byli zmówieni! Ja sama tego nie stwierdziłam, ale tak wszyscy mówią.

Wysłuchiwanie w uzdrowiskowym zajeździe opowiadania masażystki o losie gejszy było w samej rzeczy dość niewybredne, ale swoją drogą treść tego, *co* usłyszał, zaskakiwała go nieprzyjemnie. Poza tym, już sam fakt, że Komako została jakoby gejszą, aby pomagać człowiekowi, z którym łączyły ją zmówiny, mimo że aż nazbyt banalny, jakoś go mocno irytował i budził w jego sumieniu nieokreślone bliżej wątpliwości.

Shimamura miał ochotę pociągnąć jeszcze kobietę za język, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, ale masażystka nie wykazywała chęci do dalszej rozmowy.

Wydawało mu się prawdopodobne, że Komako była zaręczona z chorym synem nauczycielki muzyki i że wobec tego Yoko to nowa miłość tego człowieka, ale przecież ów chory ostatecznie umrze. W przeświadczeniu Shimamury rachunek przedstawiał się prosto: Komako uprawiała sztukę dla sztuki — zwrot ten z łatwością mu się przypomniał. Czymże jak nie „sztuką dla sztuki” było na przykład to, że przez długi czas dotrzymywała

obietnicy danej podczas zaręczyn i że nawet sprzedała się tylko dlatego, aby sponować jego leczenie?

Shimamura postanowił początkowo, że gdy tylko spotka się z Komako, zaraz ciśnie w nią tym „sztuka dla sztuki”, wkrótce jednak zmienił swoje nastawienie i postępowanie dziewczyny wydało mu się szlachetne.

Zaniepokojony sprzecznością, którą dostrzegł w swej opinii o niej, Shimamura wietrzył w tym jakieś dla siebie ryzyko, trudne w skutkach do przewidzenia; po wyjściu masażystki nie podniósł się z pościeli, a poważnie sprawą tą przejęty, rozkoszował się domysłami, jakie jeszcze nieobliczalne następstwa mogą dlań stąd wyniknąć, i czuł, jak zimno przejmuje go do szpiku kości. Okazało się jednak, że to tylko okno, na wprost którego leżał, było na oścież otwarte.

W górskiej kotlinie słońce szybko ustępuje pola cieniom, a wkrótce potem zapada wieczorny mrok, niosąc ze sobą chłód. Ośnieżone szczyty odległych gór, tonące jeszcze w promieniach zachodzącego słońca, zdawały się być całkiem bliskie.

Wreszcie góry, jedna po drugiej, z początku bliższe — a z kolei i dalsze, pierwiej niższe — a potem i wyższe, pogłębiły cienie uwypuklające ich niezliczone załomy, a gdy nadszedł moment, że blade odbłaski słońca pozostały tylko na szczytach, ponad śniegiem zalegającym wierchy rozpalilo się wieczorną zorzą niebo.

Rozsiane tu i ówdzie — na brzegu rzeki, na terenach narciarskich, przy świątyni — gaje cedrowe, pogrążając się coraz to bardziej w ciemności, poczęły drażnić wzrok.

Shimamura jął się już poddawać beznadziejnemu przygnębieniu chwili, gdy nagle — jakby zapalił ktoś w jego pokoju łagodne światło — pojawiła się przed nim Komako.

Powiedziała mu, że w tutejszym zajeździe odbywa się właśnie zebranie, na które sproszono amatorów narciarstwa, aby zespołowo omówić kwestia przygotowań na zbliżający się sezon. Po zebraniu wydany będzie bankiet, na który ją wezwano. Wsunęła stopy pod nakrycie *kotatsu*, a potem wyciągnęła nieoczekiwanie rękę i kilkakrotnie pogłaskała go po policzku.

— Dziś jesteś jakiś blady. To podejrzane! — Chwyliła palcami miękkie ciało policzka, jakby chciała je rozgnieść. — Głuptas z ciebie!

Już wtedy wydała mu się trochę pijana, ale gdy przyszła do niego znowu po zakończeniu przyjęcia, opadła bezwolnie na podłogę przed toaletką, a jej twarz zdradzała taki stopień upojenia alkoholem, że aż wyglądała z tym śmiesznie.

— Nie chcę o tym słyszeć! Już więcej nie chcę o tym słyszeć! Głowa mnie boli! Och, jak mnie boli głowa! Fatalnie się czuję! O, jak się źle czuję! Chcę pić... Daj mi wody!

Ukrywszy twarz w dłoniach leżała chwilę na ziemi nie licząc się nawet z tym, że może zniszczyć kunsztowną fryzurę. Udało jej się wreszcie uklęknąć przed lustrem. Starła kremem puder, a gdy wyłoniła się spod niego jej przesadnie zaczerwieniona twarz, sama długo się z tego śmiała w serdecznym rozbawieniu. Aż dziw ogarniał, jak szybko przychodziła do siebie po przepiciu. Otrząsała się energicznie, jakby pod wpływem zimna.

Zaczęła mu potem spokojnym już głosem opowiadać, że w sierpniu męczyły ją napady melancholii, występujące ze zmiennym natężeniem przez cały niemal miesiąc.

— Z rozpaczą myślałam, że pewno już zwariuję. Z zapamiętaniem oddawałam się jakimś myślom, ale sama nie zdawałam sobie sprawy z tego, o czym rozmyślałam. To było straszne, możesz mi wierzyć! Nie mogłam wcale sypiać po nocach, toteż musiałam bardzo uważać na siebie przy gościach, rozumiesz! Miałam różne przywidzenia. A jedzenie nie chciało mi wprost przejść przez gardło. Leżąc na macie mogłam bez przerwy wbijać w nią igłę i wyjmować, i tak w kółko. A dni były upalne.

— W którym miesiącu zostałaś gejszą?

— W czerwcu. Nie wiedząc jeszcze, czy się mam na to zdecydować, pojechałam wtedy do Hamamatsu.

— Czy w celach matrymonialnych?

Komako skinęła potakująco głową. Jakiś mężczyzna naprzykrzał się jej prośbami,

żeby go poślubiła, ale że w żaden sposób nie mogła go pokochać, bardzo się wahała.

— Jeśli się nie kocha, to przecież nie ma co się wahać.

— To nie takie proste!

— Czy wobec tego samo małżeństwo tak bardzo cię pociągało?

— Jesteś wstrętny! Wcale mnie nie pociągało, ale nie znoszę, gdy moje prywatne sprawy nie są załatwione jak należy.

— Hm!

— Mógłbyś darować sobie te kpiny!

— Jestem jak najdalszy od kpin! Ale coś musiało cię łączyć z tym mężczyzną z Hamamatsu?

— Gdyby mnie coś z nim łączyło, to przecież bym się nie wahała! — wybuchnęła Komako. — Ale on mimo to często mi powtarzał: dopóki przebywasz w tych stronach, nie pozwolę ci wyjść.

za mąż za nikogo innego. Zrobią, co w mojej mocy, żeby temu przeszkodzić.

— Coś podobnego mogło się przytrafić tylko w tak zapadłej mieścinie jak Hamamatsu. Pewno bardzo się tym przejmowałaś?

Komako milczała przez chwilę i leżała spokojnie, zdając się delectować ciepłem własnego ciała. W pewnej chwili powróciła do tematu, ale w taki sposób, jakby to jej właściwie nie dotyczyło.

— A wiesz, myślałam wtedy, że jestem w ciąży. — Zaśmiała się nerwowo. — Gdy dziś o tym pomyślę, śmieszy mnie to bardzo. Hu, hu, hu! — Śmiejąc się, nie otwierała ust. Niemal jednocześnie przytuliła się do niego mocno i po dziecinnemu objęła rękami za szyję zwierając na karku dłonie.

Choć powieki miała zaciśnięte, gęstość rzęs miała go znowu pozorem, że jej czarne oczy są na wpół rozwarte.

Gdy Shimamura zbudził się następnego rana, ujrzał Komako opartą łokciem o brzeg *hibachi*<sup>9</sup> i piszącą coś na odwrocie okładki starego magazynu.

— Wyobraź sobie, nie mogę wrócić do domu! Zerwałam się z posłania, dopiero gdy służąca weszła, żeby podłożyć na ogień. Widziałam, jak była zażenowana. Z przerażeniem stwierdziłam, że słońce świeci już prosto w okno. Wczoraj wieczór byłam pijana i dlatego pewnie zasnęłam, choć zdawało mi się, że tylko drzemię.

---

<sup>9</sup> Hibachi — w tradycyjnym domu japońskim rodzaj przenośnego grzejnika. Hibachi sporządzone jest z wydrążonego pnia drzewa napełnionego popiołem drzewnym, na którym umieszcza się niewielką ilość żarzących się węgla. Zdarzają się też hibachi porcelanowe. (Przyp. Tłum.)

— Która godzina?

— Już ósma.

— Pójdiesz się kąpać? — Shimamura zbierał się do wstawania.

— O nie! Na korytarzu można przecież kogoś spotkać. — W jednej chwili stała się w każdym calu dobrze ułożona damą, a gdy Shimamura wrócił z kąpieli, zastał ją w ręczniku zawiązanym wdzięcznie na głowie, zajętą energicznym sprzątaniami pokoju.

Spostrzegł, że z przesadną gorliwością poprzecierała nawet nogi stolika i brzeg *hibachi* oraz wprawną ręką wygładziła w nim popiół.

Gdy Shimamura z nogami wsuniętymi w *ko-tatsu* siedział beczynnym, paląc papierosa, i popiół strącił na matę, Komako starła go natychmiast chusteczką i przyniosła mu popielniczkę. Zaniósł się rześkim, porannym śmiechem. Komako zawtórowała mu chichotem.

— Gdybyś założyła rodzinę, pewno byś całymi dniami strofowała męża, co?

— Przecież ci ani słowa nie powiedziałam. Już taka jestem i często śmieję się ze mnie, że nawet rzeczy do prania wysyłam starannie poskładane.

— Znasz chyba takie powiedzonko: wysuń szuflady twej komody, a powiem, jaką jesteś gospodynią.

Zjedli śniadanie grzejąc się w promieniach porannego słońca wypełniających cały pokój.

— Piękna pogoda! Warto by szybko wrócić do domu i poćwiczyć na *samisenie*. Przy takim dniu jak dziś dźwięk inaczej wychodzi.

Komako zwróciła spojrzenie ku górze, na przejrzystą toń nieba. Dalekie szczyty gór przesłonięte były miękką, mleczną bielą i w pierwszej chwili mogło się wydawać, że to dymią pokrywające je śniegi.

Shimamura, pamiętając, co mu mówiła masażystka, zaproponował, żeby poćwiczyła ewentualnie w jego pokoju. Komako natychmiast podniosła się i zadzwoniła do domu, żeby przyniesiono jej odzież na zmianę i śpiewniki. Że też w domu, który oglądałem wczoraj w południe, jest telefon? — dziwił się w duchu Shimamura, a w myśli stanęły mu znowu oczy Yóko.

— Czy przyniesie ci to ta dziewczyna?

— Możliwe, że ona...

— Mówią, że jesteś zaręczona z synem nauczycielki.

— O! Kiedyś się tego dowiedział?

— Wczoraj.

— Ale z ciebie dziwak! Skoro wiedziałeś, to czemu nie wspomniałeś o tym wczoraj w

nocy? — Na twarzy Komako jednak malował się przy tych słowach jasny uśmiech; jeszcze poprzedniego dnia zareagowałaby inaczej.

— Ze względu na ciebie trudno mi było takie rzeczy mówić, a zależało mi na tobie.

— Mówisz to, czego nie czujesz! Nie lubię tokijczyków, bo kłamią!

— Dobrze sobie! Ale widzę, że ja coś zacząłem mówić, a ty chcesz koniecznie zmienić temat.

— Niczego nie chcę zmieniać! A więc powiedz: naprawdę zależało ci na mnie?

— Naprawdę.

— Nadal kłamiesz! Jestem przekonana, że wcale ci nie zależało!

— A to dopiero! Nie mogę się połapać, o co ci idzie! Ale niech tam! Powiem ci teraz, dlaczego

czułem się wtedy niezręcznie: mówiono, że zostałam gejszą ze względu na zmówiny, żeby zarabiać na koszty leczenia tego chorego mężczyzny...

— To podłość! I pachnie mi to lichym melodramatem. Nieprawda, że byłam z nim zmówiona! Ale pewno ludzie najczęściej tak właśnie o mnie myślą. Nie potrzebowałam właściwie ze względu na nikogo zostawać gejszą, ale wszystko, co robiłam, musiałam zrobić.

— Mówisz samymi zagadkami!

— Powiem ci zatem wszystko otwarcie. Otóż moja nauczycielka muzyki myślała może nawet kiedyś o tym, żeby jej syn związał się ze mną, ale tylko myślała i nic więcej; nigdy ani słowa na ten temat nie powiedziała. Prawda, że zarówno jej syn, jak i ja domyślaliśmy się tego... Ale między nami dwojgiem nic specjalnego nie było. Tak tylko...

— Taka przyjaźń z lat dziecińczych...

— O właśnie! Ale potem żyliśmy z dala jedno od drugiego. Gdy oddawano mnie w kontrakt do Tokio, tylko on jeden odprowadził mnie na stację. Pisałam o tym na samym początku swojego najstarszego dziennika.

— Gdybyście oboje mieszkali w tamtym portowym miasteczku, przypuszczam, że teraz byłibyście już dobraną parą...

— A ja tego nie przypuszczam!

— Jesteś pewna?

— Przestań wreszcie kłopotać się o tego człowieka! Przecież on niedługo umrze.

— Ale coś w tym jest nieładnego, że w takim właśnie czasie spędzasz nocę poza domem!

— To z twojej strony nieładnie, że mi to wypominasz! Na jakiej zasadzie mógłby mi



ten stojący nad grobem człowiek przeszkadzać w robieniu tego, na co mam ochotę?

Shimamura nie znalazł na to właściwej odpowiedzi.

Czy istniał jednak jakiś powód, dla którego Komako ani jednym słowem nie wspomniała dotąd o Yóko?

I co pomyśli sobie Yóko, która nawet w pociągu troskliwie, nie dbając o własne wygody, opiekowała się powracającym do domu mężczyzną, niczym matka własnym dzieckiem; czy to, że przyniesie ona tutaj z samego rana zmianę odzienia dla Komako, którą, kto wie, co z tym mężczyzną wiąże, ma jakieś głębsze znaczenie?

Shimamura swoim zwyczajem pogrążył się w daleko idących przecuciach.

— Koma-chan! Koma-chan! — obił się nagle o jego uszy niski, lecz czysty i piękny głos Yóko przywołującej z korytarza towarzyszkę.

— Jestem tutaj! Przepraszam za fatywę! — od-krzyknęła Komako i przeszła do sąsiedniego niewielkiego pokoiku.

— Ach, to ty, Yóko, mi to przyniosłaś?! Doprawdy, tyle tego! Musiało ci być ciężko!

Yóko nie odpowiedziała ani słowem i Shimamura zdawało się, że od razu sobie poszła.

Komako wymieniła najpierw trzy jedwabne struny, zerwawszy ręką stare, a następnie na-

stroiła instrument. Już w tym momencie uwierzył w mistrzostwo jej sztuki, ale gdy na blacie *kotatsu* rozsypała opakowane w barwną chustę zawiniątko okazałych rozmiarów i zobaczył, że poza normalnymi nutami do ćwiczeń było w nim ze sto dwadzieścia współczesnych utworów na *samisen* słynnej Kineie Yashichi, podziw Shimamury osiągnął swój szczyt. Począł je przeglądać.

— To na takich materiałach się uczyłaś?

— Czy cię to dziwi? Tutaj nie ma żadnego nauczyciela muzyki... Nie było innej rady!

— Przecież masz w domu nauczycielkę!

— Jest sparaliżowana.

— Nawet sparaliżowana może dawać ustne wskazówki.

— I mowę jej niestety odjęło... Przy tańcu to jeszcze lewą ręką może poprawić coś w ruchach tancerza, ale przy nauce gry na *samisenie* potrafi się tylko przy lada pomyłce złościć!

— I rozumiesz się na tych nutach?

— Orientuję się w nich nawet dobrze, wyobraź sobie!

— Ten, kto je pisał, cieszyłby się, gdyby wiedział, że tu, w zapadłej górskiej okolicy, ćwiczy je z takim zacięciem nie jakiś amator, lecz prawdziwa gejsza!

— W zawodzie gejszy najważniejsze to umieć tańczyć i dlatego w Tokio przede wszystkim kazano mi ćwiczyć taniec. Przy *samisenie*, gdy czegoś zapomniałam, nie miałam już nikogo, kto by mi pomógł; a pamięci nie mam najświetniejszej i dlatego muszę polegać na nutach.

— A śpiew?

— Oj, śpiew... Owszem, to, czego nauczyłam się ze słuchu podczas ćwiczeń tańca, to mi jakoś idzie, ale żeby zapamiętać coś nowego z radia czy jakoś inaczej... co tu dużo mówić, nijak mi to nie wychodzi. Wiem, że zawsze coś na swój sposób zmienię i z pewnością takie śpiewanie jest śmiechu warte. Poza tym, gdy mam śpiewać komuś, z kim jestem w zażyłych stosunkach, trudno mi wydobyć głos, a kiedy to ktoś nieznajomy, mogą śpiewać głośno... — Urwała zawstydzona trochę, ale po chwili przyjęła postawę gotowości do rozpoczęcia gry, patrząc przy tym w twarz Shimamury, jak gdyby oczekiwała, że on podejmie się śpiewu.

Shimamurę w jednej chwili ogarnęło zmieszanie. Wychowany w rejonie dzielnic rozrywkowych Tokio, już w młodym wieku bywał w teatrze *kabuki* i wiedział dzięki temu wiele o tańcach japońskich, a nawet pamiętał słowa różnych pieśni; miał też ucho nawykłe do ich melodii, ale sam nigdy śpiewać nie próbował. Wszystko tak się ułożyło, że pieśniarstwo kojarzyło mu się po prostu z wykonywaniem na scenie solowego tańca, a nie wywoływało w nim bynajmniej obrazu gejszy grającej w bawialni zajazdu.

— O, nieładnie! Nie należysz do nazbyt towarzyskich gości! — Komako zagryzła lekko dolną wargę, ułożyła sobie *samisen* na kolanach i otworzyła nuty do ćwiczeń przybierając wyraz twarzy, jakiego dotąd u niej nie widział. — Tej jesieni ćwiczyłam wyłącznie z nutami — wyjaśniła.

Była to dobrze mu znana partytura z dramatu *Kanjinchó*<sup>10</sup>

Shimamura poczuł nagle, jak przechodzi po nim mrowie i gęsia skórka występuje mu aż na policzki; w głąb ciała wdarła się dojmująca próżnia. Do głowy jego, która stała się teraz pusta, przenikały bez przeszkód dźwięki *samisenu*, wypełniając jej wnętrze. Był w najwyższym stopniu zaskoczony a właściwie — wręcz porażony. Ogarnął go podniosły nastrój, czuł, że budzi się w nim jakaś skrucha, która mu przynosi wewnętrzne oczyszczenie. Owładnął nim bezwład, toteż nie pozostawało mu nic innego, jak poddać się z rozkoszą prądowi, z którym płynął teraz zdany na wolę Komako.

Po dziewiętnasto- czy dwudziestoletniej gejszy z małej prowincjonalnej miejsciny

---

<sup>10</sup> *Kanjincho* — „Księga ofiar”, utwór Namiki Gohel, napisany ok. 1840 r., jeden z bardziej znanych dramatów W teatrze kabuki, oparty na motywach średniowiecznych eposów rycerskich. Sceny z tego dramatu doczekały się wielu opracowań wokalnych i instrumentalnych. (Przyp. tłum.)

mógł się spodziewać jakiejś przeciętnej gry na *samisenie*, ale przecież grała tu w tym pokoju zupełnie jak doświadczona artystka ze sceny. Czy nie wpadam znowu, jak zwykle w górach, w marzycielstwo? — próbował opamiętać się Shimamura. Tymczasem Komako z rozmysłem skandowała wiersze w specyficzny dla zawodowych recytatorów sposób, to zwalniając, to znów przyspieszając tempo, zawsze jednak z zachowaniem najwyższej precyzji wykonawstwa, aż wreszcie, jak gdyby już zmęczona deklamacją, wzmocniła modulację głosu. Shimamura począł się nawet w końcu niepokoić, czy dźwięki, które dziewczyna dobywa swym plektronem z instrumentu, mogą wznieść się jeszcze wyżej, na nie przeczuwane przez niego szczyty doskonałości, i aby nie zdradzić swego napięcia, tak pełnego oczekiwania, ułożył się na poduszce, która mu dotąd służyła za podparcie dla łokcia.

Gdy kantata z *Kanjinchó* dobiegła wreszcie końca, Shimamura odetchnął z ulgą. Przemknęło mu przez myśl: Patrzcie, ta kobieta kocha się we mnie! — ale i teraz nie było w tym ani cienia uczucia.

— W taki dzień zupełnie inaczej się gra. — Komako zapatrzyła się w wypogodzone niebo ponad śniegami gór. I miała bezsprzecznie rację. Cała atmosfera była tutaj inna. Bez teatralnego pomieszczenia, bez publiczności, bez wielkomiejskiego kurzu ton niczym nie hamowany przenikał wprost w czysty zimowy poranek i płynął lotem ptaka aż po najdalsze zbocza.

Przywykła już grać w samotności, biorąc sobie zawsze za audytorium — i to całkiem nieświadomie — bogatą przyrodę tego górskiego zakątka; to przyroda uszlachetniała jej grę. Ta umiejętność rozpraszała smutek osamotnienia i podtrzymywała siłę nieokiełznanej woli tej dziewczyny. Bez wątplenia podwójny wysiłek woli był konieczny dla . przećwiczenia w pojedynkę rozmaitych utworów i opanowania ich tak, by grać je wreszcie bez nut — nawet jeśli dziewczyna miała wrodzony talent.

Shimamura uważał zresztą taki styl życia Komako za czystą sztukę dla sztuki, a sympatyzował z tym choćby dlatego, że i sam lubił niekiedy o czymś podobnym pomarzyć. Oszołomiony powodzią dźwięków wyczarowanych z instrumentu upatrywał w tym raczej jeszcze jedną jej zaletę.

Nie mając ucha wyczulonego na subtelne rozróżnienia w zakresie technicznych szczegółów gry, odbierał ją tylko jako ogólną impresję słuchową, toteż Komako prawdopodobnie nie mogłaby znaleźć wdzięczniejszego słuchacza. Gdy zaczęła grać, jako trzeci z kolei, utwór *Miyakodori*<sup>11</sup>, właściwa tej melodii urzekająca miękkość sprawiła, że Shimamura pozbył się w końcu dreszczu wywołującego gęsią skórę i jakoś ciepło, beztrósko

---

<sup>11</sup> Miyakodori — Mewa. (Przyp. tłum.)

przyjrzał się twarzy Komako. Owładnął nim w jednej chwili niepohamowany fizyczny pociąg do tej dziewczyny.

Wydłużony, wydatny jej nos mógłby trochę razić w całości, ale i on na tle żywo zarumienionych policzków zdawał się niedosłyszalnie mówić: I mnie tu nie brak... Cudowne usta, gładkie jak pierścieniowata przyssawka opitej krwią pijawki, nawet w chwilach, gdy je zwieriała, zdawały się połyskliwie odbijać padające na nie promienie, a gdy z kolei stosownie do słów pieśni otwierała usta szerzej, aż przyjemnie było patrzeć, jak czym prędzej ponownie się przymykają. Zupełnie tak samo oddziaływał powab całej jej postaci. Linia kącików oczu pod oceniającymi je rzęsami nie załamywała się ni w dół, ni w górę, a jakby umyślnie biegła nienagannie prosto, przez co w oczach tych czaiło się coś zabawnego, a w tej chwili były tak wilgotne i błyszczące, że czarowały młodzieńczym wyglądem. Świeżość nie ukrywanej pod pudrem cery, przypominająca obraną z wierzchniej łupiny cebulkę lilii czy pora, świadczyła wyraźnie, że na to, czym przesiąkła w rozrywkowej dzielnicy wielkiego miasta, nałożyły się już barwy gór: blado-krwisty rumieniec sięgał od policzków aż po szyję, a nade wszystko biła od niej jakaś czystość.

Mimo że siedziała z powagą na klęczkach, w postawie wyprostowanej, wyglądała niezwykle dziewczęco.

Wreszcie Komako skończyła grać *Wariacje na temat Urashimy*, które — jak oświadczyła — dopiero od niedawna ćwiczy i dlatego musi patrzeć w nuty, w milczeniu wsunęła plektron pod struny i przybrała swobodniejszą pozę.

Czar w jednej chwili prysnął.

Shimamura nie był zdolny odezwać się ni słowem, ale Komako nie sprawiała nawet wrażenia, że interesuje ją jego ocena gry: była po prostu z siebie zadowolona.

— Czy potrafisz zawsze rozpoznać, która to z tutejszych gejsz gra na *samisenie*?

— Też pytanie! Oczywiście, że potrafie! Jest nas zaledwie kilkanaście! A już po ich śpiewkach najłatwiej je poznać, bo wychodzą w nich najwyraźniej indywidualne nawyki. — Znowu ujęła instrument, przy czym prawą nogę przesunęła zgiętą nieco w bok, tak by mogła oprzeć na łydce pudło *samisenu*, a biodra przeniosła w lewo na matę, skłaniając całe ciało w prawą stronę. — W młodych latach ćwiczyłam w taki sposób... — Wzrok skierowała na gryf. — Kru-czo-czar-nyy włos... — śpiewała dziecinną manierą, poruszając poszczególne struny.

— To w samych początkach grywałaś *Kruczoczarny włos*?

— Aha! — Komako potrząsnęła głową, jak na pewno czyniła to w młodości...

Od tej pory Komako nawet wtedy, gdy zdarzało jej się nocować u niego, nie usiłowała już wracać do domu za wszelką cenę przed świtem. Sadowiąc troskliwie przy *kotatsu*

dwuletnią córeczkę właściciela zajazdu, która w korytarzu już z daleka wołała na nią: „Koma-chaan!”, przeciągając przy tym ostatnią sylabę, bawiła się z dziewczynką w najlepsze, a około południa szła z nią razem do kąpieli.

Po powrocie z łazienki rozczesywała grzebieniem włosy dziecka.

— Ta maleńka, jak tylko widzi którąś gejszę, woła na nią z zabawnym akcentem: „Koma-chaan!”

Jak tylko zobaczy starojapońską fryzurę na fotografii czy na obrazku, to dla niej jest Koma-chan. Bardzo lubię, dzieci i nieźle je rozumiem. Kimi-chan, pójdziemy się bawić do mojego domu, dobrze? — Zabierała się do wyjścia, ale zaraz znowu lokowała się beztrudno w jednym z trzcinowych krzeseł wniesionych z korytarza. — Ach, ci postrzeleńcy z Tokio! Już od samego rana jeżdżą!

Okna jego pokoju, położonego na piętrze, skąd odsłaniał się przed oczami rozległy widok, wychodziły wprost na południe, na tereny narciarskie u podnóża gór.

Shimamura siedzący przy *kotatsu* również zwrócił oczy w tamtą stronę. Na pochyłości śnieg leżał wielkimi płatami, ale pięć czy sześć sylwetek ludzkich w czarnych narciarskich strojach ślizgało się w oddali, na poletkach u samego podnóża. Półka ciągnęły się jedno za drugim, ale ani rozgraniczające je niewielkie nasypy ziemne nie były jeszcze ukryte pod śniegiem, ani spadek zbocza nie był duży, tak że w ogóle nie widziało się sensu, żeby tam jeździć.

— Wyglądają mi na studentów. Pewno dziś niedziela. Ale tam iść na narty to przecież śmieszne, no nie?

— Niech sobie będzie śmieszne, ale jeździ się za to z lepszym szykiem. — Komako poczęła odtąd mówić jakby sama do siebie: — Gdy tam na śniegu pojawi się gejsza i pozdrawia znajomych gości, dziwią się głośno: „O, to i ty przyszłaś?” Nie mogą pojąć, że opaliła się „na Murzyna” od śniegu załamującego promienie słońca. No, bo wieczorem widzą ją tylko upudrowaną...

— Czy nosisz też narciarski kostium?

— Nie, takie tutejsze góralskie szarawary! O, jakie to wszystko obrzydliwe, jakie wstrętne! Już niedługo znowu się zacznie. Nie dość, że jest się z gościem w zajeździe, to jeszcze może ci on zaproponować, żebyś następnego dnia spotkała się z nim na nartach. Już chyba w tym roku dam spokój tym przejażdżkom! No to do widzenia! Chodźmy wreszcie, Kimi-chan! Dziś w nocy będzie na pewno padać śnieg. A gdy zanoszą się na śnieg, pod wieczór jest zawsze chłodniej!

Shimamura siadł na trzcinowym krześle, z którego podniosła się Komako, i

obserwował ją przez okno, jak idzie do swego domu prowadząc za rękę Kimiko, ścieżką biegnącą aż na tereny dla narciarzy.

Nadpłynęły stada chmur i góry spowite cieniem poczęły się stapiać z górami stojącymi jeszcze w słońcu; gra zmieniających się z chwili na chwilę światła i cieni była widowiskiem, od którego bił lekki chłód. Wreszcie cień w jednej chwili zasnuł całą dolinę przed jego oczyma. Gdy opuścił wzrok niżej, zauważył pod oknem na rabacie zwiędłych chryzantem zamróz przezroczysty jak żelatynka. Ale z okapu wciąż jeszcze głośno kapwały krople topniejącego na dachu śniegu.

Tej nocy nie było śnieżycy, spadł za to grad, który potem przeszedł w deszcz.

W jasną, księżycową noc, poprzedzającą jego odjazd, Shimamura jeszcze raz wezwał do siebie Komako. Powietrze było ostre i zimne i zbliżała się już jedenasta, ale dziewczyna uparła się, żeby iść na spacer. Nieco brutalnie, podrywając za ramiona, wyciągnęła go z *kotatsu* i mimo oporu wyprowadziła na zewnątrz.

Droga całkiem zamarzła. Wieś w tym mrozie spała głębokim snem. Komako podwinęła poły kimona wtykając je pod obi. Księżyc widać było jak na dłoni i odnosiło się nieprzeparte wrażenie, że to klinga szabli zakutej w bryłę lodu koloru nieba.

— Idziemy na stację!

— Zgłupiałaś?! W obie strony to będzie przecież ponad milę!

— Ty niedługo odjeżdżasz do Tokio. Idziemy zobaczyć stację...

Shimamura zdrętwiał z zimna od barków aż po łądźwie.

Gdy wrócili do pokoju, Komako wpadła nagle w przygnębienie. Siedząc przy *kotatsu*, z rękami wsuniętymi głęboko pod jego nakrycie, zwiesiła nisko głowę. Nie poszła też z nim tym razem do kąpieli.

Materac do spania rozłożyła tylko jeden, i to w taki sposób, że węższy jego brzeg, przeznaczony na nogi śpiącego, przylegał do krawędzi *kotatsu*, a na kołdrę nasunięty był skraj grubej kołdry leżącej na *kotatsu*, z której ciepło mogło teraz przepływać do pościeli. Gdy Shimamura po kąpieli wrócił do pokoju, zastał Komako siedzącą nieruchomo obok posłania ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

— Co się stało?

— Wracam do domu.

— Nie opowiadaj głupstw!

— O mnie się nie martw, a sam idź spać! Zrobię, co mi się będzie podobało...

— Dlaczego chcesz wracać do siebie?

— No to nie wrócę nigdzie i zostanę w tym miejscu aż do białego rana!

— Bzdury! Nie urządza scen!

— Nie urządza żadnych scen! To nie jest żadne urządzenie scen!

— Więc co?

— No, zrozum. Jestem niedysponowana.

— I przez to właśnie? Też przyczyna! Nie masz się czym przejmować! — Shimamura roześmiał się. — Naprawdę, daj już temu spokój!

— Zostaw mnie!

— I w dodatku byłaś tak niemądra. Żeby taki kawał leżeć bez potrzeby!

— Wracam do domu.

— Przecież nie musisz jeszcze wracać?

— O, jak mi ciężko! Lepiej by było, żebyś już wrócił do tego Tokio. O, jak mi ciężko!

— Komako powolnym ruchem pochyliła twarz na koldrę okrywającą kotatsu.

Może mówiąc „jak mi ciężko”, miała na myśli własne strapienie z tego powodu, że bezwiednie przebrała miarę z takim jak on przyjezdnym gościem. A może było to rozżalenie, że w tym momencie nie może pofolgować swoim najskrytszym chęciom. Shimamura w milczeniu zastanawiał się przez chwilę, czy serce tej kobiety mogło zająć się nim tak głęboko.

— Najlepiej by było, żebyś wrócił do siebie.

— Prawdę mówiąc, mam zamiar już jutro odjechać.

— Jak to? Dlaczego? — Komako podniosła twarz, jak gdyby nagle zbudzona ze snu.

— Żeby nie wiem nawet jak długo miał tu pozostać, nie mam przecież i tak żadnej możliwości zatrzymać ciebie na stałe przy sobie...

Przez chwilę wydawało się, że Komako patrzy na Shimamurę nie pojmując, co do niej powiedział, ale wreszcie przemówiła, i to z zaczepką w głosie.

— Nie powinienes tak mówić! Dlaczegoś to powiedział?! — Wyraźnie rozdrażniona podniosła się z miejsca i nieoczekiwanie zarzuciła mu rękę na szyję; nie potrafiła ukryć swego zażenowania: — Tyś nie powinien mówić mi takich rzeczy. Posuń się! No, posuń się, jak ci mówię! — Wypowiadając w ten sposób zdania bez związku, osunęła się na posłanie i w zapamiętaniu nie baczyła nawet na to, że *coś* jej miało dolegać.

Dopiero po jakimś czasie otworzyła swe ciepłe, wilgotne oczy.

— Powinienes naprawdę jutro wyjechać! — powiedziała spokojnie, zdejmując z powłoczki jakiś dostrzeżony na niej włos...

Shimamura, który zdecydował się wreszcie, że wyjedzie następnego dnia po południu o trzeciej, akurat się przebierał, gdy portier zajazdu wywołał dyskretnie Komako na korytarz. Usłyszał, jak Komako mu odpowiada:

— Słusznie! Proszę to policzyć za jedenaście godzin!

Prawdopodobnie portierowi wydało się, że to zbyt długo jak na gejszę, żeby przebywała u gościa szesnaście czy siedemnaście godzin.

Rzeczywiście, rachunek opierał się na szczegółowym wyliczeniu godzin: jeśli Komako wróciła do siebie o piątej rano, w rachunku było napisane: do godziny 5; ponieważ następnego dnia wróciła w południe, rachunek notował: do godziny 12.

Komako w palcie i białym szalu odprowadziła go na stację.

Kupił sobie na drogę puszkę ostro przyprawionych warzyw, słoik opieniek i coś tam jeszcze; dla zabicia czasu pokupował też prezenty, ale i tak pozostało dwadzieścia minut do odjazdu, więc zaczęli spacerować przed stacją po placyku położonym na lekkim wzniesieniu. Shimamura rozglądał się dokoła dziwiąc się w duchu, jaki to wąski skrawek zagospodarowanej ziemi, ściśnięty zewsząd ośnieżonymi górami.

Jakby ulegając nastrojowi zagubionej pośród gór, zasnutej cieniem kotliny hebanowa czerń włosów Komako poszarzała i mniej niż zwykle rzucała się w oczy. Między szczytami, gdzieś w stronie dolnego biegu widocznego z dala strumienia, operowało łagodne światło słońca, aż dziw, że bijące z jednej stale strony.

— Odkąd tu przyjechałem, śniegu chyba raczej ubyło. — Niech no tylko popada ze dwa dni, to zaraz nasypie choćby i na dwa metry. A jak dłużej, to i te lampy na słupach telegraficznych znajdują się w śniegu. Będę szła, zamyślona o tobie lub o czym innym, szyja mi się zapłacze w tych drutach telegraficznych i zrobię sobie krzywdę, zobaczysz!

— To aż tyle napada?!

— Słyszałam, że w miasteczku, o jedną stację przed nami, uczniowie gimnazjum rano, po dużym opadzie, skaczą z okna pierwszego piętra stacji nago w śnieg. Zanurzają się w nim od razu i znikają patrzącemu z oczu. A potem podobno poruszają się w głębi śnieżnej pierzyny w taki sposób, jak się pływa w wodzie. Jasne, że tam też nie obywa się bez odśnieżających pługów.

— Chciałbym tu przyjechać, żeby zobaczyć taki śnieg, ale w styczniu pewno w zajazdach będzie pełno gości, co? A i na pociąg może zwalić się jaka lawina.

— Z ciebie chyba bogaty człowiek. Czy zawsze prowadzisz taki kosztowny tryb życia? — Komako spojrzała na twarz Shimamury i nieoczekiwanie zmieniła temat: — Dlaczego nie zapuszczasz wąsów i brody?

— Właściwie myślałem o tym — pogładził się po sinawych śladach świeżo ogolonego, gęstego zarostu. Jego pełne policzki przecinała rozpoczynająca się na wysokości ust wyrazista linia baczków. Czyżby Komako znajdowała w brodzie i wąsach owo mało



uzasadnione, a zarazem przesadne upodobanie jak i inne kobiety? — przebiegło mu przez myśl. — Dziwna rzecz, ale gdy zetrzesz puder, twoja twarz wygląda, jakby dopiero wyszła spod brzytwy.

— Słyszysz, jak kraczą wrony? To psuje nastrój. Tylko ich tu było brak! Zimno mi się robi. — Komako zapatrzona w błękit nieba przycisnęła mocniej łokcie do boków. — Chodźmy lepiej ogrzać się przy piecu w poczekalni!

W tym momencie zobaczyli postać w góralskich szarawarach nadbiegającą w pośpiechu po szerokiej drodze skracającej od szosy w stronę stacji: była to Yóko.

— O! Koma-chan! Tam... Yukio... Koma-chan! — Zdyszana z trudnością łapiąc oddech, Yóko zupełnie jak dziecko, które uciekając przed czymś strasznym czepia się matki, chwyciła za ramię zaskoczoną Komako. — Chodź do domu! Prędzej! Pogorszyło mu się. Prędzej!

Komako zmrużyła oczy z takim grymasem, jakby ją ramię mocno zabolalo, krew odpłynęła jej w oka mgnieniu z twarzy, ale potrząsnęła głową przecząco z nieoczekiwaną stanowczością.

— Nie mogę iść, bo odprowadzam gościa. Shimamurę zatkało ze zdziwienia.

— Co tam odprowadzanie! W takim wypadku możesz przecież iść!

— Ależ to nie wypada! Nie wiem nawet, czy przyjedziesz tu kiedy jeszcze raz, czy już nigdy tu nie będziesz!

— Przyjadę, z pewnością przyjadę!

Yóko zachowywała się tak, jakby w ogóle nie dotarła do jej świadomości krótka wymiana słów między nimi.

— Przed chwilą, widzisz, zadzwoniłam do zajazdu. Powiedzieli mi, żeś na stacji, więc przybiegłam. Yukio ciebie woła... — mówiła, gwałtownie szarpiąc Komako, która przyjmowała to początkowo raczej obojętnie, ale nagle otrząsnęła się z niecierpliwością.

— Nie chcę o niczym słyszeć!

Jednocześnie zrobiła kilka chwiejnych kroków naprzód; wyglądało na to, że zbiera jej się na torsje, ale udało jej się opanować; brzegi powiek jej zwilgotniały, na policzkach wystąpiła gęsia skórka.

Yóko zamarła w bezruchu ze zdumienia i wpatrywała się w Komako. Na jej twarzy malowała się jednak taka niewzruszona powaga, że nie można było poznać, czy gniewa ją to, czy dziwi, czy wreszcie smuci. Odnosiło się wrażenie, że nosi na twarzy maskę, wyglądała przez to nad podziw prostodusznie i niewinnie.

Z tą maską na twarzy odwróciła się i zniemacka uchwyciła Shimamurę za rękę.

— Ja... bardzo przepraszam... Niech pan ją odprawi do domu! Niech pan jej każe iść!  
— nalegała z błaganiem w podniesionym głosie.

— Proszę! Ja ją zwalniam... — Shimamura mówił głośniej niż zwykle. — W tej chwili wracaj do domu! Nie wygłupiaj się!

— A co ty znowu masz tu do gadania? — Komako zwróciła się do Shimamury, ręką odpychając od niego Yóko.

Shimamura chciał skinąć na taksówkę stojącą przed stacją, ale Yóko ścisnęła jego dłonie z całej siły, aż zdrętwiały mu palce.

— Zaraz ją odeślę do domu tym samochodem. A tak czy owak najlepiej by było, żeby pani poszła wcześniej. Tutaj... na to wszystko... ludzie patrzą.

Yóko skłoniła się wpół.

— Ale proszę prędko! Proszę prędko! — ledwo zdążyła to powiedzieć, już bez chwili zwłoki obróciła się i popędziła przed siebie z niewiarygodnym pośpiechem. Shimamura, który odprowadził wzrokiem jej oddalającą się postać, zachodził w głowę, dlaczego nawet w tej sytuacji dziewczyna zachowała się jak zawsze z powagą, ale w sercu jego tliła się niepewność, czy w ogóle powinien teraz o tym myśleć.

Głos Yóko, piękny i smutny zarazem, dźwięczał nadal w uszach Shimamury zdając się nadlatywać nieustannym echem, odbijającym się gdzieś od gór okrytych śniegiem...

— Gdzie idziesz? — Komako przytrzymała Shimamurę, który chciał szukać kierowcy samochodu. — Nie ma mowy! Ja do domu nie wracam, i basta!

Shimamura poczuł, jak wzbiera w nim fizyczna odraza do Komako.

— Nie wiem, jaki stosunek łączy was troje, ale nie jest przecież wykluczone, że tamten młody człowiek w tej chwili umiera. Nie ulega też wątpliwości, że ona przyszła po ciebie, bo chciał się z tobą zobaczyć. Nie opieraj się, idź do niego! Całe życie będziesz sobie potem robić wyrzuty. Byłoby straszne, gdyby on tam skonał, a ty byś tu spędzała czas na gadaniu. Nie zacinaj się w uporze, puść wszystko w niepamięć!

— Nie o to idzie! Źle to sobie tłumaczysz!

— Czyż to nie on właśnie odprowadził cię na stację, gdy odjeżdżałaś oddana w kontrakt do Tokio? To o tym pisałaś w najstarszym swym dzienniku, na samym początku... Czy masz prawo nie odprowadzić go teraz, gdy udaje się w ostatnią swoją podróż? Teraz na niego kolej zapisać cię na ostatniej stronie własnego życia...

— Za nic w świecie! Nie chcę patrzeć, jak ktoś umiera!

Mogło to oznaczać z jej strony zarówno emocjonalne zobojętnienie, jak i przewrażliwienie nazbyt gorących uczuć — Shimamura nie wiedział, co o tym sądzić.

— Już nie będę miała odwagi prowadzić dziennika... Spalę go... — Komako powiedziała to szeptem, a jej policzki bez widocznego powodu nabrały kolorów. — Słuchaj! Ty jesteś człowiek solidny... Jeśli jesteś solidny, to mogę ci wysłać cały swój dziennik. Ty mnie nie wyśmiejesz. A uważam, że jesteś solidny...

Shimamura, z niezrozumiałych przyczyn podniecony, poczuł naraz, że oczywiście nie ma drugiego tak solidnego człowieka jak on. Już ani jednym słowem nie nalegał więcej na Komako, żeby szła do domu. Komako również milczała.

Zbliżył się portier z filii zajazdu zawiadamiając, że zaczęto już wpuszczać na peron.

Zaledwie czterech czy pięciu miejscowych ludzi, odzianych w zimowe ubiory o ponurych barwach, kręciło się koło pociągu nie czyniąc przy tym żadnego hałasu.

— Ja na peron nie wejdę... Do widzenia! — Komako zatrzymała się w poczekalni i stanęła pod oknem. Szyby okna się nie uchylały. Gdy patrzył na nią z wnętrza wagonu, wydawała mu się podobna do zapomnianej pod zakurczonym szklanym kloszem w podrzędnej owocarni na zapadłej prowincji pojedynczej sztuki jakiegoś niezwykłego owocu.

W momencie gdy pociąg ruszył, oszklone okno poczekalni rozbliżyło naraz, ale ledwie zdołał dojrzeć, jak skąpana w tym blasku spłonęła czerwienią twarz Komako, jasność zgasła już bezpowrotnie. Shimamura był jednak pewien, że dostrzegł w tym przelotnym momencie na jej policzkach rumieniec taki sam jak owego ranka na tle odbitego w lustrze śniegu. I znowu ta jedna chwila pchnęła go do rozłąki z tym, co uważane jest za rzeczywistość.

Pociąg, który wspinał się początkowo po zboczach pasma rozgraniczającego dwie prowincje, przetoczył się z kolei przez długi tunel. Delikatną jasność zimowego popołudnia na oczach Shimamury wessały podziemne ciemności lochu, a w jego czeluściach pociąg zdawał się zrzucać świetlaną powłokę kryjącą jego przestarzały wygląd i odtąd, wyłaniając się spomiędzy szczytów nawarstwionych jeden nad drugim, począł spuszczać się w dolinę, gdzie widoczne już były pierwsze oznaki budzących się barw wieczoru. Po tej stronie jeszcze śniegu nie było.

Posuwając się wzdłuż potoku, wjechali wreszcie na szeroką równinę. Księżyc zawieszony nad krawędzią łańcucha górskich wierzchołków ciekawie je rzeźbił, zasnuwając jednocześnie spokojnym światłem łagodnie spływającą w dół ku oddalonym podnóżom płaszczynę zbocza. Niebo rozlewające

bladą poświatę barwiło potężne sylwetki gór świeżymi odcieniami głębokiego błękitu, podczas gdy u wylotu równiny widok był jednostajny. Księżyc nie oślepił już białością, ale choć tło rzucało nań lekki cień, nie ziębił jeszcze przejmującym chłodem zimowej nocy. Na niebie nie było ani ptaka. Równina u stóp gór rozciągała się bezkresnie wszcz i nic nie

przesłaniało jej perspektywy ni z lewej, ni z prawej strony, jedynie tuż nad brzegiem potoku białiał budynek wyglądający na hydroelektrownię. Był to jedyny szczegół na planszy okna wagonu wypełnionej smętnym zimowym krajobrazem, nie zagarnięty jeszcze przez mrok.

Okno poczęło zachodzić parą, a przy tym, w miarę jak przepływająca poza nim równina stawała się mniej widoczna, coraz wyraźniej odbijać się mogły w szybie na w pół przezroczyście jeszcze sylwetki pasażerów. Były to znowu owe wieczorne figle lustrzanych refleksów. Sam pociąg też składał się chyba nie więcej niż z trzech lub czterech wagonów osobowych starego typu, poszarzałych od zużycia i starości, tak jakby nie była to linia Tókaidō, łącząca główne miasta w Japonii, a jakiś boczny trakt żelaznej drogi. Nawet światło elektryczne żarzyło się tu słabo.

Shimamura, siedząc w jednym z tych nieco oderwanych od rzeczywistości wehikułów i tracąc poczucie czasu i przestrzeni, poddał się złudzeniu, że ciało jego unosi się w pustce, i w tym momencie po raz pierwszy monotonny stukot kół począł przeradzać się w jego uszach w słowa wymawiane przez jakąś kobietę... Mówiła krótkimi, urywanymi zdaniami, co oznaczało, że jest to kobieta rzeczywista i wręcz prozaiczna. Shimamura jednak nie potrafił oderwać się od tego głosu, który aż nazbyt dokuczliwie do niego docierał; w momencie kiedy tak bardzo odbiegł myślami od realnego świata, był to jednak głos oddalony i w niewielkiej tylko mierze mógł pogłębić istotne gorycze, które zatruwały mu humor w czasie tej podróży.

Czy Yukio wydał wówczas swe ostatnie tchnienie? Dlaczego Komako uparła się i nie poszła do domu? I czy ostatecznie przez to nie zdążyła na moment śmierci Yukio?

Pasażerów w wagonie ciągle ubywało i nastrój stawał się coraz bardziej nieprzyjemny.

W pobliżu Shimamury siedziały naprzeciw siebie dwie osoby: mężczyzna ponad pięćdziesiątkę i dziewczyna o zaczerwienionej twarzy, pochłonięci bez reszty jakąś nie kończącą się rozmową. Dziewczyna, która na swe nieco zbyt obfite ramiona narzucony miała czarny szal, wprost płonęła na twarzy i zdawało się, że lada chwila krew tryśnie z jej policzków. Wypinając pierś, wsłuchiwała się uważnie w to, co mówił mężczyzna, i odpowiadała mu z widoczną przyjemnością. Wyglądali na parę odbywającą wspólnie długą podróż.

Tymczasem gdy dojechali do stacji, skąd widać było komin jakiejś przędzalni, starszy pan w pośpiechu ściągnął z bagażnika wiklinową walizę, którą spuścił przez okno na peron.

— No to do widzenia! Jeśli losy pozwolą, jeszcze się kiedyś spotkamy! — rzucił dziewczynie na pożegnanie i wyszedł.

Shimamura w jednej chwili lży zaćmiły wzrok; sam poczuł się tą sceną zaskoczony. Zaskoczyło go, że ten człowiek bez większego namysłu pożegnał się z kobietą i poszedł w

swoją stronę.

Był jak najdalszy od przypuszczenia, że tych dwoje spotkało się w pociągu zupełnie przypadkiem. Że mężczyzna to może jakiś komiwojazer lub ktoś w tym rodzaju...

Gdy Shimamura wyruszał ze swego domu w Tokio, żona pouczała go, żeby po rozebraniu się nie wieszał garniturów w szafie ani na ścianach, nie przetrzepawszy ich przedtem starannie, bo jest to właśnie okres, gdy motyle nocne, a także i mole, składają jajeczka. I rzeczywiście, po przyjeździe do zajazdu zobaczył na własne oczy, że do lampionu wiszącego dla dekoracji u okapu za oknem jego pokoju przywarło sześć czy siedem wielkich ciem koloru kukurydzy. Nawet w sąsiadującej z pokojem niewielkiej gotowalni siedział jakiś motyl, mały wprawdzie, ale o stosunkowo dużym odwłoku.

Okno było jeszcze — jak normalnie latem — opatrzone metalową siatką chroniącą przed owadami. Na tej siatce też siedziała nieruchomo ćma, zupełnie jak przyklejona. Sterczące czułki przypominały mikroskopijne pióreczka koloru kory cyprysu. Nieledwie przezroczyste skrzydełka były jednak bladozielone. A miały długość nieomal kobiecego palca. W dali za oknem ciągnęło się pasmo pogranicznych gór, które w promieniach zachodzącego słońca nabierały barw jesieni, a na tym tle owa jedyna bladozielona plamka zdawała się być symptomem śmierci. Jedynie w tych miejscach, gdzie przednie skrzydełka zasuwwały się na tylne, ich zielone zabarwienie występowało intensywniej. Przy podmuchach jesiennego wiatru skrzydła owada trzepotały lekko jak skrawek cieniutkiej bibułki.

Shimamura, niepewny, czy ma przed sobą żywe stworzenie, podniósł się i przeciągnął palcem po zainstalowanej w oknie siatce, ale ćma nawet nie drgnęła. Dopiero gdy uderzył o siatkę silniej pięścią, owad poleciał w dół jak liść odpadły z gałęzi drzewa; nie zdążył jednak jeszcze musnąć ziemi, a już zakołysał się lekko na wietrze, unosząc się znów ku górze.

Siedząc za jego lotem, Shimamura dojrzał pod cedrowym zagajnikiem nie opodal zajazdu nieprzeliczone chmary ważek płynących w powietrzu. Wyglądały jak rozwiane podmuchaem wichury kłęby puchu dmuchawca.

Potok wijący się u podnóża gór zdawał się wypływać wprost z gęstwy cyprysowych koron.

Z uczuciem nienasycenia wpatrywał się też Shimamura w mieniące się srebrzyście kwiaty, podobne do białej krzaczastej koniczyny, które kwitły tu i ówdzie na zboczach pomniejszych wzgórz.

Gdy wracał z basenu kąpielowego, zauważył siedzącą w hallu handlarkę — Rosjankę. Że też i do takiej miejsciny one docierają — pomyślał Shimamura i podszedł, żeby zobaczyć, co sprzedawczyni oferuje. Były to najzwyklejsze japońskie kosmetyki, grzebienie i inne tego

rodzaju drobiazgi.

Kobieta miała już chyba ponad czterdziestkę i twarz jej była przyćmiona drobnymi zmarszczkami, ale dostępne dla wzroku fragmenty pełnej szyi jaśniały nieskazitelną bielą.

— Skąd pani pochodzi? — zapytał Shimamura.

— Skąd pochodzę? To znaczy, skąd jestem? — Rosjanka nie była zdecydowana, co ma odpowiedzieć; zaczęła zwijać swój kramik, zdając się ciągle jeszcze bić z myślami. Jej suknia, w której wyglądała jak owinięta w jakąś brudną płachtę, utraciła już nawet pozory prawdziwie europejskiego ubioru, a nabrała cech strojów, jakie zwykle się widywało w Japonii. Handlarka zarzuciła sobie na ramię spory tłumoczek opakowany w barwną chustę i wyszła. Dostrzegł jeszcze, że mimo wszystko na nogach miała pantofle.

Zaproszony przez żonę właściciela zajazdu, która z nim razem przyglądała się odejściu Rosjanki, Shimamura zaszedł w jej towarzystwie do kantorku, gdzie siedziała już przy piecyku, odwrócona tyłem do wchodzących, jakaś kobieta słusznej postaci. Kobieta odchyliwszy połą kimona wstała. Kimono było czarne i nosiło godła zakładu, któremu podlegała.

Była to gejsza, którą Shimamura pamiętał ze zdjęcia reklamującego tutejsze tereny narciarskie. Stała na nim obok Komako gotując się do jazdy na nartach, ubrana w bawełniane góralskie szarawary naciągnięte na wizytowe kimono. Była rosła i na oko można jej było dać około czterdziestki.

Właściciel zajazdu, trzymając w dwu metalowych pałeczkach, niby w szczypcach, duży nadziewany pieróg owalnego kształtu, piekł go nad żarem bijącym z paleniska.

— Czy ma pan'chęć na jeden taki? To podarunek dziękczynny, więc może pan skosztuje kawałek, jeśli łaska?

— Czy ta kobieta, która przed chwilą tu była, kończy swój termin?

— Tak.

— To doświadczona gejsza, prawda?

— Uplynął okres jej umowy, zachodzi więc wszędzie z pożegnalnymi wizytami. A to dziewczyna, która miała u gości duże powodzenie.

Shimamura dmuchając na gorący pieróg zdołał go ugryźć; twarda jego skórka była nieco kwa-skowa i zalatywała stęchlizną.

Za oknem promienie zachodzącego słońca ogarnęły już czerwieniejące jaskrawo dojrzałymi owocami drzewo daktylowej śliwy i zanosiło się na to, że lada chwila dosięgną bambusowej oprawy haka zwisającego z powały nad paleniskiem, a przeznaczonego do zawieszania kotła, gdy warzy się w nim strawę.

— O, spójrzcie tam! Jakie to długie! To pewno jakiś rodzaj eulalii...<sup>12</sup> — Shimamura miał oczy zwrócone z podziwem na ścieżkę biegnącą po zboczu. Kilka bab dźwigało na plecach wiązki roślin, których łodygi dwukrotnie przewyższały wzrost człowieka. Ich baldachy też były bardzo długie.

— Tak, to jest *kaya*.

— A więc to *kaya*! *Kaya*!

— Ministerstwo Kolei, w czasie gdy w uzdrowisku odbywała się wystawa, zbudowało tu coś w rodzaju bufetu czy herbaciarni i proszę sobie wyobrazić, że dach tego budynku pokryto *kayą* z naszych gór. Podobno ktoś z Tokio zakupił potem całą tę herbaciarnię, tak jak była, w gotowym stanie.

— Więc to chyba była *kaya* — wymruczał jeszcze raz Shimamura pod nosem, jakby do siebie. — W górach kwitnie przecież raczej *kaya*, a ja myślałem, że to biała koniczyna...

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, gdy wysiadał z pociągu, to te jasne kwiaty rozsiane po górach. Połyskiwały srebrzyście, pyszniąc się swym kwieciem, rozsypane pod każdym niemal szczytem, zwłaszcza na bardziej stromych zboczach. Zdawało się, że to słoneczne blaski jesieni spłynęły w takiej postaci na góry, i widok ten napawał serce Shimamury uczuciem zachwyty. I to te właśnie kwiaty zdarzyło mu się wziąć za białą koniczynę.

Ale *kaya* o tak zdumiewających rozmiarach, jaką zobaczył teraz z bliska, zupełnie nie robiła na nim wrażenia kwiatu, który go wzruszył, gdy spoglądał nań wtedy z oddali. Wielkie wiązki na plecach niosących je kobiet zasłaniały całkiem ich sylwetki i głośno szeleściły ocierając się o głązy wystające gęsto po obu stronach ścieżki. Wiechy ich kwiatostanów były zbyt ogromne.

Shimamura wrócił do swego pokoju. W sąsiadującej z nim gotowni przy przyćmionym świetle dziesięćświecówki dojrzał, jak ów motyl o grubym odwłoku spaceruje po pokrytym czarną laką wieszaku na ubrania, składając na nim jajeczka. Ćmy pod okapem dachu również tłukły się w lampionie, objając się o jego ścianki.

Tysiące różnych owadów grało bez przerwy już od południa.

Komako przyszła stosunkowo późno.

Stojąc na korytarzu na wprost Shimamury wpatrywała się w niego natarczywie.

— Po coś przyjechał? Po coś ty tu przyjechał?!

---

<sup>12</sup> Eulalia (łac. *Miscanthus sinensis*) — rodzaj traw rosnących zwłaszcza w górskich okolicach, zwanych w Japonii susuki lub *kaya*; osiągają wysokość 2 m., mają Jasnożółty drobny kwiat, występujący w baldachach; *kaya* służy do poszywania dachów. (Przyp. tłum.)

— Przyjechałem spotkać się z tobą.

— Nie mówisz tego szczerze! Nie lubię tokijczyków, bo na każdym kroku kłamią! — Komako usiadła i dodała trochę łagodniejszym tonem: — Już nigdy nie pójde nikogo odprowadzać. Nie da się nawet opisać, jak się wtedy czułam...

— Oo! Więc tym razem odjadą bez uprzedzenia.

— Przestań mi dokuczać! Powiedziałam tylko, że nie pójda na stację.

— A co się stało z tamtym człowiekiem?

— Oczywiście umarł.

— Czy w czasie, gdyś mnie odprowadzała?

— Nawet gdyby tak, to jedno z drugim nie ma nic wspólnego! Zresztą nie protestowałeś, gdy cię odprowadziłam...

— Hm!

— A co się z tobą działo czternastego lutego? Kłamczuch! Dość się naczekałam! Teraz przynajmniej będę wiedziała, że to, co mówisz, nie ma żadnego związku z rzeczywistością...

W dniu czternastym lutego przypada święto odganiania ptactwa. Jest to doroczny rytuał, w którym biorą udział same dzieci, specjalnie związany z tą śnieżną krainą. Już na dziesięć dni wcześniej dzieci z całej wioski udeptują na twardo śnieg słomianymi chodakami, następnie wycinają z tego śniegu kwadratowe płyty o boku około pół metra, a wreszcie układając te płyty jedna na drugiej budują śniegowy pawilon. Jest to buda mająca cztery ściany, każda ponad pięć metrów długości i wysokości ponad trzy metry. Nocą czternastego zbiera się po domach słomiane powróśla zwane *shimenawa*, które podczas uroczystości noworocznych mają magicznie odgrodzić domostwo od wszelkiego zła i brudu, i roznieca się z nich przed pawilonem śniegowym buchające jaskrawymi płomieniami ognisko. Nowy Rok przypada pierwszego lutego i stąd *shimenawa* w tej wiosce wiszą jeszcze przed domami. Z kolei dzieci wdrapują się na dach śniegowego pawilonu i tam spychając i potracając się nawzajem śpiewają pieśń o odganianiu

ptactwa. Potem wchodzi wszystkie do pawilonu, zapalają tam ogień na ofiarę bogom i spędzają przy nim całą noc. Wreszcie o świcie następnego dnia jeszcze raz śpiewają na dachu śnieżnego pawilonu pieśń o odganianiu ptactwa.

Na tę akurat porę wypadają pewno dni najgłębszego śniegu, więc dla niej znaczyło to, że obiecał przyjechać na święto odganiania ptactwa.

— W lutym — kontynuowała Komako — pojechałam do swego rodzinnego domu. Dostałam stąd zwolnienie na krótki wypoczynek. Spodziewałam się, że na pewno



przyjedziesz, i czternastego byłam już z powrotem. A mogłam nadal spokojnie opiekować się chora.

— To ktoś był chory?

— Moja nauczycielka muzyki pojechała na wybrzeże i tam dostała zapalenia płuc. Właśnie gdy byłam u rodziców, przyszedł telegram i musiałam się nią zająć.

— Czy wyzdrowiała?

— Gdzie tam!

— To źle się stało... — Nie wiadomo, czy Shimamura powiedział to przeprasząc za niedotrzymaną obietnicę, czy też żałując zmarłej nauczycielki.

— Och! — Komako nagle z poważną miną potrząsnęła głową w geście zniecierpliwienia i poczęła ścierać chusteczką stół. — Przebrzydłe owady!

Z blatu na matę spadło mnóstwo drobnych skrzydlatych stworzeń. Wiele też małych ciem latało wokół elektrycznej lampy.

Metalową siatkę w oknie, od zewnętrznej strony, również upstrzyłyśmy przeróżnych nieznanymi gatunków, wyraźnie uwydatniające się w jasnym świetle księżyca.

— O, jak mnie boli żołądek! Jak mnie boli żołądek! — Komako z wysiłkiem wsunęła obie ręce za opasujące ją obi i pochyliła głowę na kolana Shimamury.

Na jej kark, widoczny w wykroju kołnierza i pokryty grubą warstwą pudru, spadły niebawem całymi chmarami owady mniejsze od komarów. Niektóre z nich ginęły na jego oczach i pozostawały już tam bez ruchu.

Nasada jej szyi w porównaniu z zeszłym rokiem stała się pełniejsza i podeszła tkanką tłuszczową. Widać było od razu, że miała już ponad dwudziestkę.

Na kolanie poczuł jakąś ciepłą wilgoć.

— W kantorku powiedziano mi: „Koma-chan, proszę iść do pokoju «Pod Kameliami.»” Śmiano się przy tym robiąc domyślne miny. Bardzo tego nie lubię. Byłam dopiero co na stacji, bo odprowadzałam na pociąg jedną z koleżanek, a kiedy wróciłam i zabierałam się już do przyjemnej drzemki, powiedziano mi, że był stąd telefon, żebym przyszła. Miałam nawet w pierwszej chwili chęć odmówić, bo źle się czułam. Wczoraj wieczorem za dużo piłam: było pożegnalne przyjęcie dla tej mojej koleżanki. W kantorku się tak podśmiewano, bo to szło o ciebie... Nie było cię cały rok przecież! Co oni mogą sobie myśleć, jeśli wpadasz tu tylko raz do roku?

— A czy wiesz, że również jadłem gościniec z okazji odjazdu tej twojej towarzyszki?

— Naprawdę? — Komako wyprostowała się. Na jej twarzy odcinały się wyraźnie różowym zabarwieniem te miejsca, którymi dotykała kolana Shimamury, i to dodało jej od

razu młodzieńczego uroku.

Opowiedziała mu teraz, że odprowadziła ową niemłodą już gejszę aż do miasteczka o dwie stacje dalej.

— To jest dla mnie przykre! Dawniej o każdej bez wyjątku sprawie decydowano w domach gejsz wspólnie, nadeszły jednak czasy indywidualizmu i każda gejsza poczyna sobie odtąd na własną rękę. Tutaj też dużo się zmieniło. Coraz więcej przybywa takich, które z natury nie potrafią się dostosować do innych. Teraz, gdy zabraknie już Kikuyu, która była dla mnie jak starsza siostra, czuję się bardziej samotna niż dawniej. Przecież była tu ona duszą wszystkiego. Cieszyła się też największym powodzeniem, tak że co miesiąc w czasie jej wizyt u gości wypalało się nie mniej niż sześćset prętów trociczki, więc zarabiała dużo i w domu patrona również darzono ją niemałym szacunkiem. I co z tego...

— Podobno ta Kikuyu doczekała się wygaśnięcia terminu umowy, a teraz wraca do miejsca, gdzie się urodziła? — Shimamura zainteresował się jeszcze, czy wstąpi ona w związek małżeński, czy też sama z kolei poprowadzi jakiś zakład rozrywkowy.

— To również nieszczęśliwa istota. Gdy tu do nas przyjechała, była już po swym pierwszym i w dodatku nieudanym małżeństwie. — Komako zamilkła na chwilę, jakby nie wiedząc, co ma dalej mówić, i spoglądała w dół na terasy zalanych księżycową poświatą pól. — Chyba wiesz, że tam na zboczu stoi taki świeżo zbudowany dom...

— Ta traktieria pod nazwą „Kikumura”?

— Aha! Otóż Kikuyu miała się już wprowadzić do tego przedsiębiorstwa, gdy nagle coś się jej w sercu odmieniło. Było z tego powodu wiele halli

łasu. Kazała najpierw zakochanemu w sobie mężczyźnie specjalnie dla siebie ten dom budować i w ostatniej sekundzie, gdy już trzeba było się tam przenieść, zrezygnowała ze wszystkiego. Znalazła sobie człowieka, którego pokochała, i miała zamiar wyjść za niego *za mąż*, ale ten ją oszukał. Czy tak się zawsze dzieje, gdy się dla kogoś straci głowę? Kiedy ją opuścił, nie mogła już ani wrócić do zakładu, który się nią dotąd opiekował, ani nie wypadało jej powiedzieć, pierwszemu kochankowi, że jednak dom przyjmuje. Skompromitowana, nie mogła tu dłużej pozostać, i teraz musi gdzieś w innym miejscu chwycić się na nowo zarobkowania. Uważam, że dotknęło ją nieszczęście! Nawet myśmy dobrze nie wiedziały, że utrzymuje ona stosunki z ludźmi tak różnego pokroju.

— Czy masz na myśli mężczyzn? Pewno miała takich z pięciu na wszelki wypadek.

— Kto wie? — Komako zaśmiała się bezgłośnie, ale zaraz odwróciła się do niego bokiem. — Ona też nazbyt wierzyła w uczucia. Była sentymentalna...

— Na to nie ma chyba rady.

— O, tego bym nie powiedziała! Nawet gdybym była w kimś zakochana, to jeszcze nie wszystko. — Pochyliwszy głowę przyczesywała grzebieniem włosy. — Ach, ciężko mi było dzisiaj z nią się żegnać...

— A co się stało z tą ofiarowywaną jej traktiernią?

— Przyjechała ślubna małżonka tego mężczyzny i prowadzi teraz cały interes.

— A to ciekawe! Przyjeżdża żona i przejmuje interes, który miał należeć do przyjaciółki!

— Co było robić? Przecież już wszystko przygotowano do otwarcia. Nie było innego wyjścia. Wiec sprowadziła się tu ta jego żona razem z wszystkimi dziećmi.

— A co się stało z domem, w którym dotąd mieszkali?

— Podobno została tam jakaś starsza kobieta. To jest jakoby chłopska rodzina, ale pan domu lubi się zabawić. To wesoły chłop.

— Figlarz, można powiedzieć. Pewno ma już swoje lata?

— Ależ to młody człowiek! Nie wiem, czy ma więcej niż trzydzieści dwa, trzy lata.

— Oho! Wobec tego jego utrzymanka musiała być starsza od żony?

— Obie miały po dwadzieścia sześć lat.

— W tej nazwie „Kikumura” pierwsza część chyba pochodzi od imienia Kikuyu? Czyżby jego żona to tolerowała?

— Pewno nie opłacało im się zmieniać raz wywieszzonego szyldu.

Shimamura zaczął sobie poprawiać kołnierz kimona, a Komako wstała i zamknęła okno.

— Kikuyu wiedziała o tobie wszystko. Dzisiaj nawet przybiegła mi powiedzieć, że przyjechałeś.

— A, zauważyłem ją w kantorku, gdy przyszła się pożegnać z gospodarzami.

— Czy coś mówiła?

— Ani słowa!

— Rozumiesz teraz, dlaczego czuję się nieswojo? — Komako otworzyła niespodziewanie okno, które dopiero co zamknęła, i usiadła na parapecie w taki sposób, jakby za chwilę miała się rzucić w dół.

— Gwiazdy świecą tu zupełnie inaczej niż w Tokio. Zdają się jakoś płynąć po firmamencie — odezwał się po chwili Shimamura.

— Jest księżycowa noc, to jeszcze nie tak bardzo się to odczuwa. Ta jasna noc przypomina mi, że śnieg w tym roku był u nas straszny.

— Podobno pociągi nie mogły chwilami kursować...

— O tak! Aż niebezpiecznie było jechać. Autem nie można było tu dotrzeć aż do maja, a w normalnym roku jest to możliwe o miesiąc wcześniej. Znasz pewno taki sklep na terenach narciarskich... Otóż na pięterko wleciała tam lawina. Ludzie, którzy siedzieli na dole, nie zorientowali się, co to takiego, a słysząc jakieś dziwne odgłosy myśleli, że to szczury harcują po kuchni. Idą tam, ale nic nie zauważyli. Wchodzą na piętro, a tam nic, tylko sam śnieg. Okiennece, wszystko zostało przez śnieg zniesione. To było jedynie oberwanie się wierzchniej warstwy, ale w radio zrobili z tego wielki reportaż. Przeżeni goście nie przyjadą więcej na narty. A ja w tym roku miałam już nie jeździć i nawet sprzęt oddałam komuś pod koniec zeszłego. Ale jeszcze dwa czy trzy razy poszłam na deski. A teraz powiedz, nie zmieniłam się?

— Co się działo z tobą, jak umarła nauczycielka muzyki?

— Przestań się już zajmować nie swoimi sprawami! W lutym w każdym razie byłam tu i czekałam na ciebie!

— Ale skoro wróciłaś na wybrzeże, czy nie mogłaś wtedy wysłać do mnie listu?

— Jak ty to sobie wyobrazasz? To okropność! Daj spokój! Nie umiem pisać takich listów, które mogłyby być przeglądane przez twoją żonę. To byłoby żałosne. Wolę się czuć skrępowana niż kłamać! — Komako wzburzona mówiła szybko, jakby chłostając go swymi słowami. Shimamura nie reagował na to. — Nie powinienes siedzieć tu w tym roju owadów, najlepiej zgasić lampę.

Blask księżyca był tak silny, że nawet zagłębienia i wypukłości w małżowinach uszu dziewczyny zarysowały się wyraźnym cieniem. Blask przenikał w głąb pokoju i zdawał się nadawać matom zimny niebieski odcień.

Wargi Komako znowu były gładkie jak piękny pierścień pijawki.

— No, czas już wracać...

— Jesteś zawsze taka sama! — Shimamura odwrócił głowę i patrzył z bliska na jej okrągłą twarz o wydatnych rysach, jakby dostrzegł w niej coś śmiesznego.

— Wszyscy mówią, że nie zmieniłam się ani trochę, odkąd tu przybyłam, a miałam wtedy szesnaście lat. Ale życie, niestety, toczy się nieubłaganie naprzód.

Rumieniec dziewczynki z północnych prowincji trzymał się jeszcze mocno jej policzków. Od delikatnego naskórka, godnego pięknej gejszy, odbijało się światło księżyca odblaskiem macicy perłowej.

— Ale, ale... Czy wiesz, że zmieniłam miejsce zamieszkania?

— Czy od czasu jak zmarła twoja nauczycielka? Więc już nie mieszkasz w tamtej izbie dla jedwabników? Czy twój dom teraz to prawdziwy dom gejsz?

— Pytasz się, czy to prawdziwy dom gejsz? Jakby to powiedzieć? W sklepie sprzedaje się słodycze i papierosy. Poza tym jestem tam tylko ja jedna. A ponieważ jestem teraz faktycznie na służ-

bie, zakontraktowana u tych ludzi, to książki czytam wieczorami przy świecy.

Shimamura przygarnął ją do siebie i roześmiał się.

— Nie wolno mi bez potrzeby zużywać elektryczności, bo licznik bije!

— Ach, tak...

— Niezależnie od tego domownicy okazują mi dużo troskliwości; aż zastanawiam się niekiedy, czy jestem w służbie u obcych. Gdy któreś z dzieci płacze, gospodyni bierze je na plecy i wychodzi na zewnątrz, żeby mi to nie przeszkadzało. Niczego mi nie brak, a nie znoszę tam tylko jednego: że posłanie bywa nie wyrównane. Gdy wracam do domu później, oni rozkładają pościel dla mnie i wtedy zwykle jest tak, że materace nie są ułożone równo, to znów prześcieradło jest pozałamywane. Gdy coś takiego zauważę, wpadam we wściekłość. Bo to tak nie wypada dla własnego widzimisię poprawiać samemu pościel. Powinnam być wdzięczna za ich uprzejmość.

— Gdybyś ty miała prowadzić dom, byłoby z tobą nieco kłopotu!

— Wszyscy mi to samo mówią! Taka już widać moja natura! Ale słuchaj, tam jest czworo małych dzieci, więc bałagan niesamowity. Ja łączę całymi dniami i sprzątam. Rozumiem, że i po sprzątnięciu wszystko jakoś niechętnie się porozrzuca, ale zacinam zęby i nie daję za wygraną. Niech to będzie w granicach, na jakie pozwala moja sytuacja, ale w każdym razie chcę żyć w jakimś porządku.

— No, tak...

— Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

— Oczywiście, rozumiem.

— Jeśli rozumiesz, to powiedz o co!? No, po-

wiedz! — Komako poczęła go nagle atakować zrezygnowanym głosem: — Mówże coś! Czyżbyś nie potrafił mówić? Na każdym kroku kłamiesz! Masz na wszystko pieniądze i gwizdziesz na resztę. Nic nie rozumiesz! — Zniżyła znowu głos: — O, jak mi smutno! Ależ idiotka ze mnie! Żebyś mi już jutro odjechał do domu!

— Nie potrafię dać jasnej odpowiedzi, gdy ktoś tak jak ty zarzuca mnie pytaniami.

— Na co nie potrafisz dać odpowiedzi? Nie spodziewałam się tego po tobie! — Komako dobyteła z siebie bezradnie resztki głosu, a następnie przymknęła spokojnie oczy, sprawiając wrażenie, jakby pytała samą siebie, czy Shimamura potrafi jakoś pojąć ją taką, jaką jest naprawdę, i jakby dochodząc do wniosku, że tak, dodała: — Przyjeżdżaj tu, niech już

będzie, jeden raz do roku! Ten jedyny raz w roku przyjeżdżaj koniecznie, dopóki tutaj będę.

Dowiedział się też, że kontrakt ma na cztery lata.

— Gdy jechałam do domu moich rodziców, nawet nie śniło mi się wracać tu kiedykolwiek i zarabiać jako gejsza. Nawet moje narty komuś oddałam, ale jedyna rzecz, która mi się naprawdę udała, to to, że zarzuciłam papierosy. — Patrzcie, patrzcie! A dawniej to rzeczywiście dużo paliłaś!

— Nieprawda? Teraz papierosy, którymi mnie goście częstują w pokojach, zbieram ukradkiem do rękawa kimona i mam ich potem w domu całe stosy. — Ale cztery lata to długo... — Przeleć szybko, zobaczysz.

— Ależ jesteś gorąca... — Shimamura objął Komako, która do niego podeszła.

— Zawsze jestem taka gorąca.

— A ranki i wieczory robią się już zimne.

— Gdy przyjechałam tu przed pięciu laty, początkowo czułam się bardzo nieswojo i nie wyobrażałam sobie, jak można żyć w takiej miejscowości. A czułam się tak opuszczona i samotna, zanim doprowadzono tu kolej, że nie da się tego wyrazić! Na szczęście od trzech lat ty zacząłeś tu bywać.

W ciągu tych niespełna trzech lat przyjechałem tu trzy razy, a za każdym razem zastawałem Komako w odmiennych okolicznościach życia — przebiegło przez myśl Shimamura.

W tym momencie rozbrzmiały donośnym chórem głosy wielu na raz świerszczy.

— Nie lubię tego — Komako podniosła się z jego kolan.

Przy pierwszym podmuchu zimnego wiatru z północy ćmy z siatki rozpiętej na oknie sfrunęły wszystkie jak na komendę.

Shimamura wiedział dobrze, że choć z pozoru jej czarne oczy zdają się być nieco rozwarte, to przecież ma ona gęste rzęsy zsunięte jak najszczelniej — mimo to usiłował i teraz przyjrzeć im się z bliska.

— Przytyłam, odkąd przestałam palić. Tkanka tłuszczowa na jej brzuchu zaznaczała się wyraźniej.

Choć dawno się już nie widzieli i choć nie mógł przeczuć tego, gdy był z dala od niej, teraz, gdy miał ją tak blisko, dostrzegał wyraźnie, jak szybko powraca jej cały serdeczny do niego stosunek.

Komako przesunęła lekko dłonią po piersiach.

— Jedna jest teraz większa od drugiej...

— Głupstwo! to taki męski zwyczaj: tylko z jednej strony...

— Ach, ty! Wstrętny! Żeby tak zaraz zmyślać! Paskudny człowiek z ciebie! — Komako w jednej chwili się zmieniła. Już kiedyś była taka rozsierzdzona — przypomniał sobie Shimamura.

— Mów odtąd, żeby obie jednakowo...

— Obie jednakowo? Radzisz, żeby obie jednakowo? — Komako przysunęła miękko twarz do jego twarzy...

Pokój jego był na piętrze, ale koło domu kręciły się rechocząc ropuchy; zdawało się, że łążą dwie, a może nawet trzy. Rechotały przez długi czas...

Gdy wrócili z hotelowych łazienek, Komako znowu spokojnym, opanowanym głosem zaczęła opowiadać o sobie.

W czasie pierwszego badania lekarskiego, jakie się tu odbyło, bodaj że była wtedy jeszcze *hangyoku*, obnażyła się jedynie do połowy i została z tego powodu wyśmiana, tak że skończyło się wreszcie na płaczu. Wchodziła w takie szczegóły, że i Shimamura począł zadawać jej raczej niedyskretne pytania, na które odpowiadała bez żenady.

Codziennie bierze kąpiel w źródłach specjalnie znanych z tego, że można w nich doskonale się rozgrzać, poza tym odbywa spacer, miłą albo i więcej, wzywana na przyjęcia do starych lub nowych źródeł, rozrzuconych po przeciwnych krańcach miejscowości, a że tu w górach goście rzadko zabawiają się do późna w noc, więc jest zdrowa i dobrze fizycznie rozwinięta, choć — jak to zwykle u gejsz — raczej nie ma wydatnych bioder. Sylwetka jej widziana od przodu była wąska, a tylko oglądana z boku ujawniała pewne kragłości kształtów. Że ta kobieta zdawała się nawet z daleka przyciągać go do siebie — było w tym dla Shimamury coś niepokojącego.

— Taka jak ja pewno nie może mieć dzieci... — Komako zastanawiała się nad tym całkiem na serio. Wyraziła też pogląd, że jeśli się utrzymuje ciągły kontakt z jakimś mężczyzną, to jest to chyba tak samo, jakby się było z nim w związku małżeńskim.

Shimamura dowiedział się po raz pierwszy dopiero, że Komako ma takiego mężczyznę. Powiedziała, że ciągnie się to już od pięciu lat. Shimamura już przedtem ją trochę podejrzewał, bo tym tłumaczył sobie fakt, że Komako tak lekkomyślnie i nieogłędnie się zachowuje.

— Może dlatego — ciągnęła dalej — że ta historia zaczęła się w chwili, gdy wróciłam na wybrzeże, a było to zaraz po śmierci człowieka, który zapłacił za mnie dług i zabrał z zakładu, gdzie przebywałam jako *hangyoku*... — Dość że Komako od owego czasu po dziś dzień nie lubi tego człowieka i zawsze czuje się przy nim skępowana.

— Jeśli to już trwa pięć lat, to pewno jakiś nieprzeciętny gość!

— Były już ze dwie okazje, żeby się od niego oderwać, zniknąć mu z oczu. Pierwsza — to moment, gdy jechałam tutaj jako gejsza, druga — gdy przenosiłam się z domu nauczycielki muzyki do domu, w którym obecnie mieszkam. Ale ja mam za słabą wolę. Naprawdę nie mam zupełnie silnej woli.

Dodała jeszcze, że ten człowiek pozostał na wybrzeżu. I że nie dogadzało mu, żeby ona przebywała w tym samym miasteczku portowym, gdzie on, toteż gdy tylko nauczycielka przeniosła się do tej miejscowości, bez namysłu oddał ją pod jej opiekę. I że jest jej przykro, ale nie poczuła w sobie nigdy jeszcze chęci, żeby mu się bez reszty oddać, choć jest dla niej nawet dobry. I że z rzadka tylko ją odwiedza, bo nie jest już taki młody... — Czasami myślę sobie nawet, że gdybym z nim w jakiś sposób zerwała, to zaczęłabym się bardziej niemoralnie prowadzić. Naprawdę tak mi się wydaje!

— To już byłoby najgorsze ze wszystkiego.

— Ale ja nawet nie potrafię źle się prowadzić. To nie leży zupełnie w mojej naturze! Lubię swoje ciało, które tętni życiem. Nie chcę nawet myśleć o tym, że miałabym się zacząć szargać. Wiem, że mogłabym w ten sposób sporo zarobić od gości i spłacając część długu skrócić okres mojej służby tutaj z czterech do dwóch lat, ale nie będę się do tego zmuszać, bo za bardzo cenię swoje ciało. Gdybym wbrew sobie samej mogła tak postępować, z pewnością dużo trociczek by się wypaliło... Nie chciałabym za nic, żeby mój obecny patron poniósł jakiegokolwiek straty z mego powodu w okresie objętym kontraktem. Wiem dobrze, ile wynosi miesięczna spłata pożyczonej kwoty, ile wynoszą odsetki, ile podatek, a przy tym doliczam też do rachunku koszty mego utrzymania. Ale nie mam żadnego powodu zbytnio się wysilać, żeby zarabiać więcej, niż wynika z mego obliczenia. Jeśli na jakimś bankiecie mam za dużo kramu z gośćmi, czego bardzo nie lubię, wymykam się po prostu stamtąd i wracam do siebie. Nawet tu do zajazdu nie wzywają mnie, jeśli jest już późno, chyba że idzie o dobrze znanego mi gościa, który pyta specjalnie o mnie. Nic by mi nawet nie przeszkadzało żyć bardziej rozrzutnie, niż to teraz robię, ale zarabiam tylko tyle, na ile pozwala mi moje usposobienie, i to mi też wystarcza. Już nawet zwróciłam ponad połowę długu. A przecież nie ma jeszcze roku, jak zostałam zgodzona. I trzeba dodać, że jakby nie było, co miesiąc na drobne wydatki też mi wychodzi ze trzydzieści jenów...

Oświadczyła, że wystarczy, jeśli zarobi sto jenów na miesiąc. Dodała też, że w ubiegłym miesiącu, w którym jest najmniejsza frekwencja gości na przestrzeni całego roku, uzyskała sześćdziesiąt jenów za czas wypalonych ogółem trzystu pretów trociczki. Była też dziewięćdziesiąt kilka razy wzywana na przyjęcia — częściej niż którakolwiek inna z jej towarzyszek po profesji; z każdego przyjęcia pewna stała część zarobku, przypadająca na czas



spalania się jednego pręta trociczki, należy się gejszy, a więc ona, Komako, stara się uczestniczyć w jak największej ilości przyjęć, choć to jest ze stratą dla patrona. Wreszcie dowiedział się też, że tu, u gorących źródeł, nie ma ani jednej gejszy, która by musiała przedłużyć swój kontrakt ze względu na powiększenie się zadłużenia w okresie pełnienia powinności, do których jest kontraktem zobowiązana.

Rankiem następnego dnia Komako zbudziła go, choć było jeszcze bardzo wcześnie.

— Śniło mi się, że sprzątałam ten pokój razem z moją nauczycielką od kompozycji kwiatowych, i nagle się przebudziłam...

W lustrze wmontowanym w toaletkę, ustawioną w pobliżu okna, odbijały się zbocza gór, płonące czerwienią jesiennych liści. Pośrodku lustrzanej tafli jaśniało też promienną aureolą jesiennie słońce.

Stroje na zmianę dla Komako przyniosła córka sprzedawcy słodczy.

— Koma-chan! — zawołała, ale nie był to głos Yóko, czysty i aż przejmujący rzewnością, który usłyszał ongiś z za drzwi prowadzących w głąb ich domu.

— Co się stało z tamtą dziewczyną? — zapytał Shimamura.

Komako spojrzała nań przelotnie.

— A, przesiaduje całymi dniami na cmentarzu. O, tam daleko, na skraju terenu dla narciarzy. Bodaj że jest tam pole obsiane gryką, bo kwitnie tak białe. A z lewej strony tego pola jest cmentarz. Nie widzisz go?

Komako poszła potem do siebie, a Shimamura wyszedł na spacer po osadzie.

Dziewczynka w nowiutkich flanelowych szarawarach barwy cynobru bawiąca się gumową piłką pod białą ścianą domostwa ocienioną okapem dachu — to była prawdziwie jesienna scenka.

W osadzie wiele domów miało staroświecką budowę i — kto wie — czy nie pamiętały jeszcze czasów, gdy przejeżdżały tędy orszaki feudalnych książąt. Podcienia miały głębokie. Przesłony świetlików na drugiej kondygnacji można było rozsuwać na szynach; prześwity mogły tu mieć zaledwie stopę wysokości, ale były za to szerokie. Spod okapów zwisały zasłonki plecione z włókien *kayi*.

Na ziemnym nasypie okalającym jedno z domostw rósł żywopłot z drobnej odmiany eulalii, okrytej o tej porze kwiatem bladożółtej barwy. Jego smukłe liście tworzyły gęste kępy, z których każda rozchwiewała się pięknie w kształcie fontanny.

Opodal drogi klęczała w słońcu na słomianej pleciance Yóko, młóćąc czerwoną fasolę.

Z kłębowiska wysuszonych grochowin wyskakiwały wyłuskane ziarna niby drobne

odpryski światła.

Na głowie miała nasuniętą głęboko chustę, więc — być może — nie widziała Shimamury. Ubrana w szarawary, z rozstawionymi szeroko kolanami, tłukła fasolę śpiewając swym smutnym, przezczystym głosem, który wydawał się odbiciem jakiegoś echa:

Ćma motyli, świerszczy, szklarzy Obsiadła w krąg skały, głazy... Chrząszczyki, piewiki, pasikoniki...

Kruk, który się wyłonił z gęstwy cedrowych drzew na fali wieczornego wiatru, zadziwia swym ogromem — mówi pieśń... Z okna w swoim pokoju Shimamura dzisiaj też obserwował, jak nad polem u stóp cedrowego gaju płynie w powietrzu rój ważek. Miało się wrażenie, jakby w miarę zbliżania się wieczornej pory ich napowietrzne płasy nabierały coraz większej szybkości, stawały się coraz bardziej niespokojne.

Shimamura tuż przed wyjazdem z Tokio zobaczył w kiosku dworcowym nowe wydanie przewodnika po tutejszej okolicy i kupił je sobie. Przeglądając pobieżnie ten przewodnik, zdołał już dowiedzieć się z niego, że wokół jednego ze szczytów w łańcuchu pogranicznych gór, roztaczających się panoramą za oknem jego pokoju, wije się cienką nitką między malowniczymi jeziorami i moczarami górską ścieżka. Na tych podmokłych obszarach można spotkać najprzeróżniejsze, okryte obficie kwieciami, wysokogórskie rośliny, a panuje tu taki spokój, że czerwone ważki igrające niewinnie w powietrzu siadają turystom na czapkach, rękach, a nawet na oprawie okularów, w czym tak różnią się od wystraszonych ważek w osiedlach ludzkich, jak różne są od siebie obłok i kałuża.

Ale ów rój ważek, który miał przed oczyma, wyglądał, jakby był czymś podekscytowany. Jakby z desperacją walczył o to, żeby jego widzialnego konturu nie zaćmiła barwa cedrowego gaju, który szerniał, nim jeszcze zaszło słońce.

Góry w oddali napawały się ostatnimi promieniami zachodu i dopiero teraz widać było wyraźnie, że przystrojone już są aż po same szczyty jesienną czerwienią listowia.

Shimamura przypomniał sobie, co mu dziś rano powiedziała Komako: „Człowiek to w ogóle krucha istota. Podobno tamten rozmiądzzył się z kretelem, głowa i kości, wszystko pogruchothane. Mówią, że na przykład niedźwiedź może spaść z jeszcze wyższego urwiska i nawet się nie zrani.” Powiedziała to pokazując mu pasmo, gdzie na jakimś skalnym bezdrożu rozegrała się nowa z kolei tragedia.

Jasne, że gdyby człowiek miał na skórze grube, zbite futro tak jak niedźwiedź, to jego wrażliwość cielesna też byłaby zupełnie inna. Jest pewne, że ludzie kochają nawzajem właśnie swe delikatne, gładkie naskórki. Shimamura, który doszedł do tego wniosku spoglądając na góry stojące w blaskach wieczornego słońca, - poddał się uczuciom ogarnęła

go tęsknota za ludzkim naskórkiem.

Gdy siedział przy wczesnej kolacji, doszły do jego uszu słowa piosenki śpiewanej przez jakąś gejszę przy nieudolnym akompaniamencie *samisenu*: „Ćma motyli, świerszczy, szklarzy...”

W przewodniku po górach informowano po trochu i o szlakach turystycznych, i o połączeniach komunikacyjnych, o schroniskach, opłatach i tym podobnych sprawach, co w rezultacie zostawiało Shimamurze spory margines dla swobodnej gry wyobraźni. Poza tym pierwsze zapoznanie się z Komako też nastąpiło w czasie, gdy podczas wędrowki po pączkujących spod resztek skorupy śniegu świeżą zielenią górach zaszedł do tej osady pyszniącej się swymi gorącymi źródłami, tak że wiele tu pozostało śladów jego własnych stóp i gdy teraz spoglądał na szczyty, czuł, jak go przyciągają, tym bardziej że jesienny sezon turystyczny był już w pełni. Sybaryta z gatunku Shimamury uważał forsowanie się bez żadnej potrzeby łażeniem po górach za znakomity przykład bezcelowego wysiłku, sztuki uprawianej dla sztuki, i stąd znowu począł ten nagły pociąg do gór odczuwać jak przejaw nieoczekiwanego cudu.

Przebywając z dala od Komako Shimamura stale o niej myślał, może dlatego, że gdy znalazł się blisko niej, jakoś się uspokajał, a może dlatego, że obecnie nawet ciało tej dziewczyny znał aż nazbyt gruntownie, dość, że zarówno swą tęsknotę za ludzkim naskórkiem, jak i pociąg do gór odczuwał jednakowo, jak gdyby przeżywane we śnie. A może brało się to stąd, że Komako po ostatniej spędzonej z nim nocy więcej się dziś nie pokazała? Siedząc tak jednak samotnie pośród ciszy, poddał się przecuciu, że nawet nie wzywana, Komako chyba przyjdzie. Tymczasem do uszu jego poczęły dochodzić młode, hałaśliwe głosy uczennic, uczestniczek nocującego tu dziś wędrownego obozu, a jednocześnie zachciało mu się spać i niezadługo zmorzył go sen.

Zdawało mu się jeszcze, że słyszy odgłosy przelotnej nocnej ulewy...

Gdy następnego ranka rozwarł powieki, Komako siedziała całkowicie ubrana przy stoliku i czytała książkę. Miała na sobie narzucone na ramiona *haori*<sup>13</sup>, a pod nim kimono ze zwykłego jedwabiu, jakie nosiła na co dzień.

— Czy już się obudziłeś na dobre? — spytała spokojnie, patrząc w jego stronę.

— Co się z tobą dzieje?

— Pytam: czy się już obudziłeś na dobre? Shimamura niepewny nawet tego, czy czasami nie spała z nim razem, mimo że o tym nie wiedział, przyjrzał się najpierw uważnie

---

<sup>13</sup> Haori — krótka, nakładana na kimono narzutka z rękawami. związowana na tasiemki na wysokości piersi. (Przyp. tłum.)

swemu posłaniu, a następnie wziął do ręki zegarek, który leżał w pobliżu poduszki: było dopiero wpół do siódmej.

— Ale wcześniej dziś przyszłaś!

— To ma być wcześniej? Już posługaczka była tu podłożyć na ogień!

Ze stojącego na piecyku czajnika z wodą unosiła się para niczym poranna mgła.

— Proszę już wstać! — Komako podniosła się, podeszła do jego posłania i przyklekła od strony poduszki. Bardzo przypominało to zachowanie się kobiet z rodzinnego kręgu. Shimamura przeciągnął się, a potem ujął dziewczynę za rękę, którą oparła na kolanie, bawiąc się jej małym palcem stwardniałym od częstego trzymania plektronu.

— Jeszcze jestem śpiący. Przecież dopiero zaczęło świtać!

— I tak dobrze ci spać samemu?

— Przestań!

— Dlaczego nie nosisz wąsów?

— Dobrze już, dobrze! Mówiłaś mi to już, jak stąd odjeżdżałem: zapuść wąsy!

— I jakoś o tym zapomniałeś. A niech i tak będzie! Zawsze jesteś po ogoleniu taki gładki, a zarazem siny.

— A ty, zawsze jak zetrzesz z twarzy puder, wyglądasz, jakbyś dopiero co skrobała się brzytwą.

— Czy mi się tylko zdaje, że policzki ci pogrubiały? Masz taką bladą cerę, a przez to, że nie nosisz wąsów, wyglądasz w czasie snu dziwnie. Jesteś taki jakiś okrągły...

— Mogłabyś być trochę grzeczniejsza!

— Obludnik!

— Wypraszam sobie! Pewno gapiałaś się tu na mnie cały czas!

— Owszem! — Komako wyraźnie rozśmieszona skinęła głową, a z uśmiešku tego rozbłysła nagle ognistym płomieniem kaskada śmiechu. Odruchowo zacisnęła mocniej rękę na jego palcach.

— Ukryłam się tu, w ściennym schowku. Posługaczka w ogóle mnie nie zauważyła...

— O czym ty mówisz? Kiedyś się ukryła?

— Przecież nie teraz! Jak posługaczka przyszła podłożyć na ogień! — Przez chwilę zdawało się, że długo jeszcze będzie się śmiać na to wspomnienie, ale nagle zaczerwieniła się po uszy i jakby dla ukrycia tego, zaczęła się wachlować rąbkiem kołdry, którą był przykryty — No, wstawaj! Wstań, proszę!

— Zimno mi przecież! — Shimamura opatulił się szczelniej kołdrą. — Czy w zajeździe tutaj już wszyscy na nogach?

— Doprawdy, nie wiem. Weszłam tu od tyłu.

— Od tyłu?

— Wdrapałam się od strony cedrowego gaju.

— To jest tam jakaś ścieżka?

— Ścieżki nie ma, ale za to blisko. Shimamura patrzył na Komako z podziwem.

— Nikt nie wie, że tu przyszłam. Słyszałam jakieś odgłosy z kuchni, ale frontowe wejście jest chyba jeszcze zamknięte.

— Toś ty znowu jakoś wcześniej wstała.

— Nie mogłam w ogóle zasnąć.

— A czy wiesz, że w nocy była ulewa?

— Naprawdę? Ach, to dlatego całe karłowate podszycie w gaju było takie wilgotne! No, na mnie już czas! Możesz jeszcze sobie pospać! Życzę przyjemnych marzeń!

— Już wstaję! — Shimamura, nie wypuszczając z dłoni ręki dziewczyny, energicznie zerwał się z pościeli. Podeszedł od razu do okna i spojrzał w dół na zbocze, po którym dziewczyna się tu wspięła. Wielogatunkowa gęstwa niskich krzewów ciągnęła się rozległe dziką płataniną. Zalegała ona połąć wzgórza przylegającą do cedrowego gaju. Tuż przy oknie rosły na zagonach rzodkiew, bataty, cebula, kolokazje i inne pospolite warzywa, skąpane teraz w porannym słońcu, każdy zaś ich rodzaj o tak odmiennym ubarwieniu liścia, że mimo woli budziło się w duchu pytanie: czyżbym ich jeszcze tutaj ani razu nie widział?

Z korytarza prowadzącego do łazienek portier rzucał pokarm karpiovi w sadzawce.

— Wyraźnie się oziębilo i jedzenie mu jakoś nie idzie — poinformował Shimamurę, który przez chwilę przyglądał się pływającym po wodzie okruchom wysuszonych poczwerek jedwabników.

Gdy Shimamura wrócił po kąpieli do pokoju, Komako siedziała już beczynnje.

— Przyjemnie by było posiedzieć w takim zacisznym miejscu przy jakimś szyciu — odezwała się do wchodzącego.

W pokoju przez ten czas posprzątano, a na wy-brzuszałe nieco od starości maty podłogowe padały jesienne smugi porannych promieni słońca.

— To ty potrafisz szyć?

— Co ty sobie wyobrażasz?! Z całego rodzeństwa najwięcej się nad tym męczyłam. Jak sobie dziś przypominam, to w czasie, gdy ja dorastałam, w domu była, zdaje się, akurat największa bieda... — Zdawała się to mówić do siebie, ale nagle głos jej się ożywił. — Wiesz, przyszła tu posługaczka, zrobiła głupią minę i pyta: „A kiedy tu Koma-chan przyszła?” Czulałam się nieswojo, ale nie mogę przecież często ukrywać się w schowku w

ścianie. Trzeba będzie wracać do siebie. Mam dużo roboty. Nie mogłam dziś w nocy usnąć, więc postanowiłam umyć włosy. Muszę myć je wcześniej rano, bo potem czekam, aż mi wyschną, i idę do fryzjera, i już nie mogę zdążyć na popołudniowe wizyty. Dzisiaj jest tutaj też przyjęcie, ale zawiadomili mnie o tym zbyt późno. Miałam już wtedy przyjęte zamówienie z innego miejsca i dlatego nie mogę przyjść. Dziś jest sobota, więc jestem bardzo zajęta. Nie będę mogła być z tobą.

Komako rozważała wszystko głośno, choć nic nie wskazywało na to, by miała zamiar podnieść się i wyjść.

Ostatecznie postanowiła dać spokój z myciem włosów i namówiła Shimamurę do wyjścia z nią razem do ogrodu położonego na tyłach zajazdu. Widocznie tamtędy się o świcie przekradała, bo pod podłogą ganku łączącego budynek główny z oficyną były ukryte *geta* i białe skarpety, przemoczone podczas porannej przeprawy.

Karłowate krzaki *sasa*, przez które podobno Komako się tu na górę przedzierała, wydawały się nie do przebycia, toteż skierowali się miedzą biegnącą wzdłuż zagonów, w dół, w stronę, skąd dochodził szum wody. Potok płynął w głębokim parowie. Ponad ich głowami z korony kasztanowca rozbrzmiewały dziecięce głosy. W trawie pod stopami leżało mnóstwo opadłych kolczastych owoców. Komako przydepnęła jeden trepem i wyłuskała mały kasztanek. Wszystkie kasztany tutaj były z gatunku drobnych.

Przeciwnie strona parowu stanowiła bardzo strome zbocze, na którym kołysały się, gdzie tylko spojrzeć, rozkwitłe olśniewająco srebrzystym kolorem baldachy *kayi*. Nie, to nie olśniewający kolor, to była jakaś przezrocza zwiewność, chybo-cząca się na tle jesiennego nieba.

— Chodźmy może na tamtą stronę, tam widać grób twego narzeczonego.

Komako wyprostowała się, wspięła na palce i stojąc na wprost Shimamury cisnęła mu niespodziewanie garść kasztanów w twarz.

— Kpisz sobie ze mnie! — krzyknęła. Shimamura nie zdążył się usunąć. Otluczone czoło zabolalo.

— Skądże ta chęć do oglądania grobu?

— Czemu się tak znowu zaperzyłaś?

— Ja brałam to, co było między nami, całkiem na serio, ale takiemu jak ty człowiekowi, który żyje z przeświadczeniem, że może mieć wszystko, czego zapragnie, nie wydaje się poważne.

— A kto znowu żyje z przeświadczeniem, że może mieć wszystko, czego zapragnie?

— wymamrotał niepewnie Shimamura.

— W takim razie dlaczego nazywasz go moim narzeczonym? Czy nie mówiłam ci już nieraz dawniej, że to nie był mój narzeczoney? Pewno o tym zapomniałeś!

Shimamura bynajmniej nie zapomniał. Pamiętał, jak Komako mówiła mu: „Ta moja nauczycielka muzyki, rozumiesz, zamyślała może nawet kiedyś o tym, żeby jej syn związał się ze mną, ale tylko myślała i nic więcej; nigdy ani słowa na ten temat nie powiedziała. Prawda, że zarówno jej syn, jak i ja domyślaliśmy się tego... Ale między nami dwojgiem nic specjalnego nie było... Potem żyliśmy z dala jedno od drugiego. Gdy wyjeżdżałam oddana w kontrakt do Tokio, tylko on jeden odprowadził mnie na stację.”

Pamiętał też, że choć mężczyzna ten był podobno śmiertelnie chory, Komako jednak została na noc u Shimamury i niemal ofiarowując mu samą siebie powiedziała: „Na jakiej zasadzie mógłby mi ten stojący nad grobem człowiek przeszkadzać w robieniu tego, na co mam ochotę?”

Ale i tego mało: przecież gdy Yoko przybiegła na stację, gdzie Komako właśnie odprowadzała Shimamurę, żeby przekazać osobiście wiadomość, że stan chorego się pogorszył, Komako mimo wszystko zdecydowała się nie wrócić do domu, tak że prawdopodobnie nie zdążyła na moment śmierci. Te wszystkie fakty sprawiały, że ów nieszczęsny Yukio tym bardziej miał w myślach Shimamury zarezerwowane dla siebie stałe miejsce.

Komako starała się niezmiennie unikać rozmów o Yukio. Choć nie była nigdy jego narzeczoną, nie ma wątpliwości, że „brała to wszystko, co było między nimi, całkiem na serio” i — jak mówią — żeby zarobić na jego leczenie i utrzymanie, została tutaj gejszą.

Nic nie wskazywało na to, że Shimamura gniewa się za obicie go kasztanami, i Komako przez chwilę zdawała się wahać, jak ma teraz postąpić, ale w końcu przewyciężyła się i przytuliła do niego.

— Ale ty nie jesteś zły człowiek, to pewne... Coś ci jednak musi dolegać.

— A bo te dzieciaki z drzewa na nas się gapią...

— Nie pojmuję cię! W ogóle tokijczycy są dla mnie jacyś skomplikowani. Żyją ciągle w takim rozgardiaszu i hałasie, że uwaga ich łatwo się rozprasza.

— Masz rację, byle co mnie rozprasza.

— Nawet w bardzo istotnych momentach się rozpraszasz, jak przed chwilą zaobserwowałam. No jak, idziemy zobaczyć grób?

— Jak chcesz!

— No, widzisz! Przecież wcale ci się nie chce iść na ten grób!

— Stale tylko znajdujesz preteksty, żeby do tego nie doszło.

— Ani razu jeszcze tam nie byłam, dlatego wymyślam preteksty. Żebyś wiedział, ani razu! Teraz, gdy obok niego pochowana jest też moja nauczycielka muzyki, wydaje mi się to uchybianiem jej pamięci, ale mimo to nie mogę się jakoś zdecydować, żeby iść na jej grób. Takie rzeczy robi się głównie na pokaz.

— Słowo daję, że ty jesteś bardziej skomplikowana niż ja!

— Dlaczego? Skoro wobec żywych nie można zachowywać się otwarcie, tak jakby się nieraz miało ochotę, to przynajmniej wobec zmarłych należałoby sobie pozwolić na otwartość.

Poprzez cedrowy gaj, gdzie cisza i spokój zdawały się kapać zimnymi kroplami z gałęzi drzew, poszli wzdłuż torów skrajem terenów narciarskich w stronę położonego opodal cmentarzyka. W klinie utworzonym przez wystające nieco nad tafle wody brzegi poletek ryżowych stało z dziesięć postarzałych nagrobków i statua Jizó, miłosiernego *bodhisattvy*<sup>14</sup>. Nędzne pustkowie pozbawione nawet kwiatów.

Ale z cienia niewielkiego drzewka za statuą Jizó wynurzyła się nieoczekiwanie kibić Yóko, która przez krótką chwilę starając się zachować na twarzy zwykłą maskę powagi, popatrzyła na nich wnikliwie płonącymi oczami. Gdy Shimamura złożył jej lekki ukłon, zatrzymała się, nie przestając poważnie się przyglądać

— Wcześniej tu dziś przyszedł, Yóko! Ja miałam iść do fryzjera, to znaczy... — odezwała się pierwsza Komako. Yóko i Shimamura skurczyli się w sobie nagle, jakby szarpnął nimi gwałtownie jakiś mroczny huragan, mogący zwalić człowieka z nóg.

Po bliskim torze przejeżdżał z łoskotem pociąg towarowy.

— Yóko! — nadpłynęło poprzez ogłuszający hałas przeciągłe wołanie. W drzwiach czarnego wagonu jakiś młodzieniec wymachiwał czapką.

— Saichiró! Saichiró! — odkrzyknęła Yóko. Był to ten sam głos, jakim przywoływała zawiadowcę stacji stojącego w śniegu pod semaforem; głos smutny i piękny, zdający się przywoływać kogoś płynącego w oddali łodzią, kto nawet nie jest w stanie tego wołania usłyszeć.

Pociąg wreszcie przejechał, a po drugiej stronie toru mogli teraz zobaczyć — jakby

---

<sup>14</sup> Bodhisattva (sanskryt.) Jap.: bosatsu — stopień w hierarchii panteonu buddyjskiego; oznacza świętego kandydata na Budę, który zrezygnował z najwyższego etapu reinkarnacji (Jakim Jest osiągnięcie nirwany), aby ułatwić innym istotom drogę poznania prawdy o Istocie bytu. Jizo pomaga zmarłym wydostać się z mąk w zaświatach, szczególnie zmarłym dzieciom; poza tym pomagać ma też dzieciom żywym, kobietom ciężarnym, a także podróżnikom. (Przyp. tłum.)



dopiero w tej chwili zdjęto im z oczu zasłonę — świeżo rozkwitłą grykę. Niezliczone białe kwiatuszki na czerwonych łodyżkach tchnęły prawdziwym spokojem.

Oboje byli początkowo tak zaskoczeni nieoczekiwanym spotkaniem z Yóko, że nawet nie zauważyli zbliżania się pociągu, pierwszy szok jednak minął już bez śladu, rozwiany przez łomot towarowych lor.

Ale wrażenie, że pogłos wołania Yóko utrzymuje się nadal w powietrzu, zachowało się dłużej niż hałas kół oddalających się wagonów. Zdawało się, że to powraca skądś echo krystalicznie czystej miłości. Yóko odprowadziła pociąg wzrokiem.

— To jechał mój młodszy brat. Ciekawa jestem, czy bym się z nim zobaczyła, gdybym pobiegła na stację...

— Skądże! Przecież pociąg na stacji dla nikogo nie zatrzyma się ani chwili dłużej niż zawsze — roześmiała się Komako.

— Ano tak!

— Słuchaj! Ja nie przyszłam na grób Yukio. Yóko skinęła głową. Przez chwilę zdawało się,

że nie jest pewna, co ma zrobić, ale wreszcie przyklękła i złożyła ręce.

Komako natomiast nadal stała.

Shimamura odwrócił oczy i patrzył na statwę Jizó. Figura miała trzy podłużne twarze, a na poziomie piersi, poza parą złożonych jak do modlitwy ramion, po lewej i prawej stronie po dwie dodatkowe ręce.

— Muszę się dziś zająć swoimi włosami — oznajmiła Komako zadumanej Yóko i ruszyła pierwsza miedzami w stronę wsi.

U skraju ścieżki, którą przechodzili, wieśniacy budowali tak zwane w tutejszej gwarze *hatte*. Pomiędzy pniami drzew rosnących wzdłuż ścieżek przywiązywano wieloma rzędami bambusowe i drewniane tyki, tak że tworzyły jakby drabiny, na których wieszano dla wysuszenia wiązki ryżu. Wyglądały one potem jak ustawione między drzewami szeregi wysokich parawanów z ryżowej słomy.

Obracając się lekko w biodrach, ubrana w góralskie szarawary dziewczyna podrzucała do góry wiązkę ryżu, a usadowiony wysoko na drabiniastym rusztowaniu mężczyzna zręcznie ją chwycił, szarpnięciem zaciśniętych na słomie dłoni dzielił na dwie równe części, nie rozrywając jednak powróśla u podstawy snopka, a następnie nasadzał go rozszczepieniem na żerdź, tak aby zwisał kłosem w dół. Świetnie wdrożone, zautomatyzowane ruchy powtarzały się raz po raz w niezakłóconym rytmie.

Komako ujęła w dłoń pęk kłosów zwisających z żerdki i podnosząc je ku górze lekko

kołyszącym ruchem, zdawała się ważyć niby jakąś drogocenną rzecz.

— Piękny urodzaj! Nawet w dotyku czuje się dobry ryż. Zupełnie inny był w zeszłym roku. — Jakby rozkoszując się dotykaniem ryżu, przymknęła oczy. Nisko w powietrzu nad ich głowami przeleciało bezładne stado wróbli.

Na ścianie jednego z domów przy drodze zachował się stary afisz: „Ugoda w sprawie opłacania robotników najmowanych do sadzenia ryżu. Opłata za jeden dzień — 90 senów plus wyżywienie. Robotnice — 0,6 powyższego.”

Koło domu Yóko również stały *hatte*. Jedne pobudowano w głębi pola położonego nieco niżej niż nawierzchnia drogi, inne, wyższe, stały między pniami drzew hebanowych rosnących szeregiem wzdłuż białej ściany sąsiedniego domostwa po lewej stronie ogródka. Tak samo na granicy między polem a ogródkiem, dokładnie pod kątem prostym do obwieszonych wiązkami ryżu alejki hebanów, widać było *hatte*, a z jednego końca pozostawiono przejście, by można się było pod ryżem przedostać na drugą stronę. Przypominało to zupełnie jakiś zbudowany naprędce szałas, kryty słomą ryżową, a nie matami, jak to najczęściej bywa. Na polu panowały ogromne liście kolokazji, a poza nimi sterczały przywiedle już georginie i róże. Lotosowa sadzawka ze złotymi karpiami była spoza *hatte* niewidoczna.

Nie było też stąd widać okna owej izby po hodowli jedwabników, gdzie w zeszłym jeszcze roku mieszkała Komako.

Yóko, najprawdopodobniej zagniewana, ze spuszczoną głową, poszła w kierunku domu przez przejście w ryżowym parawanie.

— Czy ona sama mieszka w tym domu? — rzucił Shimamura odprowadzając wzrokiem odwróconą i z lekka pochyloną do przodu postać dziewczyny.

— Nie mam pojęcia — cierpko odparła Komako. — Ach, jaka jestem zła! Już mi się odechciało iść do fryzjera. Żądasz niepotrzebnych rzeczy i wywołałeś tym takie zamieszanie, że ta dziewczyna odeszła od grobu, który codziennie odwiedza.

— Nie mogłem przecież wiedzieć, że ją tam spotkamy. Znowu zaczynasz zrzędzić!

— Widać, że nie rozumiesz tego, co ja czuję! Jeśli znajdę potem trochę czasu, będę jeszcze u ciebie, żeby umyć sobie włosy. Nawet gdyby było późno, pamiętaj, że na pewno przyjdę.

Była już godzina trzecia po północy.

Shimamurę obudził odgłos taki, jakby ktoś otwierał przesuwane odrzwia usiłując je pchnięciem wyważyć z szyn, a prawie jednocześnie na piersi jego upadła bezwładnie i ciężko

Komako.

— Powiedziałam, że przyjdę, i przyszłam! Prawda, że powiedziałam, „przyjdę”, i przyszłam? — Nawet jej brzuch kurczył się rytmicznie od gwałtownego oddechu.

— Okropnie jesteś pijana!

— Sam powiedz: powiedziałam, że przyjdę, i przyszłam, no nie?

— Tak, tak, przyszłaś!

— Jak tu szłam, nie widziałam nic po drodze! Nic! O, jak mi niedobrze!

— Z tego wynika, że odważyłaś się drapać tu po zboczu.

— Nie wiem, nic teraz nie wiem... — Komako raz po raz przewracała się to na bok, to znów na plecy, tak że Shimamura zaczął już jej ciężar dawać się we znaki. Usiłował się podnieść, ale widocznie zbyt nagle został obudzony, bo zakręciło mu się w głowie i opadł z powrotem na posłanie. Ze zdziwieniem poczuł, że głowa jego spoczęła na czymś gorącym.

— Przecież ty, niemądra, jesteś jak ogień!

— Naprawdę? A więc śpisz z ogniem. Uważaj, bo się sparzysz!

— I to możliwe! — Shimamura zamknął oczy, a gorąco jej ciała rozpałało mu głowę; czuł namacalnie, jak ciało to żyje. Cała poza tym rzeczywistość docierała do niego tylko poprzez gwałtowny oddech Komako. Wyglądało na to, że dziewczyna odczuwa w tym momencie serdeczną skruchę po popełnieniu niewłaściwego czynu i że ma zamiar oczekiwać już jedynie spokojnie na jakąś karę.

— Powiedziałam, że przyjdę, i przyszłam! — Komako powtarzała to z zapamiętaniem. — Przyszłam, ale zaraz wracam... Będę myła głowę...

Podniosła się, pomagając sobie rękami, i napiła się chciwie wody.

— Nie możesz w tym stanie wracać do domu!

— Wracam! Jestem zresztą w towarzystwie... Gdzie się podziały moje przybory do kąpieli?

Shimamura podniósł się i zapalił światło. Komako ukryła twarz w dłoniach i przypadła do maty.

— Zostaw to! — zaproponowała.

Prócz krepdeszynowego jaskrawego kimona na podszewce, o wąskich rękawach, miała na sobie bawełniane kimono nocne z czarno obramowanym kołnierzykiem, przepasane krajką. Pod tym ubraniem nie było już widać obrzeżenia kimona spodniego, służącego jako koszulka. Aż na palcach jej bosych stóp wystąpiły czerwone plamy, świadczące o nadużyciu alkoholu, a gdy kurczyła się w sobie, aby to jakoś ukryć, robiła to z przedziwną gracją.

Przybory do kąpieli przypuszczalnie pogubiła po drodze; mydło i grzebienie były

rozrzucone na macie w pokoju.

— Tnij! Przyniosłam do tego nożyczki.

— Co mam ciąć?

— To! Widzisz? — Komako przeniosła rękę na tył głowy. — W domu próbowałam sama przeciąć taśmy, które przytrzymują mi sztuczny warkocz na głowie, ale ręce nie mogły wykonać tego, o czym mówię. Pomyślałam więc, że wpadnę tutaj i ty mi na pewno przetniesz.

Shimamura rozgarniał włosy na głowie dziewczyny i przecinał spajające je taśmy. Gdy przeciął w którymś miejscu, Komako za każdym razem roztrzepywała oswobodzony pukiel, a jednocześnie coraz bardziej się uspokajała.

— Która teraz może być godzina?

— Już trzecia.

— O, tak późno? Tylko nie pucinaj mi czasami moich własnych włosów!

— Ale naplątano tu tych tasiemek bez umiaru! Tam gdzie włosie sztucznego warkocza stykało się z głową, było ono aż gorące, gdy się go dotykało.

— To już trzecia? Pewno jak wróciłam do siebie z przyjęcia, przewróciłam się i zasnęłam wprost na matach. A potem przyszli po mnie znajomi, bo im obiecałam... Zachodzą teraz w głowę, gdzie się podziałam...

— To oni czekają?

— Idziemy do wspólnej kąpieli. W trójkę. Chcę od nich zarobić, bo było dzisiaj sześć przyjęć, ale udało mi się obskoczyć tylko cztery. W przyszłym tygodniu będę miała urwanie głowy, bo zjedzie się sporo gości na dni jesiennego czerwienienia liści drzew i krzewów. No, już. Dziękuję ci bardzo! — Komako, rozczesując uwolnione od sztucznego warkocza włosy, uniosła do góry twarz i aż zaśmiała się cicho z zakłopotania. — Nie widziałeś mnie w tym stanie! Hi, hi! Śmiesznie wyglądam, prawda? — Potem zaś, jakby nie wiedząc, co dalej ze sobą zrobić, podniosła z maty warkocz: — No, idą już, bo ci znajomi będą się na mnie gniewać. Już nie wstąpię do ciebie, jak będę wracać.

— Czy widzisz przed sobą drogę, jak idziesz?

— Widzę.

Nadepnęła jednak raz i drugi na poły kimona ciągnące się po ziemi i aż się zatoczyła przy potknięciu.

Shimamura pomyślał, że już dwa razy w ciągu jednej doby ukradła mu o tak niezwykłych porach — o siódmej rano i o trzeciej w nocy — wolny czas, i nie potrafił usprawiedliwić tego żadnym przyjętym powszechnie obyczajem.

Służba z zajazdu przybierała bramę wejściową gałęziami drzew strojnymi czerwonym listowiem, tak jak ozdabia się ją zieloną sośniną w święto Nowego Roku. Robiono to teraz na powitanie gości zjeżdżających tu podziwiać jesienną purpurę klonów i innych drzew.

Polecenia wydawał wszystkim pewnym głosem nadzorca, który zatrudniony był tu tymczasowo i dlatego sam o sobie mówił dowcipnie: „Ze mnie przelotny ptak!” Należał do ludzi, którzy od świeżej zieleni wiosennej aż po jesienną czerwień liści pracują w tutejszych górskich rejonach z gorącymi źródłami, a zimą idą zarabiać do źródeł Atami czy Nagaoka na półwyspie Izu. Było mu obojętne, czy pracuje co rok w tym samym zajeździe, czy w innym. Obnosił się ze swym doświadczeniem, zdobytym w dobrze prosperujących kurortach na Izu, a na tutejsze praktyki obchodzenia się z gośćmi patrzył z pogardą. Gdy zacierając dłonie, natarczywie zapraszał na stacji gości do swego zajazdu, zawsze przy tym wychodziła z niego prawdziwa natura nie pozostawiając najmniejszej wątpliwości, że to jednak jakaś odmiana nieuczciwego żebraka.

— Proszę pana, czy widział pan już owoc akepii? Jeśli pan sobie życzy, mogę go panu przynieść — zaproponował Shimamura wracającemu ze spaceru. Owoc ten przywijał całymi gronami do gałęzi czerwonego listowia.

Gałęzie, ścięte pewno w górach, sięgały na wysokość okapu. Przedsiónek zajazdu jak gdyby nagle pojaśniał i nabrał świeżej, szkarłatnej barwy, a liście na gałęziach budziły podziw swą wielkością.

Shimamura wziął do rąk kiść zimnych akepii, żeby im się bliżej przypatrzeć, gdy nagle rzuciwszy okiem w stronę kantorku zobaczył Yóko na klęczkach przy palenisku.

Żona właściciela zajazdu też tam siedziała podgrzewając *sake* w miedzianym kociołku. Yóko przycupnięta naprzeciwko niej wyraźnie przytakiwała wszystkiemu, co do niej mówiono. Nie miała na sobie ani szarawarów, ani narzutki, a jej kimono ze zwykłego jedwabiu sprawiało wrażenie, jakby niedawno odebrano je z pralni.

— To wasza pomoc? — zapytał Shimamura nadzorcę niby mimochodem.

— Tak. Z uwagi na szanownych gości musi się najmować więcej rąk do pracy.

— A pan jest tak samo najęty do pracy, prawda?

— Tak, ale to dziewczyna z tej wsi. Jakiś dziwny typ...

Wyglądało na to, że Yóko pomaga w kuchni, bo jak dotąd raczej nie pokazywała się w pokojach gościnnych. Gdy w zajeździe przybywało gości, również w pomieszczeniach kuchennych głośniej pokrzykiwały kobiety tam posługujące, ale nie słyszał wśród nich pięknego głosu Yóko. Kobieta sprzątająca w pokoju Shimamury powiedziała mu, że Yóko ma jakoby zwyczaj, zanim pójdzie spać, przyspiewywać sobie w wannie, ale i tego nigdy nie

udało mu się usłyszeć.

Lecz na myśl, że Yóko przebywa w tym domu, Shimamura zaczął odczuwać jakieś niezrozumiałe dla siebie samego skrupuły i już nie przywoływał nawet Komako do swego pokoju. Nie miał wątpliwości, że Komako darzy go miłością, ale przecież to jego własne wygodnictwo kazało mu traktować jej uczucie jako sztukę dla sztuki — i im głębiej zastanawiał się nad tym, tym bardziej bezpośrednio, jakby poprzez nagi tylko naskórek, zaczynał pojmować podstawowe zasady życia Komako, na których opierało się całe jej zachowanie. Było mu jej żal, a jednocześnie samego siebie uważał za godnego pożałowania. Czuł się tak, jakby istniała możliwość, że spojrzenia Yóko, niczym ostre promienie, przenikną go na wskroś i wydobędą na jaw jego najskrytsze myśli, toteż i do tej dziewczyny poczęła się u niego budzić jakaś skłonność.

Ale Komako, choć Shimamura nawet jej nie wzywał, oczywiście i tak często do niego zachodziła.

Bywało, że jeździł teraz w głąb doliny na promenady pośród jesiennej czerwieni listowia, a droga prowadziła akurat przed domem Komako. Ta wyskakiwała stale i niezmiennie przed dom: widocznie, z daleka już słysząc zbliżanie się samochodu, zakładała, że to z pewnością Shimamura.

Choć nawet nie oglądał się wtedy za nią, dawało jej to tylko powód do stwierdzenia, że jest on bez serca, i nadal — gdy ją przywołano do kogoś w jego zajeździe — nie omieszkala zawsze wstąpić do pokoju Shimamury. Wstępowała też do niego po drodze do kąpieli. Gdy w zajeździe miał się odbyć jakiś bankiet, przychodziła na godzinę wcześniej i przesiadywała u niego, aż wywołała ją któraś z posługujących. Często też z przyjęcia wymykała się na krótko, wchodziła do jego pokoju i doprowadzała przed lustrem twarz do porządku: „Zaraz muszę znowu lecieć do roboty. Kieruje mną jakaś handlarska zachłanność; byle się dorobić! Jeszcze więcej!” — po czym wstawiała i wychodziła.

Zostawiała w jego pokoju cokolwiek z rzeczy, jakie miała przy sobie lub na sobie, jakiś futerał Oo *samisenu* czy choćby narzutkę — żeby tylko móc po nią potem wrócić.

„Wczoraj w nocy, gdy wróciłam do domu, nie było gorącej wody na herbatę. Poszperałam w kuchni, dobrałam się do resztek zupy fasolowej ze śniadania, przegryzłam suszonymi śliwkami... Wszystko na zimno, brrr!... Dziś rano nie obudzono mnie. Gdy sama otworzyłam oczy, było już wpół do jedenastej. Miałam nadzieję, że wstanę o siódmej i przyjdę do ciebie; i nic z tego...” — Takimi właśnie opowiadaniem raczyła go albo mówiła, z jakiego lokalu wraca czy do którego idzie. Bywało też, że składała mu pobieżne relacje z przebiegu przyjęć.

„Jeszcze tu przyjdę” — mówiła na odchodnym po napiciu się wody albo: „Chyba już nie przyjdę dzisiaj. Czy wyobrażasz sobie: na trzydziestu uczestniczących w bankiecie — nas tylko trzy. Będę tak zaganiana, że szkoda marzyć, żebym mogła się wymknąć!”

Ale po niedługim czasie zjawiała się znowu.

„O, ciężki mój los! Na ich trzydziestu nas tylko trzy... I przy tym na mnie spada najwięcej roboty, bo co do moich towarzyszek, jedna jest najbardziej leciwa w całej osadzie, a druga znowu należy do najmłodszych. A ci goście to takie sknery, że aż strach; z pewnością to jakiś zespół wagabundów... Na trzydziestu ludzi powinno być co najmniej sześć gejsz. Ja im pokażę, jak to się ze mną pije!”

I tak codziennie. Trudno było dociec, do czego to wszystko ostatecznie prowadzi. Można by na podstawie tego stanu rzeczy posądzać Komako o to, że pragnie w ten sposób zataić przed nim odruchy swego serca i ciała, ale jakaś trudna do uchwycenia w jej zachowaniu aura osamotnienia zdawała się tylko przydawać jej tym większego wdzięku.

— Żenuje mnie, gdy podłoga w korytarzu głośno skrzypi. Choćbym przemykała się jak najbardziej ukradkiem, wszyscy i tak zaraz wiedzą... Gdy przechodzę obok kuchni, śmieją się tam i py-

tają: „Czy Koma-chan do pokoju «Pod Kameliami»? Nie przypuszczałam nawet, żeby mnie to mogło tak krępować...”

— Tu ludzie żyją stłoczeni na małym skrawku ziemi i stąd twoje kłopoty.

— Wszyscy już o nas wiedzą!

— Tak nie powinno być!

— Masz rację! Jak tylko w takiej małej osadzie rozniesie się zła fama o człowieku, to przepało się z kretesem. — Po tych słowach jednak Komako za chwilę podniosła do góry twarz i uśmiechnęła się. — Ale to nic ważnego! Takie jak ja wszędzie mogą zarobić.

Te słowa, w których niemal otwarcie dawała wyraz swemu uczuciu, były dla Shimamury, prowadzącego dzięki odziedziczonemu po rodzicach majątkowi życie próżniacze, absolutnie nieoczekiwane.

— Słowo daję! Nawet to, gdzie będę zarabiać, jest mi obojętne. Nie ma się czym przejmować! — Komako mówiła niby całkiem zwyczajnie, ale Shimamura dosłyszał w jej słowach typowo kobiece akcenty. — Nie miałabym nawet żalu, gdyby do tego doszło! Przecież i tak tylko kobieta zdolna jest prawdziwie pokochać drugiego człowieka... — Zaczerwieniła się nieco i spuściła głowę.

Odchylony do tyłu kołnierz kimona odsłonił jej kark bielejący jak wachlarz rozwarty od barku do barku. Pod grubą warstwą pudru widać było, jak żałośnie przybrała na ciele;

miało się wręcz wrażenie, że jest okryta jakąś wełnianą materią lub że to skóra jakiegoś zwierzęcia.

— Masz zapewne na myśli dzisiejszy świat — wymruczał Shimamura w odpowiedzi, czując jednocześnie, jak go samego ziębi jałowość tych słów.

— Zawsze tak było — odparła na to prostodusznie Komako, a następnie podnosząc głowę do góry dodała bez głębszej myśli: — Czy nie wiesz o tym?

Przylegające ściśle do jej pleców czerwone kimono, noszone pod spód, znikło z pola widzenia...

Shimamura tłumaczył Valery'ego, Alaina, a także francuskich intelektualistów z okresu rozkwitu rosyjskiego baletu, którzy pisywali swoje rozprawy na temat tańca. Miał zamiar wydrukować je na własny koszt jako luksusowe wydanie w niewielkim nakładzie. Dla świata artystycznego współczesnej Japonii nie miałyby ta książeczka według wszelkiego prawdopodobieństwa żadnego znaczenia, ale śmiało można powiedzieć, że przez to tym bardziej byłaby w stanie zaspokoić aspiracje Shimamury. Sprawiało mu jakąś przyjemność, upajał się po prostu, gdy przez własną pracę miał możliwość zadrzeć z samego siebie. Kto wie, czy nie z takiej właśnie skłonności rodził się cały świat jego patetycznych snów i fantazji? Ale skoro już był poza domem na wczasach, nie widział najmniejszej potrzeby, żeby się z czymkolwiek spieszyć. Zaprzątało go teraz obserwowanie w najdrobniejszych szczegółach, jak to jest, gdy owady umierają. W miarę nastawania coraz to ostrzejszych jesiennych chłódów, codziennie coraz więcej owadów umierało na matach w jego pokoju. Owady o twardych skrzydłach raz upadłszy nie potrafiły się już podnieść. A znowu pszczoła wlokła się kawałek, przewracała, znowu poruszała się chwilę i wreszcie padała bezsilnie. Była to śmierć spokojna; ginęły one zgodnie z prawem natury, posłuszne zmianom pór roku, a przecież gdy się człowiek bliżej temu przyjrzał, walczyły ze śmiercią, prężąc % drgające nóżki i czułki. Pokój na osiem mat można było uważać za bardzo przestronne miejsce dla ich małych śmierci.

Shimamura, podnosząc palcami z maty owadzi zewłok, aby go wyrzucić, ni stąd ni zowąd pomyślał o dzieciach, które pozostawił w domu.

Jedna ćma — jak się wydawało — na stałe już zadomowiła się na metalowej siatce w oknie, ale i ta umierając odpadła jak uschły liść od gałęzi. Inne spadały ze ścian. Gdy Shimamura brał je do ręki zastanawiała go tajemnica ich piękna. Potem i siatka, mająca bronić od nich, została usunięta. Głosy owadów wyraźnie cichły...

Łańcuch gór na pograniczu prowincji jeszcze bardziej pordzewiał, a w zachodzącym słońcu jaśniał jak bryła zimnej rudy. W zajeździe pełno było gości, których sprowadziła tu



chęć obejrzenia jesiennej czerwieni liści.

Tego wieczoru Komako również wstąpiła do pokoju Shimamury, oświadczając, że już dziś przypuszczalnie po raz drugi nie będzie mogła przyjść, bo bierze udział w przyjęciu urządzanym przez tutejszych mieszkańców. Gdy poszła, dobiegły go wkrótce z największej sali przenikliwe głosy kobiet zmieszane z dźwiękiem bębna. Pośród tego zgiełku posłyszał jednak nieoczekiwanie blisko czyjeś słowa wypowiedziane przeczystym tonem:

— Przepraszam! Czy mogę wejść? — Rozpoznał głos Yoko. — Proszę, to przesyła panu Koma-chan!

Yoko, w postawie zawodowego roznosiciela listów, wyciągnęła rękę, ale zaraz połapała się, że postępuje niezgodnie z obyczajem, i przyklękła. Shimamura jeszcze rozwijał podany mu złożony w kilkoro arkusik, gdy Yoko już opuściła pokój. Nie miał nawet czasu, żeby się do niej odezwać.

Na papierowej serwetce, znakami, których kształt świadczył, że pisał je ktoś pijany, widniało tylko tyle: „Teraz się całkiem fajnie bawię i piję sake.”

Ale nie minęło nawet dziesięć minut, gdy usłyszał nierówny rytm kroków i Komako zjawiała się u niego w pokoju.

— Czy tamta dziewczyna przed chwilą coś tu przyniosła?

— Owszem, przyniosła.

— Czyżby? — W przypiływie dobrego humoru przymrużyła jedno oko. — Ej, świetnie się dziś czuję! Powiedziałam tam, że idę zamówić *sake*, a potem ukradkiem się tu przemknęłam. Portier zauważył mnie i zwymyślał. Ale *sake* to dobra rzecz! Nic mnie nie obchodzi, ani że mnie besztają, ani że słyhać, jak tu idę... O, do licha! Jak tylko tu przychodzę, zaraz czuję się pijana... Muszę już wracać do roboty.

— I tak już widać, że masz dobrze w czubie.

— No, cóż, taki już mój zawód! Co ta mała do ciebie mówiła? Straszna z niej zazdrośnica, wiesz o tym?

— Kto?

— Ona mnie zamorduje, zobaczysz!

— To ona też wam pomaga obsługiwać gości?

— Przynosi karafki z *sake*, a potem staje gdzieś w cieniu w korytarzu i wpatruje się w nas, nieruchoma, połyskując tylko oczyma. Kto wie, może by ci się takie oczy nawet i podobały?!

— Przyglądała się wam, bo w jej pojęciu jest to jakaś rozpustna scena...

— Dlatego właśnie napisałam te parę słów, wręczyłam jej i powiedziałam, żeby to

tutaj zanosła. Chce mi się pić... Daj mi wody! A co do rozpusty, to kobieta nie może wiedzieć, co to jest, jeśli się jej nawet nie próbuje do niczego namawiać. Czy ja jestem pijana? — spojrzała w lustro trzymając się obiema rękami brzegów toaletki, jakby w lęku, że się przewróci, a potem pewną ręką rozsunała poły kimona i wyszła z pokoju.

Wreszcie i bankiet widocznie się skończył, bo w pewnej chwili zrobiło się cicho i tylko z dala dochodził go brzęk porcelanowych naczyń. Przypuszczał, że prawdopodobnie i Komako zabłąkała się w towarzystwie jakichś gości na następne z kolei przyjęcie w innym zajęździe, ale okazało się, że nie, bo oto Yóko znowu przyniosła mu „list” od niej.

„Nie chciałam iść do «Gospody pod Górskim Wiatrem», utknęłam teraz w pokoju «Pod Śliwą, jak będę wracać do domu, wstąpię. Dobrej nocy.»

Shimamura, nieco zażenowany, kwaśno się uśmiechnął.

— Dziękuję bardzo! Czy ty jesteś tu na posługach?

— Tak — potwierdziła Yóko i obrzuciła Shimamurę przelotnym spojrzeniem oczu, zdających się przenikać go na wskroś i bardzo pięknych. Poczł lekkie zmieszanie.

Dziewczyna, która dotąd za każdym razem, ilekroć miał okazję ją widzieć, wywierała na nim nieprzemijające wrażenie, siedziała teraz w jego obecności tak jakoś zwyczajnie — czuł się z tym dziwnie nieswojo. Przesadnie poważna, wyglądała zawsze tak, jakby znajdowała się w samym centrum jakiegoś niecodziennego wydarzenia.

— Zdaje się, że roboty jest tu dużo...

— Tak, ale ja nic nie potrafię.

— Już tyle razy się z tobą zetknąłem! A po raz pierwszy w pociągu, gdy jechałaś tu opiekując się tamtym mężczyzną. Prosiłaś wtedy zawiadowcę stacji o opiekę nad bratem, pamiętasz?

— Owszem.

— Mówiono mi, że przed pójściem spać wyśpiewujesz sobie w kąpieli piosenki.

— Ach, jak można takie rzeczy rozpowiadać. Nie lubię tego! — Jej głos był zadziwiająco piękny.

— Wydaje mi się, że wiem o tobie niemal wszystko!

— Czyżby? Czy wypytywał pan o to Komako?

— Ona by nic nie powiedziała. Przypuszczam, że ona nie lubi mówić o tobie.

— Naprawdę? — Yóko odwróciła się nieznacznie w bok. — Koma-chan to dobra dziewczyna, ale w pewnym sensie nieszczęśliwa, dlatego proszę, żeby pan był dla niej dobry.

Powiedziała to szybko, a jej głos przy ostatnich słowach lekko zdrzał.

— Ależ ja nie mogę nic zrobić dla niej! Zdawało się, że Yóko za moment zdrzy

całym

ciałem. Shimamura odwracając oczy od tej twarzy, z której bił jakiś niebezpieczny blask, roześmiał się.

— Chyba jednak najlepiej będzie, jak zaraz wrócę do Tokio.

— Ja też jadę do Tokio.

— Kiedy?

— Wszystko jedno kiedy.

— W takim razie czy będę mógł towarzyszyć ci w powrotnej drodze?

— Ależ proszę! Niech pan jedzie ze mną! — Powiedziała to obojętnym, choć poważnym tonem, zaskakując tym Shimamurę.

— Oczywiście jeśli rodzina twoja na to przystaje, prawda?

— Jeśli chodzi o moją rodzinę, to mam tylko jednego brata, który pracuje na kolei. To jest

mój młodszy brat, więc ja sama o wszystkim decyduję.

— Czy masz w Tokio jakieś oparcie?

— Nie mam.

— Czy mówiłaś z nią na ten temat?

— Ma pan na myśli Komako? Ja jej nie lubię nie rozmawiam z nią. Przy tych słowach oczy Yoko skierowały się ku

niemu, nieco wilgotne, jakby na znak rezygnacji z dalszych prób oporu. Shimamura wyczuwał w niej w tej chwili jakąś urzekającą moc, ale jednocześnie rozpałało się w nim coraz bardziej, choć bez widocznej przyczyny, uczucie niepohamowanej miłości do Komako. Odjechać z dziewczyną, o której w ogóle nic się nie wie, tak jakby się stąd przed czymś uciekało — zostałyby to chyba uznane za zbyt ostrą formę odprawy w stosunku do Komako. Byłoby to też dla niej czymś w rodzaju policzka.

— Czy nie bałabyś się tak jechać sama z mężczyzną?

— A właściwie dlaczego?

— Przecież niebezpiecznie jest jechać do Tokio, jeśli nie wiesz choć w przybliżeniu, gdzie się zatrzymasz albo co chcesz tam robić.

— Kobieta w pojedynkę jakoś da sobie radę — mówiła Yoko zawieszając na krótko głos po każdej frazie, potem zaś, nadal spoglądając na Shimamurę zapytała: — Czy nie mógłby pan zatrudnić mnie jako służącą?

— Cooo? Jako służącą?

— Czyżby pan miał coś przeciwko służącej?

— A czym się zajmowałaś, jak byłaś poprzednio w Tokio?

— Pielęgniarstwem.

— W szpitalu czy też byłaś w szkole?

— Nie, dopiero miałam zamiar iść na pielęgniarkę.

Shimamura ponownie sobie przypomniał zachowanie Yóko w pociągu, kiedy opiekowała się synem nauczycielki, i uśmiech wypłynął mu na twarz; uświadomił sobie, że być może powaga, z jaką dziewczyna krzątała się przy chorym, była wyrazem jej życiowych aspiracji.

— W takim razie i teraz chcesz się uczyć na pielęgniarkę?

— Już nie zostanę pielęgniarką.

— Z takim brakiem wytrwałości nie zajdziesz daleko!

— O, zaraz wytrwałość! Po co ten ton? — Yóko roześmiała się sarkastycznie.

Jej śmiech, smutny i dźwięczny, nie brzmiał bynajmniej nedorzecznie. Ale uderzając głucho o skorupę serca Shimamury gasł bez echa.

— Co w tym śmiesznego?

— Bo mnie widać przypadł los doglądać w chorobie tylko jednego człowieka...

— Cooo?

— I już więcej nie mam na to siły...

— Ach, tak?! — Shimamura, choć ponownie zaskoczony, nie dał się jednak zbić z tropu: — Podobno co dzień chodzisz regularnie na cmentarz przy polu gryki?

— Tak.

— I uważasz, że już nigdy w życiu nie będziesz opiekować się żadnym chorym ani nie będziesz chadzać na grób innego człowieka?

— Już nigdy!

— I będziesz tak mogła zostawić ten grób i pojechać sobie do Tokio?

— Doprawdy, nie wiem, co mam odpowiedzieć. Ale proszę mnie wziąć ze sobą!

— Komako mówiła, że jesteś strasznie zazdrosna. Czy on nie był narzeczonym Komako?

— Kto? Yukio? Kłamstwo, ona kłamie!

— Dlaczego tak nie lubisz Komako?

— Komako?! — Yóko wykrzyknęła to tak, jakby przywoływała kogoś, kto jest w pobliżu, i błyszczącym wzrokiem spojrzała na Shimamurę. — Proszę być dobrym dla Komachan!

— Ależ ja nie mogę nic dla niej zrobić!

W kącikach oczu Yóko zakręciły się łzy; odruchowo pochwyciła ręką małą ćmę, która spadła na matę, i zaniósła się płaczem.

— Koma-chan mówi, że ja zwariuję... — Po tym wyznaniu natychmiast wyszła z pokoju.

Shimamurę przeszył zimny dreszcz.

Gdy otworzył okno, żeby wyrzucić ćmę, którą Yóko zabiła, zobaczył, jak pijana Komako w postawie klęczącej, ale mocno pochylona do przodu, zabawia gości grą w palce. Niebo było zasnuwane chmurami. Shimamura udał się do kąpieli w zakładowym basenie.

Do sąsiedniej łazienki dla kobiet weszła Yóko z córeczką właścicieli zajazdu.

Gdy rozbierała małą z kimona i myła, mówiła do niej tak jakoś serdecznie, że aż przyjemnie było słuchać głosu, którym przemawiała do dziecka słodko jak młoda matka.

Potem zaczęła tym samym głosem śpiewać:

Tuż za opłotkami wsi

Stoją rzędem grusze trzy,

Stoją rzędem cedry trzy,

Sześć naliczysz tutaj pni...

A na dole wrony skrzeczą

Zakładając sobie gniazda,

A na dole wrony skrzeczą

Zakładając sobie gniazda...

W lesie znów swarliwe świerszcze

Takie wokół głoszą wiersze:

Cedry modlą się w żałobie

Na wspólnego druha grobie...

Ponieważ wyśpiewywała to z młodzieńczą werwą i w szybkim rytmie przyśpiewek, jakie nuca dzieci przy zabawach w piłkę, Shimamura wręcz już nie wiedział, czy Yoko, którą dotąd widywał, nie jest jedynie jego sennym przywidzeniem. Bez przerwy mówiła coś do dziecka i nawet gdy już wyszły z łazienki, jej głos zdawał się tam nadal rozbrzmiewać jak echo fletni. Shimamura w powrotnej drodze z kąpieliska jakoś odruchowo zwrócił uwagę na pozostawione na błyszczącej czerni ze starości podłodze przedsionka paulowniowe pudło na *samisen*, które zdawało się ucieleśniać spokój panującej dokoła głębokiej jesiennej nocy. Gdy starał się odczytać wypisane na wieku imię gejszy, do której instrument ten należał, od strony, skąd rozlegał się szczeł mytych naczyń, nadeszła Komako.

— Co tak tam oglądasz?

— Czy ona zatrzymała się tu na noc?

— Kto? A, ta od *samisenu!* Głupiś! Przecież nie można takiego przedmiotu nosić za każdym razem ze sobą. Zostawia się go niekiedy w zajeździe przez szereg dni. — Roześmiała się, ale zaraz jęknęła boleśnie, przymykając oczy; wypuściła też z ręki poły długiego kimona i zatoczyła się na Shimamurę. — Proszę, odprowadź mnie do domu!

— Ależ nie powinnaś tak wracać!

— Nie ma o czym mówić: wracam. To było przyjęcie dla tutejszych ludzi i moje towarzyszki poszły z nimi w inne miejsce; tylko ja zostałam. Byłam na przyjęciu tutaj i to mi wystarczy. Ale jakby ktoś z nich wstąpił jeszcze po mnie, żeby mnie zaprosić choćby na kąpiel, a mnie by w domu

nie było, to by przepęliło miarę.

Choć porządnie pijana, Komako szła po stromym zboczu żwawo i zręcznie.

— Doprowadziłeś tę małą do płaczu.

— Jeśli mam być szczery, to ona naprawdę robi wrażenie trochę pomyłonej.

— A to nawet ciekawe, że tak osądzasz człowieka.

— Przecież sama to powiedziałaś! O ile dobrze to wszystko rozumiem, zrobiło jej się przykro i rozplakała się na wspomnienie twoich właśnie słów, że ani chybi ona zwariuje...

— Co to, to racja!

— A nie upłynęło nawet dziesięć minut od tej sceny, jak była już w kąpeli i śpiewała tam normalnym głosem.

— Ona ma już taki zwyczaj wyśpiewywać w kąpeli różne piosenki.

— Prosiła mnie też całkiem na serio, żebym dla ciebie był dobry.

— A to niemądra! Ale ty mi raczej nie powinieneś takich rzeczy opowiadać!

— Opowiadać? Kiedy tylko idzie o tę dziewczynę, nie wiadomo dlaczego zawsze masz jakieś dziwne opory.

— Czy ty masz ochotę na tę małą?

— Patrzcie ją, żeby takie rzeczy wygadywać!

— To nie są żarty! Gdy patrzę na nią, mam zawsze uczucie, że w przyszłości może się ona jeszcze dla mnie stać przykrym ciężarem. Zresztą nie wiem, skąd się to u mnie bierze. Ale nawet ty, zważywszy, że ją kochasz, zastanów się wpierw dobrze nad wszystkim, co jej dotyczy. Na pewno twoje odczucia nie będą inne niż moje. — Komako położyła rękę na ramieniu Shimamury i mocniej się na nim wsparła, ale nagle potrząsnęła głową: — Nie, nie o to chodzi. Gdyby ta dziewczyna dostała się do rąk takiego jak ty człowieka, nie wpadłaby chyba wtedy w szaleństwo. Może byś więc przyjął na siebie ten ciężar, który inaczej grozi

mnie?

— Uspokój się, dobrze?

— Twoim zdaniem, jestem pijana i gadam głupstwa. Gdybym jednak wiedziała, że ona żyje szczęśliwa przy twoim boku, byłoby mi już wszystko jedno, co się ze mną tutaj stanie. Niczego bym sobie nie żałowała. Miałabym spokój i dobre samopoczucie...

— Powiedzmy, że tak!

— Zostaw mnie już tutaj samą! — Komako odbiegła od niego drobnym kroczkiem i silnie zderzyła się z zewnętrznymi drzwiami: był to jej dom...

— Widać sądzili, że już nie wrócisz na noc.

— Pewno, ale się otworzy...

Dźwignęła do góry drzwi, wydające odgłos spróchniałego drewna, żeby wyciągnąć dolną listwę framugi z szyny.

— Wstąp do mnie — powiedziała półszepem.

— Jak to? O tej porze?

— Domownicy już śpią. Shimamura oczywiście się wzbraniał.

— To teraz ja ciebie odprowadzę — zaproponowała Komako.

— Skądże! Obejdzie się.

— Ja tak nie chcę! Nie widziałeś jeszcze pokoju, który teraz zajmuję!

Gdy weszli przez drzwi kuchenne, zobaczyli leżące pokotem na podłodze postacie śpiących domowników. Na rozłożonych rzędem twardych materacach pokrytych bawełnianą materią o wyblakłych barwach, z jakiej w tutejszych okolicach robi się góralskie szarawary, spał pod przyćmionym światłem lampy gospodarz z żoną oraz pięcioro czy sześcioro dzieci, wśród których najstarsza córka mogła liczyć siedemnaście lub osiemnaście lat, a każde miało twarz zwróconą w innym kierunku; była to scena budząca politowanie, a zarazem imponująca jakąś witalnością.

Shimamura, jakby odepchnięty gorącymi oddechami śpiących, chciał się instynktownie wycofać, ale Komako zasunęła za nim z hałasem drzwi i poczęła iść po deskach przedpokoju nie krępując się nawet tym, że nie stąpa cicho. Shimamura również przesunął się obok główek śpiących dzieci, a w piersi jego poruszyły się jakieś dziwnie przyjemne uczucia.

— Poczekaj tutaj! Zaraz zapalę światło na piętrze.

— Nie potrzeba! — Shimamura wszedł na górę po schodach pogrążonych w zupełnej ciemności. Gdy się obejrzał poza siebie, zobaczył po drugiej stronie izby, w której beztriosko spały dzieci, ladę sklepową ze słodyczami.

Na piętrze znajdowały się cztery pokoje wyłożone starymi matami, jak to bywa w wiejskich domach.

— Ja mieszkam sama, więc chyba tu dla mnie za dużo przestrzeni — powiedziała Komako. Rzeczywiście, przegrody stojące zwykle w szynach między pokojami, były wszystkie usunięte; w najdalszym pomieszczeniu zwalono różne stare sprzęty domowe. Pościel dla Komako rozesłano samotnie na niewielkiej przestrzeni pomiędzy ruchomymi, oddzielającymi pokoje od przedpokoju ściankami, których ramy poczerniały już od starości. Na ścianach wisiały wyjściowe kimona Komako. To wszystko robiło na Shimamurze wrażenie jakiejś

opuszczonej rudery zamieszkałej raczej przez lisy i jenoty niż przez człowieka.

Komako opuściła się ciężko na podłogę i podsunęła Shimamurze jedyną, jaka tu była, poduszkę do siedzenia.

— Och, jestem czerwona jak burak! — Spojrzała akurat w lustro. — Czyżbym tak się upiła? — Następnie zaczęła po omacku szukać czegoś na komodzie: — O, masz tu mój dziennik!

— Sporo jest tego... Tuż obok dziennika stało kolorowe, obciążone papierem pudełeczko wypełnione po brzegi różnymi papierosami.

— Wkładam do rękawa albo wsuwam za pas i przynoszę do domu to, co dają mi klienci. Choć trochę pogniecione, ale nie są brudne. Mam tu za to niemal wszystkie rodzaje papierosów. — Wyciągnęła rękę i przed oczami Shimamury wygarnęła z pudełka całą garść, pokazując mu je i częstując. — Ach, nie mam zapalek; nie potrzebuję ognia, odkąd sama przestałam palić.

— To nie ma znaczenia! A jak tam z twoim szyciem?

— E, tam! Goście przyjeżdżający na okres czerwienienia liści nie zostawiają mi ani chwili wolnego czasu! — Komako oglądając się za siebie przesunęła bliżej przybory do szycia.

Pudełko na te przybory, wykwintne, z czerwonej laki i pierwszej klasy komoda o pięknym słoju drewna — sprzęty, które musiały być pozostałościami z czasów, gdy Komako żyła w Tokio — wyglądały na tym nędznym piętterku żałośnie, choć były to te same przedmioty, które widział już w domu nauczycielki muzyki, gdy wszedł na poddasze, przypominające stare papierowe pudełko.

Od lampy elektrycznej zwisał aż na posłanie cienki Sznurek.

— Gdy czytam przed snem książkę, mogę potem pociągnąć za sznurek i zgasić światło. — Komako bawiąc się sznurkiem siedziała przykładnie na klęczkach, tak jak to



czynią kobiety we wszystkich domach, i zachowywała skromną postawę.

— Jesteś w tej ruderze jak lisica z bajki, zwodząca czarami oblubieńca w noc ślubu, że otacza go przepych pałacu...

— Masz rację!

— W tym pokoju masz żyć przez cztery lata?

— Przecież pół roku jakoś minęło. To już niedługo!

Shimamura, któremu się zdawało, że dochodzą go oddechy śpiących na dole, i któremu brakło już konceptu do kontynuowania rozmowy, podniósł się raptownie z miejsca, zmierzając ku wyjściu.

Komako szła za nim zamykając drzwi. Wystawiła najpierw głowę spoglądając w niebo.

— Wygląda na to, że będzie śnieg. Skończy się już wreszcie i ten sezon czerwonych liści! — Po tych słowach wyszła przed dom: — Tutaj, jak to w górach, śnieg pada, nawet gdy trwa jeszcze sezon czerwonych liści.

— No to do widzenia!

— Ja cię odprowadzę! Tylko do bramy zajazdu. Tymczasem weszła razem z Shimamura do środka.

— Teraz dobranoc! — powiedziała i znikła gdzieś. Po pewnej chwili zjawiała się w pokoju niosąc dwie filiżanki wypełnione po brzegi zimną *sake*.

— Masz! Pij! Pijesz? — nalegała natarczywie.

— Przecież cała służba już śpi. Skąd to wzięłaś?

— Co tam? Zna się takie miejsce... Wyglądało na to, że Komako podpiła sobie, kiedy nalewała z beczułki, i w ten sposób upiła się ponownie. Zmrużywszy oczy przypatrywała się, jak z jej filiżanki wylewa się *sake*.

— Ale jak się pije po ciemku, to nie smakuje, wiesz?

Shimamura bez większego ociągania wypił *sake* z wepchniętej mu w rękę filiżanki.

Choć tą ilością nie można było się upić, poczuł się nagle niedobrze i zakręciło mu się w głowie; może stąd, że zziąbnął cały na dworze. Uświadamiał sobie niemal wyraźnie, że blednie na twarzy. Leżał z zamkniętymi oczami, a Komako w popłochu starała mu się jakoś okazać swą troskę. Dopiero w ciepłe kobiecego ciała Shimamura całkiem jak dziecko znalazł wreszcie dla siebie ukojenie.

Widać było, że Komako zachowuje się w tej sytuacji jakoś niewprawnie, zupełnie jak dziewczyna, która nie ma jeszcze własnego dziecka, a bierze w ramiona cudze niemowlę. Miało się wrażenie, że unosząc znad poduszki głowę, przygląda się śpiącemu dziecku.

Shimamura odezwał się po chwili bezradnie:

— Dobra z ciebie dziewczyna!

— Jak to? W czym jestem dobra?

— Jesteś dobra...

— Tak? A ty jesteś okropny! Nie znoszę takiego gadania! Nie miał językiem bez potrzeby! — Komako wypowiedziała to urywanym głosem i jakby nie do niego, a jednocześnie usiłowała potrząsnąć Shimamura, wreszcie jednak dała spokój i siedziała chwilę w milczeniu.

Potem roześmiała się cicho jakby do siebie...

— Ja jestem niedobra! Ciężko mi z tobą i wolałabym' nawet, żebyś wrócił do Tokio. Już nie mam więcej kimon, żeby włożyć na siebie. Za każdym razem, gdy idę tu do ciebie, chciałabym mieć na sobie jakieś nowe, ale za mało mam na to zasobów w mojej garderobie. To, co noszę dzisiaj, pożyczyłam od przyjaciółki. Jestem zła, zepsuta dziewczyna...

Shimamura nie odezwał się słowem.

— Coś takiego! Po czym ty właściwie sądzisz, że jestem dobra? — Głos Komako nieco złagodniał. — Gdy cię spotkałam po raz pierwszy, pomyślałam sobie, że jesteś jakiś niesympatyczny. Nie spotkałam człowieka, który by mówił takie impertynencje jak ty wtedy. Naprawdę czułam, że cię nie znoszę.

Shimamura skinął potakująco głową.

— Dotąd ani słowa o tym nie wspomniałam. Czy ty rozumiesz, co to znaczy? Jeśli dochodzi do tego, że kobieta musi mówić takie rzeczy, to chyba już szczyt wszystkiego!

— Masz zupełną rację.

— Mam rację, mówisz! — Komako na jakiś czas uspokoiła się, jakby rozpamiętując swoje przeszłe sprawy. Shimamura ciepło sobie uświadomił, że w jego myślach ta jedynie kobieta się liczy.

— Dobra z ciebie dziewczyna — powtórzył.

— Jak mam rozumieć to: dobra?

— Po prostu: dobra dziewczyna.

— Śmieszny z ciebie człowiek. — Odwróciła od niego twarz w taki sposób, jakby w tym momencie pocierała podbródkiem podrażnione miejsce na ramieniu, ale widocznie tknięta jakąś myślą poderwała się nagle, opierając na jednym łokciu i unosząc głowę.

— Co to w twoich ustach znaczy? No, co masz na myśli?

Shimamura, zaskoczony tym wybuchem, patrzył na Komako.

— Sam powiedz! Przecież przyjeżdżałeś tu do mnie? Czyś ty za każdym razem kpił

sobie tylko? Na pewno śmiałeś się ze mnie!

Zadając te dokuczliwe pytania Komako zaczerwieniona wpatrywała się w Shimamurę, jej ramiona trzęsły się w napadzie ostrego gniewu, ale niebawem pobladła i łzy jedna za drugą poczęły spływać po jej twarzy.

— O! Jak ja żałuję! Jak ja żałuję wszystkiego! — Jednym obrotem ciała zsunęła się z posłania i przyklękła na macie odwrócona do niego plecami.

Shimamura, domyśliwszy się wreszcie, że Komako z pewnością dopatruje się w jego słowach więcej, niż on sam w nie włożył, był tym kompletnie zaskoczony, ale mimo wszystko przymknąwszy oczy milczał.

— O, jak mi smutno! — wyszeptła Komako jakby do siebie i przegiąwszy ciało w łuk oparła głowę na rękach przed sobą.

Widocznie płacz wreszcie ją zmęczył, bo zaczęła dla odmiany nakłuwać raz koło razu srebrną szpilką do włosów matę, aż wreszcie bez żadnego uprzedzenia opuściła pokój.

Shimamura nie zdobył się na to, żeby pójść za nią. W tym, czego nasłuchał się od Komako, niektóre momenty poruszyły jego sumienie.

Ale niebawem posłyszał, jak Komako wraca, starając się bezszelestnie stawiać kroki. Zawołała go nadąsanym głosem, stojąc za oklejonymi papierem przesuwanymi drzwiami.

— Noo! Nie pójdziesz ze mną do kąpieli?

— Pójdę.

— Nie gniewaj się! Ja w tej chwili już tak nie myślę!

Nic nie wskazywało na to, że Komako wejdzie do pokoju: stała kryjąc się przed nim w korytarzu. Shimamura wziął więc ręcznik i wyszedł za próg. Komako ruszyła przodem ze spuszczoną głową, wyraźnie unikając jego wzroku. Zachowywała taką postawę, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku i prowadzony na miejsce kaźni. W kąpieli jednak rozgrzała się, a zaraz potem niezwykle się, aż do przesady, ożywiła, tak że o zaśnięciu nie było mowy...

Następnego ranka Shimamurę obudziły głosy recytujące partytury z jakiejś klasycznej sztuki japońskiego teatru *nó*<sup>15</sup>.

Przez jakiś czas przysłuchiwał się spokojnie rytmom. Komako siedziała już przed lustrem. Odwróciła się i uśmiechnęła wdzięcznie.

— To goście z pokoju «Pod Śliwą». Ci, co umawiali się ze mną wczoraj wieczorem

---

<sup>15</sup> *No* lub *nogaku* — najstarszy rodzaj widowiska teatralnego w Japonii, którego początki sięgają XIV w.; sztuki no grywane są do dziś w specjalnych teatrach przez zespoły zawodowe i amatorskie; na przedstawienie składają się powolny, hieratyczny taniec w klasycznych kostiumach i charakterystycznych maskach oraz półśpiewna recytacja dialogów i monologów przy dźwiękach bębenków i fletu. (Przyp. tłum.).

po bankiecie.

— To pewno jakieś *tournee* klubu miłośników teatru *nó*.

— Chyba.

— Czy mi się zdaje, że spadł śnieg?

— Tak — Komako podniosła się, z rozmachem rozsunęła oklejoną papierem kratownicę okna i pokazała mu widok na zewnątrz: — A więc już koniec sezonu czerwienienia liści.

Z szarego nieba widocznego w obramowaniu okna spływał na ziemię potop śniegu tak wielkimi płatami, jakby rozsypywano w górze płatki kwiatu białej peonii. Nie wiadomo czemu wydało mu się to czymś widmowo nierzeczywistym. Spoglądał na dwór w jakimś otępieniu, gdyż był jeszcze trochę senny.

Ludziom recytującym partytury *nó* poczęły akompaniować również bębenki.

Shimamura przypomniał sobie swe przeżycie z końca ubiegłego roku ze śniegiem odbitym rano w lustrze i spojrzął w stronę toaletki. W lustrze widać było, jak podobne do zimnych płatków peonii śnieżynki spływają coraz to większe, okalając białym konturem sylwetkę Komako, która rozchyliwszy kołnierzyk kimona wycierała sobie rącznikiem szyję.

Skóra jej była tak czysta, jakby umyła ją wiele razy pod rząd. Ale dla Shimamury nawet takie porównania zdawały się z góry zawierać w sobie coś nieodparcie niemiłego, gdyż zupełnie nie potrafił sobie jej teraz wyobrazić jako kobietę, która by mogła kiedykolwiek rozumieć jego słowa we właściwy sposób, a nie przewrotnie, jak to miało miejsce niedawno.

Odległe góry, których jesienna szata roślinna z dnia na dzień nabierała coraz ciemniejszego odcienia rdzy, odradzały się do nowego życia pod pokrywą pierwszego śniegu.

Cedry w gaju osypanym cienką jeszcze warstwą puchu ostro wystrzelały w niebo z pokrytego śnieżną powłoką gruntu, a ich pnie odcinały się wyraziście jeden od drugiego.

Pośród śniegu wito nić, pośród śniegu z niej tkano, w roztopionym śniegu tkaniną płukano, na śniegu ją bielono. Począwszy od wysnucia pierwszej nitki, a skończywszy na ostatniej tkackiej czynności — wszystko odbywało się wśród śniegu. „Był śnieg — będzie i krepą; śnieg można nazwać rodzicem krepy” — W dawnych czasach ktoś tak nawet napisał w jakiejś księdze.

Konopna krepą z krainy śniegu jest dziełem rąk dziewcząt wiejskich, które wyrabiają ją w czasie długiego okresu, gdy nie mogą opuszczać chat zasypanych śniegiem. Shimamura rozglądał się nawet tutaj po komisach odzieżowych za krepą, bo szył z niej sobie letnie okrycia. Ponieważ dzięki stosunkom z ludźmi interesującymi się tańcem znał tu pewien sklep prowadzący między innymi stare kostiumy do przedstawień teatru *no*, umówił się tam na

stałe, że będą mu pokazywać każdą sztukę krepy dobrej roboty, jaką tylko zdobędą. A im więcej tego materiału nabywał, tym bardziej go lubił i robił sobie z niego nawet narzutki bez podszewki, które nosił wprost na ciało.

Podobno w dawnych czasach pierwsze targi krepą rozpoczynały się na wiosnę, gdy z okien domów pousuwano już przeciwśnieżne zasłony i odwilż była w całej pełni. Hurtownicy bławatni z wielkich miast, którzy przybywali tu z daleka na zakup krepy, mieli nawet swe stałe zajazdy, w których zamieszkiwali, a ponieważ to wszystko, co dziewczęta utkały w półrocznym trudzie, było również szykowane na te pierwsze targi, zjeżdżali się tu mężczyźni i kobiety z pobliskich i dalszych wsi, ustawiali swe kramy z wyrobami na pokaz i na sprzedaż i rojno tu podobno było jak podczas święta w mieście. Do płatów tkaniny poprzyczepiane były kartki z wypisanym nazwiskiem i imieniem tkaczki i nazwą miejscowości, gdzie zamieszkiwała, a poszczególnym rezultatom ich pracy przydawano określenia w rodzaju: nr 1, nr 2, co odnosiło się do jakości osiągnięć. Często w czasie targów mężczyźni tak wysoko oceniali pracę przadek, że dobierali sobie spośród nich żony. Dziewczęta uczyły się tkania już od dziecka, a najlepsze ich prace powstawały zwykle w okresie ich młodości, między piętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia; w późniejszym wieku krepą dobrej jakości się nie zdarzała. W wykonaniu starszych tkaczek powierzchnia materiału nie miewała już pożądanego połysku. Prawdopodobnie młode dziewczęta zabiegające o to, żeby je zaliczono w poczet dziesięciu najlepszych tkaczek, starały się doskonalić swą sztukę: ponieważ jest to praca ich rąk w dniach i miesiącach zamknięcia w zasypanych śniegiem chatach, gdy nic innego nie da się robić, jak tylko zacząć według starego księżycowego kalendarza w październiku prząść nici, a potem w połowie lutego następnego roku bielić gotowe tkaniny — wkładały w to całą swą staranność, a chyba też przywiązywały się do rezultatów własnej pracy.

Wśród krep, z których szyte były kimona Shimamury, znajdowały się być może sztuki tkane przez dziewczęta jeszcze w połowie ubiegłego wieku. Swoje kimona z krepy wysyłał on nawet i teraz do „bielenia na śniegu”. Chociaż było kłopotliwe te stare, szacowne ubiory, które nie wiadomo nawet kto przez tyle lat nosił na grzbiecie, wysłać co rok do bielenia w okolice, gdzie je wytworzono, to jednak gdy pomyślał o trudach, jakie ongiś poniosły przy tym dziewczęta uwięzione przez śnieg w chatach, nabierał za każdym razem nieodpartej chęci, by oddać te wyroby do „prawdziwego bielenia” w rodzinnych stronach tych, które je tkały. Nawet sama myśl o chwilach, gdy na białe płótno wyłożone na głębokim śniegu będą padać promienie porannego słońca i zabarwią je czerwienią, tak że niepodobna będzie rozróżnić śniegu od materii, zdawała się mieć zdolność usuwania z materiału letniego brudu i

dawała Shimamurze znakomite samopoczucie, jakby tym samym ulegała też wybieleniu jego własna osobowość. Właściwie całą transakcję załatwiała dla niego jedna z tokijskich firm z używaną konfekcją, tak że nie wiedział nawet, czy w obecnych czasach utrzymuje się nadal stary sposób bielenia, czy też nie.

Istniały tu od dawien dawna specjalne bielarnie. Rzadko kiedy bielenie odbywało się w tych domach, gdzie tkano, przeważnie zajmowali się nim specjaliści. Niebarwioną krepe bielono po zakończeniu tkania; krepy kolorowe bielono w postaci gotowych nici, po nawinięciu ich na motowidła. Niebarwioną krepe bielono rozpościerając ją bezpośrednio na śniegu. Ponieważ bielenie odbywało się w styczniu i w lutym, według kalendarza księżycowego, podobno bywało tak, że pokłady śniegu zalegającego w obfitości pola i łąki zamieniały się w tym okresie w bielniki.

Tak płótno, jak i nici trzymano w ciągu nocy zanurzone w ługu, aby rankiem wielokrotnie przepłukać je w wodzie, wyżąć i wystawić na działanie słońca. Ten zabieg powtarzano przez wiele kolejnych dni. Gdy wreszcie kiedyś, pod koniec procesu bielenia, białą krepe zaleją czerwone promienie wschodzącego słońca, widok ten jest — jak piszą nawet w starych księgach — niezrównany i pragnęłoby się go pokazywać mieszkańcom cieplejszych prowincji. Poza tym, gdy się mówiło o końcu bielenia krepy, był to pewny znak, że do krainy śniegu zbliża się wiosna.

Rejon, gdzie wytwarzano krepe, leżał niedaleko uzdrowiska. Rozciągał się w dole rzeki, gdzie wąska kotlina górską już nieco się rozszerzała. Nawet z pokoju Shimamury było ją częściowo widać. W miasteczkach, w których ongiś podobno odbywały się targi na krepe, pobudowano teraz wszędzie stacje kolejowe i nadal był to ośrodek słynący z tkactwa.

Ale Shimamura nie przyjeżdżał ani razu do tego uzdrowiska w środku lata, gdy sam nosił kimona z krepy, albo w środku zimy, gdy krepa była tkana, i dlatego nie miał nigdy okazji zaczepić w rozmowie z Komako o temat krepy. Nie wyglądała ona zresztą na osobę, którą można by zacząć wypytywać o losy tej prastarej ludowej sztuki.

Gdy usłyszał piosenkę śpiewaną przez Yóko w kąpieli, od razu przyszło mu na myśl, że gdyby ta dziewczyna urodziła się dawniej, z pewnością by w taki sam sposób śpiewała siedząc przy kołowrotku czy warsztacie tkackim. Piosenka Yóko miała w każdym razie taki właśnie ton.

Włókno konopne, cieńsze nawet od włosa zwierzęcia, trudne jest do obróbki, jeśli nie ma warunków naturalnej wilgotności śniegu, i dlatego idealnie do tego celu nadaje się jakoby sezon, w którym jest i ciemno, i zimno. Już dawno utarło się powiedzenie, że skoro konopie, tkane w okresie zimna, dają — noszone w czasie upałów — ochłodę skórze, wynika to

widocznie z naturalnego przeciwieństwa zimna i ciepła. Nawet Komako, która tak przywiązała się do Shimamury, nosiła chyba w sobie jakiś chłód. I dlatego wszelkie przejawy ciepła, których zresztą w postawie Komako nie brakło, budziły u Shimamury sympatię.

Całe jednak ich przywiązanie do siebie nie będzie chyba trwało tak długo, jak długo wytrzymałaby z pewnością próbę czasu sztuka dobrej krepy. Choć spośród wytworów sztuki stosowanej tkaniny, którymi ludzie się okrywają, mają najkrótszą chyba egzystencję, to jeśli pieczołowicie się z krepią obchodzić, może być noszona pięćdziesiąt lat i więcej i nawet nie straci koloru. Gdy machinalnie snuł nadal myśli na temat, że związki ludzkich istot nie są tak trwałe jak krepa, wyobraził sobie nagle Komako jako matkę, która rodzi dzieci innemu mężczyźnie. Shimamura rozejrzał się naraz jakby przestraszony. Prawdopodobnie był zmęczony.

Przebywał tu już tak długo, że można się nawet zastanawiać, czy w ogóle nie zapomniał o powrocie do domu, do żony i dzieci. Nie chodziło wcale o to, że nie miał siły rozstać się z Komako, ani też o to, że nie chciał znaleźć się z dala od niej; po prostu oczekiwania na jej częste wizyty poczęły wchodzić mu w przyzwyczajenie. Im bardziej natarczywie jednak nachodziła go w jego pokoju, nieraz się tam zatrzymując na noc, Shimamura znosił to jako coraz większą męczarnię, zatraciwszy nawet pewność, czy posiada jakiegokolwiek prawa do własnego życia. Można powiedzieć, że tylko spokojnie wszystko znosił, bacząc jeszcze na to, żeby samemu nie popełnić jakiej niewłaściwości. Dlaczego Komako tak głęboko się w tej grze zaangażowała, było dla Shimamury rzeczą nie do pojęcia. Oddawała mu całą siebie, on natomiast nie oddawał jej z siebie chyba nic. Shimamurę dochodziły jakieś podobne do echa odgłosy daremnych uderzeń Komako głową o mur, ale słyszał je tak, jakby w głębi jego piersi usypana była gruba warstwa śniegu. Tak egocentryczna postawa nie mogła jednak trwać długo...

Shimamura, wsparty na *hibachi* zainstalowanym w jego pokoju z uwagi na zbliżający się okres śniegów, rozważał w duchu, że gdy teraz wróci do Tokio, to już chyba za żadne skarby nie przyjedzie więcej do tego uzdrowiska. Ze stojącego na żarze starego żelaznego kociołka, roboty jakiegoś mistrza z Kioto, kociołka użyczonego wyjątkowo przez właściciela zajazdu, wydobywał się miękki poszum wolno gotującej się wody, przypominający szum wiatru w gałęziach sosny. Powierzchnia naczynia inkrustowana była umiejętnie srebrem w kwiaty i ptaki. Teraz dały się słyszeć jednocześnie jakby dwa poszumy sosen: można było dosłyszeć jeden, który zdawał się nadlatywać z bliska, i drugi — z daleka; ale miało się też wrażenie, jakby jeszcze obok tego szumu dalszej sosny rozlegał się niewyraźnie malusieńki dzwoneczek. Shimamura przybliżył ucho do kociołka i przysłuchiwał się, temu dzwonieniu.

Nagle w oddali, skąd pozornie płynął bez przerwy ów głos dzwoneczka, Shimamura dojrzał małe stopy Komako oddalającej się drobnym kroczkiem, jakby dostosowanym do tempa dzwonienia. Shimamura zdziwił się najpierw, ale natychmiast się zdecydował, że musi stąd zaraz gdzieś wyruszyć.

Nieco później dopiero przyszło mu na myśl, żeby udać się w okolice, gdzie wytwarzają krepe. Miał też zamiar wziąć w ten sposób rozpęd do ostatecznego opuszczenia tego uzdrowiska.

Shimamura nie wiedział jednak, do którego z licznych miasteczek położonych w kierunku dolnego biegu rzeki ma pojechać. Nie miał bynajmniej chęci oglądać jakiegoś dużego miasta, które ostatnio rozwinęło się w ośrodek tkacki; wolał raczej wysiąść *na* opustoszałej stacji. Gdy uszedł kawałek drogi od stacji, wkroczył w ulicę, jaką można jeszcze zobaczyć w osiedlach przy dawnych traktach pocztowych.

Okapy domów opadały nisko po obu stronach ulicy, a ich krawędzie wspierały się na słupach stojących szeregiem wzdłuż drogi. Przypominały one podcienia sklepów na ulicach starego Edo, tutaj jednak bodajże od dawna nazywano je *gangi*, „drzewami tworzącymi klucz dzikich gęsi”, i przejścia pod nimi służyły pieszym podczas głębokiego śniegu. Z obu stron domy stały gęsto jeden przy drugim, tak że pasażer pod okapami dachów ciągnęły się bez przerwy.

Ponieważ każdy dom łączył się z obu stron z domami sąsiednimi, śnieg z dachów zimną zrzucany był na środek drogi; innego miejsca zsypania nie było. Ścisłej mówiąc usypywano ze śniegu na drodze wał, wyższy od najwyższych dachów. Żeby zaś można było przejść na drugą stronę, drążono miejscami ów śnieżny wał tworząc tunele. W tych okolicach nazywano je, zdaje się, *tainai-kuguri* — przełazami przez łono macierzy.

W wioskach w rejonie gorących źródeł, gdzie mieszkała Komako, choć należały one do tej samej krainy śniegu, domów nie stawiano jeden przy drugim, tak że Shimamura dopiero w tym miasteczku po raz pierwszy miał okazję zobaczyć *gangi*. Ze względu na osobliwość tego obiektu wszedł za kolumnadę słupów i szedł przez chwilę pasażerem. Pod staroświeckimi okapami dachów było niemal ciemno. Podstawy pochylonych słupów były już miejscami spróchniałe. Miał wrażenie, jakby wstąpił do wnętrza ponurego domostwa, które od wielu pokoleń było zasypane śniegiem. Życie tkaczek, które w głębi grubej powłoki śnieżnej cierpliwie wykonywały swe ręczne roboty, nie było tak jasne i lekkie jak krepa, którą wyrabiały. Shimamura zanotował to w myślach ko kwintesencję wrażeń z tej starodawnej osady. W dawnej księdze napisanej na temat krepy, aż z powołaniem się na wiersze starochińskiego poety Ch'in Tao-yu, mówi się, że nie było tu domów, które by mogły na



przykład najmować tkaczki i zasadzać je do roboty przy warsztatach, gdyż dla wyrobienia jednej sztuki krey potrzeba dużego wkładu pracy, co w przeliczeniu na pieniądze nawet nie równa się cenie wytworu.

Robotnic o zapomnianych dziś imionach, które wykonywały ten trud, od dawna już nie było na ziemi, a pozostały tylko te piękne krey. Latem służyły za wytworne kimona ludziom takim jak Shimamura, przewiewne i chłodne w zetknięciu ze skórą. To spostrzeżenie, w którym nie było przecież nic niezwykłego, uderzyło nagle Shimamurę jako trafne. Czyżby tak było na tym świecie, że czyn ludzki, dokonany z całym zapalem i umiłowaniem, gdzieś kiedyś po latach daje natchnienie komuś innemu? Shimamura wyszedł z cienia okapów na drogę.

Była to długa, prosta ulica, taka, jakie biegną przez dawne pocztowe osiedla przy głównych traktach. Stanowiła ona pewno przedłużenie starego traktu wiodącego z uzdrowiska, skąd przyjechał. Nawet kamienie, jedne ułożone rzędami, inne luźno na krytych deskami dachach, niczym nie różniły się od kamieni obciążających dachy w uzdrowisku.

Od okapów wspartych na słupach padał na drogę nikły cień. Niepostrzeżenie zbliżał się wieczór.

Nie było tu już nic więcej do oglądania, więc Shimamura wsiadł w pociąg i pojechał jeszcze jedną stacją dalej. Mieścina ta była całkiem podobna do zwiedzanej poprzednio. Tak samo położył tu trochę bez określonego celu, a czując, że już nieco przemarzł, wstąpił tylko na porcję makaronu.

Makaroniarnia znajdowała się na brzegu rzeki, zapewne tej samej, która płynęła przez jego uzdrowisko. Widział stąd, jak mniszki buddyjskie, po dwie, po trzy, przechodziły raz po raz most. Wszystkie były obute w słomiane sandały, a niektóre z nich niosły przywiązane na plecach duże plecionkowe kapelusze z półkulistymi denkami; wyglądało na to, że wracają z przepisanej regułą codziennego obchodu po prośbie. Przypominały wrony spieszące do swoich gniazd.

— Co tu tak dużo tych mniszek się kręci? — rzucił Shimamura pytanie usługującej kobiecie.

— Tam dalej, proszę pana, jest klasztor żeński. Teraz, gdy nastaną duże śniegi, wyjście z gór będzie już dla nich bardzo trudne.

Wzgórza po drugiej stronie rzeki, które powoli zagarniał zmierzch, były już całe w białej szacie.

W tej zaśnieżonej krainie, gdy tylko zaczną opadać liście i powieją chłodniejsze wichry, bez przerwy już trwają zimne i chmurne dni. Teraz też spodziewać się można śniegu.

Wszystkie szczyty bliższych i dalszych gór okrywają się bielą. Tutaj mówią, że „obleciało wierchy”. Poza tym, w pobliżu morza rozlega się głośniejszy niż zwykle grzmot fal, a z głębi gór jakieś huki. Brzmi to jak echo dalekiego piorunu. Tutaj mówią, że „podłoże się odzywa”. Gdy się widzi, że „obleciało wierchy”, i słyszy, że „podłoże się odzywa”, wiadomo — śnieg już niedaleko. Shimamura przypomniał sobie, że tak było napisane w starej księdze. Pierwszy śnieg spadł tego dnia, gdy Shimamura leżąc jeszcze rankiem w pościeli słuchał recytacji ról z teatru *nó* w wykonaniu trupy jakichś gości, którzy zjechali tu na festyn z okazji czerwienienia liści. Czyżby również w tym roku morze i góry już się „odzywały”, a on tego nie usłyszał? Ale widać jego zmysły, zwłaszcza słuch, w trakcie tego przedłużającego się *rendez-vous* z Komako w uzdrowisku, do którego przyjechał specjalnie sam, jakoś przedziwnie się wyostrzyły, gdyż zaledwie zapragnął usłyszeć pomruk morza czy gór, pojął, że ów odległy huk przenika w głąb jego uszu.

— A więc te mniszki też będą teraz siedziały w klasztorze nie wychodząc poza jego obręb z powodu głębokiego śniegu? Ile tam ich może być?

— O! Chyba dużo.

— Co one tam robią pośród śniegów przez tyle miesięcy, gdy siedzi ich taka czereda, same baby?! Może lepiej by było, żeby założono w tym klasztorze tkalnię i żeby tkano tam choćby krepę, tak jak to dawniej w tych stronach bywało.

W odpowiedzi na uwagę nonszalancko zachowującego się Shimamury sprzedawczyni gotowanego makaronu zdobyła się tylko na nikły uśmiech.

Na stacji czekał Shimamura na powrotny pociąg blisko dwie godziny. Po zachodzie słońca, którego promienie zresztą słabe dawały ciepło, mróz począł się wzmacniać, jakby to miał być warunek wywabienia gwiazd z firmamentu. Shimamura czuł, jak marzną mu stopy.

Wrócił do uzdrowiska, nie mogąc sobie nawet uprzytomnić, czego oczekiwał po tej przejażdżce. Taksówka mijając te same co zawsze skrzyżowania podjechała do skraju cedrowego lasu poświęconego miejscowym opiekuńczym bóstwom. Przed oczami jadących widniał dobrze znajomy, jasno oświetlony budynek. Shimamura odetchnął z ulgą: była to restauracyjka „Kikumura”, a przed wjazdem do niej stały rozmawiając trzy czy cztery gejsze.

Nie zdążył pomyśleć, że i Komako jest wśród nich, a już ją zobaczył.

Szybkość wozu w jednej chwili zmaląła. Przypuszczalnie to szofer świadomy już tego, co łączy Shimamurę z Komako, jak gdyby nigdy nic zwolnił bieg.

Shimamura gwałtownie odwrócił się w przeciwną stronę i spojrzał za siebie przez tylne okno wozu. Samochód, którym jechał, zostawiał na śniegu wyraźne ślady kół, a koleiny te przy świetle gwiazd widać było niezwykle daleko.

Wóz zbliżył się do miejsca, gdzie stała Komako. Dziewczyna bez namysłu i trudno zaręczyć, czy nie zamknawszy oczu, wskoczyła z impetem na stopień samochodu. Taksówka nie zatrzymała się, tylko nadal spokojnie pięła się na wzgórze. Komako skurczyła się nieco na stopniu za drzwiczkami auta, trzymając się silnie klamki.

Zdobyła się na tyle energii, żeby skoczyć i trzymać się na stopniu, niemal przyklejona do drzwiczek, a Shimamurę poczęło ogarniać jakieś łagodne ciepło i nie wyczuwał bynajmniej w tym, co zrobiła Komako, nienaturalności ani nierozwagi.

Starając się jakoś objąć okno wozu jedną ręką, Komako uniosła ją nieco w górę. Brzeg rękawa kimona podwinął się przy tym i poprzez grubą szybę błysnęło na chwilę kolorowe kimono, które nosiła pod spodem, rażąc oczy skostniałego z zimna Shimamury. Komako przycisnęła czoło do szyby.

— Gdzieś ty był? Powiedz, gdzieś jeździł?! — wołała przenikliwym głosem.

— Uważaj, bo zlecisz! Głupstwa mi tu będzie wyprawiać! — odpowiedział jej równie głośno Shimamura, ale było to tylko miłe przekomarzanie się dla zabawy.

Komako wreszcie otworzyła drzwiczki i wpadła, przewracając się, do środka. Ale w tym momencie auto się zatrzymało. Byli już u stóp wzgórza.

— No, gdzieś ty się podziewał?

— Ale ja sam...

— Gdzie?

— ...nie potrafię nawet określić gdzie!

To, że gest, jakim Komako poprawiała fałdy kimona, był typowy dla wszystkich gejsz, poczęło się naraz wydawać Shimamurze czymś niezwykłym.

Kierowca czekał spokojnie. Shimamura zauważył wreszcie, że to śmieszne tak siedzieć w wozie, który się zatrzymał, bo i droga już się skończyła.

— Wsiadajmy! — powiedział.

Komako trzymała rękę na ręku Shimamury, którą opierał on o kolano. — Ach, jaka zimna! Toś ty tak zmarzł! Dlaczegoś mnie nie wziął ze sobą? — Tak jakoś wypadło... — Co to znaczy? Dziwadło z ciebie!

Komako roześmiała się radośnie i poczęła wchodzić na górę stromą ścieżką o kamiennych stopniach.

— Ja widziałam, jakeś wychodził. Była godzina druga, a w każdym razie przed trzecią.

— Owszem.

— Słyszałam, że jedzie samochód, więc wyszłam, żeby zobaczyć. Wybiegłam przed

dom. A ty nie obejrzałeś się nawet.

— Co takiego?

— Nie obejrzałeś się, to pewne! Dlaczegoś się nie odwrócił, żeby choć spojrzeć na mnie?

Shimamura był zaskoczony.

— A możesz w ogóle nie wiedział, że wybiegłam na drogę?

— Jasne, że nie wiedziałem!

— No, widzisz! — Komako znowu uśmiechnęła się radośnie. Zbliżyła się potem do niego i szli już ramię w ramię.

— Dlaczegoś mnie nie wziął ze sobą? Wróciłeś taki zziębnięty... Ja tak nie chcę!

Nagle rozległy się szybkie uderzenia w dzwon alarmowy, zwiastujące, że gdzieś w okolicy się pali.

Oboje obejrżeli się za siebie.

— Pożar! Patrz, pożar!

— Tak, to pożar!

Płomienie buchały pośrodku osady, która rozciągała się przed nimi w dole.

Komako wydała parę nieokreślonych okrzyków i chwyciła Shimamurę za rękę.

Pośród bijącego kłębam w górę czarnego dymu pojawiały się i znikwały języki płomieni, które pełzając na boki zdawały się lizać ogniem okapy dachów.

— Gdzie to się pali? Czy to nie w pobliżu domu nauczycielki muzyki, gdzieś dawniej mieszkała?

— W żadnym razie!

— No to gdzie?

— To bardziej w górę, w pobliżu stacji. Płomienie przebiły się przez dach i wystrzeliły w górę.

— Ach, tak! To składnica kokonów! To składnica kokonów! Tak, patrz, to składnica kokonów płonie! — Komako powtarzała to wielokrotnie, przytulając policzek do ramienia Shimamury. — To składnica kokonów, składnica kokonów! Pożar rozszalał się już na dobre, przebieg jego jednak — widziany z góry — wyglądał pod olbrzymią kopułą gwiaździstego nieba tak niewinnie jak pożar jakiejś zabawki. A jednak widok ten przejmował ich zgrozą i mieli wrażenie, że potworny huk płomieni dochodzi do ich uszu. Shimamura objął Komako ramieniem.

— Chyba tam nic nikomu nie grozi? — zaryzykował pytanie.

— Nie mówmy o tym, nie chcę, nie mogę! — Komako potrząsnęła ze

znieczierpliwieniem głową i wybuchnęła płaczem. Shimamura czuł jej twarz na swej dłoni, jeszcze mniejszą niż zwykle. Jej skronie drżały.

Rozpłakała się wprawdzie na widok pożaru, ale choć Shimamura nie bardzo wiedział, czego płacze, nie zwolnił uścisku.

Komako niespodziewanie przestała płakać i oderwała twarz od jego dłoni.

— Wiesz, co tam się działo? W składnicy kokonów miał być film, dziś wieczorem właśnie! Mnóstwo ludzi tam poszło. Czy ty...

— Tak, to okropne!

— Będą z pewnością ofiary... Popałą się może na śmierć!

Popędzili oboje z pośpiechem po stopniach w górę. Bo i z tej strony słychać było jakieś hałasy. Rzuciwszy wzrokiem do góry można było zobaczyć, jak w wysoko położonym zajeździe, na pierwszym, a nawet na drugim piętrze, w większości pokojów pootwierano drzwi, a ludzie powychodzili na jasną od świateł werandę i przyglądali się pożarowi. Na wpół zwarzone chryzantemy rosnące na skraju ogrodu ukazywały swe zarysy na tle świateł zajazdu i w poświacie gwiazd, a — kto wie — może nawet odbijał się w nich odblask dalekiego pożaru. Była to myśl przelotna, ale w ślad za nią zauważył nagle, że i za tymi chryzantemami stoją ludzie. Z góry, niemal zwałając się na nich dwoje, idących w przeciwną stronę, nadbiegło trzech czy czterech mężczyzn, a wśród nich nadzorca z zajazdu.

— Wy, tam, czy to skład kokonów?! — to Komako natężyła głos.

— Tak, skład kokonów!

— A ofiary? Czy są ofiary?

— Ludzie się prędko wydostali! Wszystko naraz się zajęło od kliszy filmowej, a ogień się szybko rozszerza... Patrzcie, tam! — Nadzorca po udzieleniu tej informacji podniósł w górę rękę i pobiegł dalej. — Mówią, że z balkonu zrzucano bez przerwy dzieci — dodał jeszcze.

— Ach! Co robić? Co robić?! — Komako schodziła już po stopniach w dół, jakby goniąc nadzorcę. Zdążający również w dół ludzie, którzy ją doganiali, przechodzili mimo, spiesząc dalej. Zachęcana przez niektórych Komako również puściła się biegiem. Shimamura popędził w ślad za nią.

Gdy wydostali się na odcinek drogi poniżej kamiennych stopni, pożaru nie było już widać spoza domów i tylko od czasu do czasu języki wyżej buchających płomieni dawały się dostrzec; dzwon alarmowy rozbrzmiewał tu jeszcze donośniej, tak że biegli z coraz większym niepokojem w sercach.

— Śnieg marznie, więc uważaj! Jest ślisko. — Komako obróciła się do Shimamury,

ale w tej samej niemal chwili zatrzymała się. — Mimo wszystko — tak będzie najlepiej... Ty nie musisz... nie potrzebujesz tam lecieć! Ja niepokoję się o tutejszych ludzi!

Shimamura przyznawał rację jej słowom. Ochłonął już z pierwszego zapału i rozczarowany spuścił wzrok; pod stopami zobaczył tory. Doszli już do przejazdu.

— Droga Mleczna! Jaka piękna! — mruknęła Komako do siebie i z uniesioną ku rozgwieżdżonemu niebu głową, poczęła biec dalej.

Ach, rzeczywiście, Droga Mleczna! — podchwycił w myślach Shimamura i również skierował wzrok ku przestworzom, a cała jego istota w jednej chwili popłynęła w głąb bezkresnego gwiazdozbioru. Jasność Drogi Mlecznej była tak bliska, że zdawała się porywać Shimamurę ku górze. Czy poeta Bashó w czasie swej wędrówki widział ponad wzburzonym oceanem ten właśnie ogrom tak samo jak teraz przejrzystej Drogi Mlecznej? Zstąpi tu ona zaraz w całej krasie nie przysłoniętego niczym ciała, aby otulić nocą ziemski glob swą nagością. Jest w tym jakieś straszliwe wyuzdanie... Shimamura czuł się tak, jakby jego własny mały cień odbijał się teraz wbrew wszelkim prawom natury nie na ziemi, a na Drodze Mlecznej. Każdą z jej rozlicznych gwiazd można było wydzielić osobno, a przy tym widoczność była tak doskonała, że nawet poszczególne ziarna srebrnego pyłu z porozsiewanych gdzieś tam świetlistych obłoków dawały się w masie wyróżnić. Owa bezdenna głębia Drogi Mlecznej pochłonęła całkowicie jego spojrzenie.

— Hola! Stój! — zawołał Shimamura do Komako.

— Heej! Proszę za mną! — Komako biegła w stronę mrocznych gór, nad którymi płynęła Droga Mleczna.

Widocznie podtrzymywała dolny brzeg kimona, bo za każdym razem, gdy poruszyła ręką, czerwień podbicia ukazywała się wyraźnie albo też znikwała niemal zupełnie. Dostrzegając, że to czerwień, przez kontrast ze śniegiem oświetlonym przez gwiazdy.

Jednym wysiłkiem mięśni Shimamura ją dogonił.

Komako zwolniła kroku; puściła poły kimona i wzięła Shimamurę za rękę.

— A więc idziesz? Ty również?

— Tak.

— Dla zaspokojenia ciekawości, prawda? — Podniosła z powrotem dolny brzeg kimona, który opadał na śnieg. — Będą się ze mnie śmiać. Proszę cię, wróć do zajazdu!

— Dobrze, ale jeszcze kawałek.

— To mi się nie podoba! Ludzie będą oburzeni, jeśli pójdziesz za mną aż na miejsce pożaru.

Shimamura ustąpił i zatrzymał się, ale Komako przytrzymując lekko rękaw

Shimamury zaczęła powoli iść.

— Poczekaj na mnie gdzieś tutaj! Ja zaraz będę z powrotem! Gdzie ci będzie wygodnie?

— To już obojętne...

— No, dobrze. Więc może tam, trochę dalej... — Komako spojrzała z bliska w twarz Shimamury i bez widocznego powodu potrząsnęła głową. — Nie, nie chcę! Ani kroku dalej!

Ponieważ gwałtownie się na niego rzuciła, Shimamura nieco się zatoczył. U skraju drogi, gdzie niechcący stąpnał, wyrastały spod cienkiej warstwy śniegu rzadki cebuli.

— Zatrujesz mi życie! — I zaraz potem Komako wybuchnęła szybkim potokiem słów: — To tak się robi? To ty mi będziesz mówić, że ja jestem dobrą dziewczyną? Może mnie oświecisz, jakie ma prawo człowiek, który odejdzie przecież od partnerki, mówić jej takie rzeczy?

Shimamura przypomniał sobie, jak Komako niedawno nakłuwała w zdenerwowaniu szpilką od włosów matę.

— Ja płakałam wtedy... I gdy wróciłam do siebie, do domu, też płakałam... To straszne dla mnie, że się z tobą rozstanę. Mimo to jednak wyjedź stąd jak najprędzej! Bo ja nie zapomnę, że przez ciebie płakałam.

Na myśl o tym, że jakieś jego słowa na skutek niewłaściwego pojmowania ich przez Komako mogły tak głęboko wrazić się w jestestwo tej dziewczyny, Shimamura poczuł się szczerze przygnębiony, ale nie było czasu nad tym się zastanowić, bo w pewnej chwili wzmożyły się krzyki ludzi znajdujących się w pobliżu miejsca pożaru. Nowe wybuchy płomieni wyrzuciły w górę deszcz iskier.

— Oho! Znowu! Jak to płonie! Jak ten ogień bije w górę!

Oboje poczęli biec, jak gdyby w ten sposób ratowali się z jakichś opresji. Komako biegła świetnie. Zdawało się, że frunie w powietrzu, z lekka tylko dotykając sandałami zmarzniętego śniegu; nie wymachiwała też ramionami do przodu i do tyłu, starając się raczej trzymać je nieruchomo przy sobie. Shimamura zauważył, że przy tej postawie cała energia jej ruchu koncentruje się na wysokości piersi, przy czym figurka jej wydała mu się nieoczekiwanie drobna. Tęgawy Shimamura, który biegł obserwując w dodatku sylwetkę Komako, zmęczył się prędzej niż ona. Wreszcie i dziewczynie zabrakło widać oddechu: zachwiała się, ale znalazła w Shimamurze podporę.

— Oczy mi się łzawią, bo zimno! — Policzki miała rozpalone, tylko oczy jej marzły.

Żrenice Shimamury również były wilgotne. Ledwo poruszył powiekami, gdy nagle cała Droga Mleczna wypełniła jego oczy. Z wysiłkiem powstrzymał łzę, która miała już

zawisnąć na rzęsach.

— Czy każdej nocy Droga Mleczna jest taka jak dziś?

— Droga Mleczna? Piękna, prawda? Ale nie jest taka co noc. Dziś jest wyjątkowo pogodnie.

Droga Mleczna zdawała się płynąć od strony, skąd oboje przybiegli, i opadać gdzieś przed nimi w dół, a twarz Komako była jak gdyby skąpana w jej blasku.

Ale ani kształt jej wąskiego, wydatnego nosa nie występował wyraźnie, ani nie można było rozpoznać barwy jej maleńkich warg. Shimamura wprost wierzyć się nie chciał, żeby złoża światła, które wypełniały całe nad nimi niebo, mogły tak mało zsyłać na ziemię odbłasku. Poświata gwiazd była chyba bardziej nikła niż w noc księżycowego nowiu, a przecież Droga Mleczna jaśniała silniej, niż kiedykolwiek jaśnieje niebo w czas pełni księżyca; tymczasem na ziemię nie padał żaden cień, a w panującym dokoła półmroku twarz Komako jawiła mu się niby starożytna maska teatralna i tylko dziw brał, że jakoś nie traciła przez to powabu kobiecości.

Podniósł znowu wzrok ku górze i tak samo nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Droga Mleczna opada w dół, aby otulić sobą ziemski glob.

Zbiorowisko gwiazd, królujące na niebie niczym olbrzymia w swych rozmiarach zorza, płynęło pogrążając w swym nurcie postać Shimamury i każąc mu odczuwać również siebie samego tak, jakby stał gdzieś na krańcu ziemskiego okręgu. Ogarnęła go cicha i dojmująca chłodem samotność, a jednocześnie jakieś przynoszące rozkosz zdumienie.

— Gdy już sobie pojedziesz, moje życie stanie się bardziej stateczne. — Komako, mówiąc to, znowu ruszyła naprzód; ręką starała się poprawić rozluźnione uczesanie. Po przejściu kilku kroków obróciła się w jego stronę. — Co się znowu stało? Ja tak nie chcę!

Shimamura stał ciągle w tym samym miejscu.

— Aha! Więc poczekaasz, prawda? Ale potem zabierzesz mnie do siebie...

Komako uniosła nieco lewą rękę i ruszyła biegiem. Zdawało się, że jej widoczną od tyłu sylwetkę powoli wchłania w siebie ciemniejący w oddali masyw górski. Droga Mleczna, tam, gdzie ją rozcinał pofałdowany kontur szczytów, rozchyłała na boki najwyższe skupiska gwiazd, a siłą kontrastu zdawało się wtedy, że w tychże miejscach niebo rozpościera się w rozsrebrzony bezkres, od którego zanurzony w blasku łańcuch górski odcina się tym ciemniejszą barwą.

Niemal w tej samej chwili, gdy Shimamura rozpoczął swój dalszy marsz, Komako znikła za domami przy głównym trakcie.

— Raz, dwa, trzy, cztery! Raz, dwa, trzy, cztery... — usłyszał głosy kilku mężczyzn,



którzy ciągnęli wzdłuż traktu pompę przeciwpożarową, pomagając sobie okrzykami. Po drodze tej biegli zapewne bez przerwy coraz to nowi ludzie. Shimamura również wypadł w pędzie na trakt. Droga, którą wraz z Komako tutaj dotarł, stykała się z nim pod kątem prostym.

Znowu nadjechała jakaś pompa. Shimamura dał się jej wyminąć i pobiegł dopiero za nią.

Była to stara drewniana pompa o ręcznym rozruchu. Sekcja strażaków ciągnęła ją na długiej linii, ale poza tym również dokoła otaczali ją strażacy. Pompa była maleńka, co tym bardziej czyniło tę scenę śmieszną.

Komako również usunęła się na skraj drogi, aby tej pompie pozwolić przejechać. Spostrzegłszy Shimamurę pobiegła obok niego. Wszyscy ludzie, którzy stawali na skraju drogi, aby pompa mogła ich wyminąć, zaczęli gonić za nią, zupełnie jakby przyciągała ich za sobą jej siła ssania. Ich dwoje stanowiło teraz jedynie cząstkę tłumu, który śpieszył na miejsce pożaru.

— Jednak przybiegłeś? W pogoni za niezwykłością!

— No... Patrz, jaka to beznadziejna pompa. Ma pewno ze sto lat!

— Racja! Uważaj, żebyś się nie przewrócił!

— Ślisko, prawda?

— Tak. Ale spróbuj tu kiedyś przyjechać choć raz, gdy całymi nocami szaleją śnieżne zadymki! Pewno zresztą nie przyjedziesz... Bażanty, króliki, wszystko, co żyje, chroni się wtedy w obejściach ludzkich. — Komako mówiła jeszcze na ten temat, a jej głos podporządkowany rytmowi wyliczanemu przez biegnących strażaków i rytmowi uderzeń stóp ludzkich, był jasny i raźny. Shimamura również czuł się jakoś rześko.

Słychać już było trzask płomieni. Na ich oczach podnosiły się ku niebu słupy ognia. Komako chwyciła Shimamurę za łokieć. Niskie, czarne dachy domów stojących przy trakcie wylaniały się w blasku pożaru z ciemności, jakby nabierały głębokiego oddechu, i na jakiś czas znowu zapadały w uśpienie. Drogą pod ich stopami spływała woda z pomp strażackich. Shimamura i Komako zbliżyli się do tłumu otaczającego zwartym murem miejsce pożaru i odruchowo zatrzymali się. Do zwykłego zapachu spalenizny po pożarze przyłączał się swąd jak po wygotowaniu kokonów.

Ludzie tu i ówdzie rozmawiali ze sobą podniesionymi głosami, wymieniając niewiele różniące się między sobą informacje: a to, że pożar powstał od taśmy filmowej, że dzieci, które były na filmie, zrzucano w pośpiechu z balkonu, że nie było ofiar w ludziach, że na szczęście nikt z wioski nie przechowywał w składnicy w tych dniach ani kokonów, ani ryżu...

Ale mimo to, każdego, ktokolwiek kierował wzrok na pożar, włączała w całość jedyne go w swoim rodzaju widowiska owa absolutna powaga, z jaką tłum na ogół zdawał się zachowywać milczenie i z uwagi na którą wszelkie związki z dalszą i bliższą przeszłością zdawały się już dla nikogo nie mieć żadnego znaczenia. Wyglądało na to, że wszyscy są zasłuchani w odgłosy pożaru i pracujących pomp.

Raz po raz nadbiegał jakiś opóźniony mieszkaniec osady i kręcił się wśród zgromadzonych, wywołując imię swego krewniaka. Jeśli ktoś mu odpowiedział, witali się okrzykami radości; jedynie te głosy dźwięczały pewnym ożywieniem. Dzwon alarmowy przestał już bić.

W obawie, że ludzie i tu mogą ich mieć na oku, Shimamura odsunął się niepostrzeżenie od Komako i stanął za grupką jakichś malców. Dzieci te były tam w żarze ognia i stamtąd właśnie wyszły. Może dlatego śnieg pod ich stopami już nieco odtajał? Ale i śnieg na przestrzeni między płonącym budynkiem a zmartwiałym ze zgrozy tłumem stopniał od ognia i wody, wypełniając błotnistą mazią krzyżującą się we wszystkich kierunkach wielokształtne ślady.

Stali na polu przylegającym do składnicy kokonów; tam też precisnęła się większość ludzi, którzy przybiegli tu razem z nimi.

Źródło ognia znajdowało się prawdopodobnie tuż przy wejściu, gdzie był ustawiony aparat projekcyjny. Już dach i ściany połowy budynku spaliły się doszczętnie, ale cały szkielet konstrukcji, jego przeróżne belki i dźwigary, stał jeszcze wydzielając dym. Sam budynek był to rodzaj olbrzymiej szopy, bez wewnętrznych przegród, mającej tylko pokrycie, ściany i podłogę, zrobione z desek, tak że wewnątrz nawet dym nie bardzo się kłębił. Chociaż dach obficie zlewano wodą i nie wyglądało na to, że może się zapalić, widocznie przerzuty ognia jeszcze nie ustały, bo z najmniej spodziewanych miejsc wydobywały się płomienie. Wodę z trzech pomp kierowano niezwłocznie na te miejsca, a wtedy buchał stamtąd czarny dym, wyrzucając w górę całe snopy iskier.

Iskry rozpraszały się wśród gwiazd na niebie i Shimamura odnosił wrażenie, jakby wynosiły go w strefę Drogi Mlecznej. Ale zamiast żeby dym pożaru płynął poprzez ową Rzekę Gwiazd, to ona spływała szybko w dół. Woda z którejś pompy nie trafiła w dach: zetknąwszy się z żarem przednia część łuku wody zadrgała i zamieniła się w parę. Ale gdzie pewnoś, że ów białawy refleks nie był również odbiciem blasku Drogi Mlecznej?

Komako widocznie zbliżyła się niepostrzeżenie do Shimamury, bo w pewnej chwili ujęła go za rękę. Shimamura obejrzał się, ale nie powiedział ani słowa. Gdy stała zwrócona w stronę ognia, skupiona twarz dziewczyny była lekko zaróżowiona, a zmienna gra płomieni

żywo się na niej odbijała. Pierś Shimamury wezbrała podnieceniem. Włosy Komako były w nieładzie, szyję miała wyciągniętą. Na samą myśl, żeby tam sięgnąć ręką, palce Shimamury drgnęły. Dłonie jego były dość ciepłe, ale czuł, że Komako ma dłonie bardziej gorące. Ni stąd, ni zowąd ogarnęło go uczucie, że już bliska jest chwila ich rozłąki...

Z belkowania od strony wejścia znowu strzelił ogień i wybuchł płomieniem; wodę z jednej pompy skierowano do ugaszenia nowego ogniska. Kalenica wraz z całym ożebrowaniem dachu zaczęła zapadać się przy akompaniamencie syku powstającej z wody pary.

Nagle ludziom stojącym w zwartym kole zaparło w piersiach oddechy: na ich oczach spadało z góry wśród płomieni ciało kobiece...

— Ach! — wydarło się jedynie ze wszystkich ust.

W składnicy kokonów były przewidziane, przynajmniej z nazwy, miejsca balkonowe dla widzów, które można było użytkować podczas odgrywanych tu teatralnych widowisk. Choć nazywało się balkonem, podwyższenie to było wyjątkowo niskie. Ciało spadło z tego balkonu, a nim znalazło się ostatecznie na ziemi, mogła upłynąć zaledwie mała chwilka. Mimo to jednak owo spadające ciało widziano tak dokładnie, jakby starczyło czasu do śledzenia go wzrokiem podczas upadku. Może sprawił to dziwny sposób spadania tej postaci: można by pomyśleć, że spada kukła. Od razu każdy by poznał, że to ktoś nieprzytomny. Nie słysząc było zresztą uderzenia ciała o ziemię. Nie podniósł się też przy tym nawet kurz, bo cały teren był zalany wodą. Spadło w sam środek, między ogień, który świeżo się skądś przerzucił, i ogień, który gorzał jeszcze w zgłiszczach po pierwszym szturmie pożaru.

Jedna ze strażackich pomp skierowała na skos łuk wody w stronę ognia utrzymującego się jeszcze w pierwszych zgłiszczach: na wprost miejsca, gdzie spływała woda, zamajaczył nagle kontur ciała owej kobiety. Leżała nadal w takiej samej pozycji, w jakiej spadała. Ciało jej utrzymywało się w powietrzu poziomo. Shimamura osłupiał, ale nie dlatego, że nagle wyczuł niebezpieczeństwo czy strach. Było to tak, jakby naraz ujrzał widmo nie z tego świata. Ta sztywna figura stała się po upadku jakaś elastyczna, ale ponieważ zachowywała swój lalkowaty bezwład i niefrasobliwą obojętność na wszystko, co dzieje się dookoła, obojętność, jaką wykazują przedmioty nie obdarzone życiem, można było się zastanawiać, czy zarówno życie, jak i śmierć nie zawiesiły tu na jakiś czas swych agend. Jeśli Shimamura poczuł w sobie jakikolwiek błysk niepokoju, pochodził on chyba stąd, że sam nie był pewny, czy dostrzegł może tylko w poziomo wyprostowanej sylwetce kobiecego ciała jakieś silniejsze odchylenie głowy w dół albo tylko wygięcie bioder czy kolana. W każdym razie jakiś szczegół świadczący, że taka zmiana w układzie ciała z pewnością zaszła, rzucił

mu się w oczy, a przecież ciało to spadło utrzymując się niechybnie w położeniu poziomym!

— Ach! — wykrzyknęła przeraźliwie Komako i zakryła mocno rękami oczy. Shimamura patrzył bez przerwy, nie śmiejąc nawet mrugnąć...

Daremnie by dowieść, w jakim właściwie momencie nawet on zrozumiał, że kobietą, która spadła z balkonu, była Yóko. Okrzyk zdjętego zgrozą tłumu i przeraźliwy krzyk Komako zbiegły się właściwie ze sobą w czasie. Przypadkowy skurcz nogi leżącej na ziemi postaci też dał się zauważyć w tym samym niemal momencie.

Krzyk Komako przeszył Shimamurę na wskroś. Pod wrażeniem skurczu nogi Yóko zimny spazm przepłynął przez nerwy Shimamury docierając aż po czubki palców u jego nóg. Jakiś trudny do zniesienia ból i żal wypełnił mu pierś i przyprawił go o gwałtowne bicie serca.

Skurczowy odruch u Yóko był tak nikły, że oko ledwo mogło go uchwycić, i wkrótce zanikł zupełnie.

Jeszcze nim to zauważył, Shimamura dojrzał twarz Yóko i jej czerwone kimono we wzór beltów strzał do łuku. Upadła twarzą do góry. Poła kimona na jednej nodze podwinęła się nieco powyżej kolana. Choć runęła całym ciężarem na ziemię, zareagowała tylko tym jedynym skurczem nogi, a więc najprawdopodobniej przez cały czas była już nieprzytomna. Shimamura jeszcze jakoś nie uświadamiał sobie, że Yóko nie żyje, pojmował jednak, że w jej wewnętrznym życiu zachodzi niewątpliwie jakaś zmiana, jakaś metamorfoza.

Dwa czy trzy tramy z obelkowania pomostu na piętrze, skąd stoczyła się Yóko, przechyliły się i płonęły nad twarzą dziewczyny. Jej oczy, tak piękne, że zdawały się przenikać człowieka do głębi, były zamknięte. Szczęki miała trochę rozchylone, a linia szyi była napięta. Blask ognia igrał na jej poblądłej twarzy.

Shimamurę nawiedziło natychmiast wspomnienie sprzed paru lat, jak to podczas jazdy pociągiem na spotkanie z Komako w tutejszym uzdrowisku w odbiciu twarzy Yóko w szybie zabłysło światło jakiegoś ogniska rozpalonego w górach. Znowu serce załomotało mu mocniej w piersi. Wydało mu się w tej chwili, że światło to wydobywa na jaw treść lat i miesięcy, w czasie których trwała jego znajomość z Komako. I ponownie ogarnął go na tę refleksję jakiś trudny do zniesienia ból i żal...

Komako wyrwała się spod boku Shimamury. Stało się to chyba w tym samym niemal momencie, kiedy wydając krzyk zakryła rękami oczy. I w tej samej chwili, gdy z ust zgromadzonego tłumu wyrwał się okrzyk „Ach!”, a wszyscy naraz zamarli w bezruchu.

Komako biegła niepewnym krokiem pośród walających się wszędzie, zlanych wodą, czarnych niedopałków drewna, ciągnąc za sobą po ziemi poły długiego kimona gejszy. Chwyciwszy Yóko pod pachy zaczęła się z nią wycofywać. Poniżej jej napiętej w

desperackim wysiłku twarzy zwiśla bezwładnie twarz Yóko, pusta, jak tylko może być pusta  
twarz istoty w trakcie wędrówki na wyżyny.